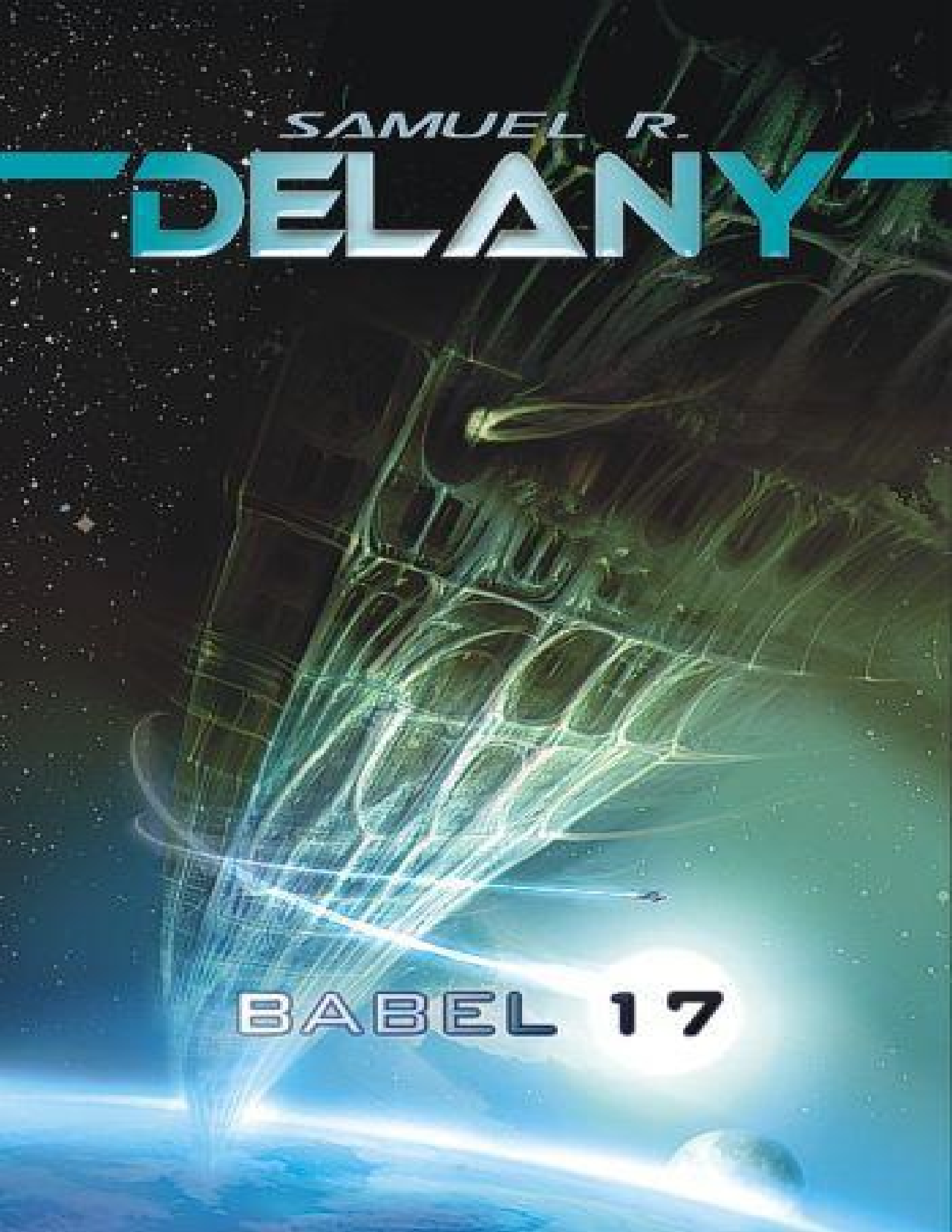


SAMUEL R.

DELANY

BABEL 17



Samuel R. Delany

Babel-17

Przełożyła

Jolanta Pers

SOLARIS

Stawiguda 2008



Babel-17
tyt. oryginału: *Babel-17*

Copyright © 1966 by Samuel R. Delany

ISBN 978-83-89951-86-1

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Tomasz Maroński
Redakcja *Iwona Michałowska*
Korekta *Bogdan Szyma, Aleksandra Przybylska*
Skład *Tadeusz Mieszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris” Małgorzata Piasecka
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A
tel./fax 089 5413117
e-mail: agencja@solaris.net.pl

Dedykuję tę książkę Bobowi Folsomowi, aby wyjaśniła
mu choć trochę to, co stało się zeszłego roku.

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

CZEŚĆ DRUGA

1.

2.

3.

4.

5.

CZEŚĆ TRZECIA

1.

2.

3.

4.

5.

CZEŚĆ CZWARTA

1.

2.

3.

CZEŚĆ PIĄTA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

Posłowie

Wszystkie epigrafy w Babel-17 to fragmenty wierszy Marilyn Hacker. Większość z nich pochodzi z wierszy, które potem znalazły się w tomie Presentation Piece (Marilyn Hacker, Viking Press, Nowy Jork 1974) i Separations (Marilyn Hacker, Alfred A. Knopf, Nowy Jork, 1976). Kilka z nich to starsze wersje niż te, które znalazły się w antologiach.

S.R.D.

Nic tak idealnie nie odzwierciedla cywilizacji jak mowa. Jeśli nasza znajomość mowy, lub ona sama, nie jest jeszcze doskonała, to samo dotyczy cywilizacji.

Mario Pei

CZEŚĆ PIERWSZA
RYDRA WONG

...Oto pierścień dwuznaczności.
Elektryczne widma tańczą na ulicy.
Niejednoznaczność pęta ukryte w cieniu rysy
chłopców, którzy nie są chłopcami; wybryk ciemności
wysusza pełne usta ku starości
lub przycina je do ostrza brzytwy; chłapie kwasem
na bursztynowy policzek, gładzi
krocze, albo roztrzaskuje się o spojenie łonowe
i zagłębia w mrocznym skrzepie krwawiącym w piersi
rozpraszanym przez ruch albo przebłysk światła
przez który usta pęcznieją i zaczynają ociekać krwią.
Mówią, że dziwki malują usta krwią.
Mówią, że ten sam tłum sączy się ulicą
I wraca, jak dryfujące drewno
Naprzeciwko przyplywowi, odciągany zmywem
By znów chlapnąć na piasek
By wyszarpnąć się i odpłynąć
Dryfujące drewno; wąskie biodra, płynne oczy,
Szeroko rozrzucone ramiona i szorstkie dłonie
Szakale o szarych pyskach klęczą przed swą ofiarą.
Kolory znikają o poranku
Gdy maruderzy ciągnący ku zachodnim dokom na rzece
Spotykają młodych marynarzy przechadzających się ulicą ku stoczni...

Pryzmat i obiektyw

1.

Portowe miasto.

Dymy pokrywają tu niebo jak rdza, pomyślał generał. Gazy przemysłowe omywają wieczór pomarańczem, barwą łososia, purpurą, w której jest za dużo czerwieni. Na zachodzie wznosiły się i opadały statki transportowe, przerzucając ładunki z gwiazdocentrów i satelitów, boleśnie raniąc chmury. To także przeklęte, biedne miasto, myślał generał, skręcając za róg przy krawężniku zasypanym śmieciami.

Od dnia Inwazji mordercze embarga - aż sześć - dławiły miasto, którego przetrwanie zależało od tętnienia krwiobiegu, jakim był międzygwiazdny handel. Jakże mogło funkcjonować, obłożone sekwestrem? Sześć razy w ciągu dwudziestu lat zadawał sobie to pytanie. Odpowiedź? Nie mogło.

Panika, zamieszki, pożary, dwukrotnie kanibalizm...

Generał odwrócił wzrok od rysujących się na tle nieba wież załadowczych, które sterczały między rozlatującą się kolejką jednoszynową a zasmolonymi budynkami. Ulice były tu mniejsze, zatłoczone transportowcami, nielicznymi gwiazdowcami w zielonych mundurach i istną hordą bladych, porządnych ludzi, którzy zarządzali zawiłym chaosem służb celnych. Teraz są milczący, pomyślał generał, skupieni na domu lub pracy. A przecież ci wszyscy ludzie od dwudziestu lat żyją pod okupacją. Głodowali za czasów embarga, wybijali okna, szabrowali, uciekali z krzykiem przed wodą ze strażackich węży, ogryzali mięso z ludzkiego ramienia odwapnionymi zębami.

Kim jest to ludzkie zwierzę? Zadawał sobie to abstrakcyjne pytanie, by zamazać wiersze pamięci. Będąc generałem łatwiej było zadawać pytania o „ludzkie zwierzę” niż o kobietę, która podczas ostatniego embarga siedziała na środku chodnika, opierając na nodze niemowlę wyglądające jak szkielet, czy o trzy wymizerowane nastolatki, które zaatakowały go na ulicy z brzytwami (syczała przez brązowe zęby, gdy metalowe ostrze połyskiwało przy jego piersi: „No, chodź tu, befsztyku, chodź, mielonko...”; musiał się bronić, używając karate), czy ślepego mężczyznę, który szedł aleją i krzyczał.

Bladzi, porządni ludzie, którzy mówili cicho, którzy zawsze się zawahali, zanim na ich twarzach utrwalił się jakiś wyraz, z bladymi, solidnymi, patriotycznymi ideami: pracować na rzecz zwycięstwa nad Najeźdźcami; Alona Star i Kip Rhyak byli świetni w Gwiezdnym wakacjach, ale Ronald Quar jest najlepszym poważnym aktorem. Słuchali muzyki Hi Lite'a (czy rzeczywiście słuchali, zastanawiał się generał, podczas tych powolnych tańców, gdzie nikt nikogo nie dotykał). Stanowisko celnika to pewna praca.

Praca bezpośrednio w Transporcie wyglądała może na bardziej ekscytującą i zabawną, ale tylko wtedy, gdy się ją oglądało w filmach. W rzeczywistości ci wszyscy dziwni ludzie...

Bardziej inteligentni i wyrafinowani rozmawiali o poezji Rydry Wong.

Często mówili też o Inwazji, używając jakiejś setki fraz uświęconych przez dwadzieścia lat powtarzania ich w wiadomościach i w gazetach. Rzadko wspominali o embargu i nazywali je tylko tym jednym słowem.

Weźmy dowolnych z nich, weźmy i milion. Kim oni są? Czego chcą? Co by powiedzieli, gdyby mieli szansę cokolwiek powiedzieć?

Rydra Wong stała się głosem tego stulecia. Generał przypomniał sobie gładkie zdanie z hiperbolicznej recenzji. Co za paradoks: przywódca militarny miał teraz poznać Rydrę Wong w celach militarnych.

Światła uliczne zapaliły się i w szybie baru odbiła się jego postać. Dobrze, że dziś nie mam na

sobie munduru. Zobaczył wysokiego, muskularnego mężczyznę, na którego pobrużdżonej twarzy malował się autorytet nabyty przez pół stulecia. Czuł się niezręcznie w szarym cywilnym garniturze. Zanim osiągnął trzydziestkę, na ludziach, których poznawał, robił wrażenie „wielkiego i nieporadnego”. Potem - a zmiana ta zbiegła się z Inwazją - „potężnego i despotycznego”.

Gdyby Rydra Wong chciała się z nim spotkać w Kwaterze Głównej Sojuszu, czułby się o wiele bezpieczniej. Przyszedł więc w cywilnym ubraniu, nie w zielonym mundurze gwiazdowca. Bar był dla niego czymś nowym. A ona była najsłynniejszą poetką w pięciu zbadanych galaktykach. Po raz pierwszy od wieków poczuł się nieporadnie.

Wszedł do środka.

- Mój Boże, ależ ona jest piękna - wyszeptał, nie musząc nawet wyszukiwać jej pośród innych kobiet. - Taka piękna; na zdjęciach nie było widać...

Spojrzała na niego (a postać w lustrze za ladą zobaczyła go i odwróciła się od niego), wstała z barowego stołka i uśmiechnęła się.

Podszedł, ujął jej dłoń, a słowa „Dobry wieczór, panno Wong” obracał na języku tak długo, aż połknął je, nie wypowiedziawszy. I oto ona miała przemówić.

Na ustach miała szminkę barwy miedzi, a źrenice jej oczu przypominały wykute miedziane dyski.

- Babel-17 - rzekła. - Jeszcze go nie rozpracowałam, panie generale.

Ubrana była w sukienkę z dzianiny barwy indygo, a jej włosy spływały na ramię jak rwący potok nocą.

- To nie jest dla mnie zaskoczeniem, panno Wong - odparł.

Zaskoczenie, pomyślał. Wong kładzie rękę na barze, opiera się o stołek, odziane w błękit biodro przesuwa się w górę, a z każdą chwilą jestem oczarowany, zaskoczony, oszołomiony. Czy mogę się zwolnić z tej wachty, czy ona naprawdę może być taka...

- Ale posunęłam się dalej niż wy, ludzie z wojska.

Na delikatnej linii jej ust pojawił się jeszcze delikatniejszy uśmiech.

- Spodziewałem się tego po pani, panno Wong, więc tym też nie jestem zaskoczony.

Kim ona jest, pomyślał? Zadał to pytanie, myśląc o abstrakcyjnej populacji. Zapytał o własne odbicie w lustrze. Zapytał o nią, rozmyślając: nic innego nie ma znaczenia, ale o niej muszę się tego dowiedzieć. To jest ważne. Muszę się dowiedzieć.

- Przede wszystkim, panie generalne - rzekła - Babel-17 nie jest szyfrem.

Jego umysł wpadł w poślizg i powrócił do tematu, rozchwiany.

- Nie jest szyfrem? Sądziłem, że kryptografia ustaliła przynajmniej... - Zamilkł, bo nie był pewien, co ustaliła kryptografia, a także dlatego, że potrzebny był mu kolejny moment, by opuścić się z występów jej kości policzkowych, by wycofać się z jaskiń jej oczu. Naprężył mięśnie twarzy i zmusił się, by ustawić znów swe myśli w szeregu poświęconym Babel-17. Inwazja: Babel-17 może być kluczem do zakończenia dwudziestoletniej plagi. - Chce pani powiedzieć, że próbowaliśmy odszyfrować jakiś bełkot?

- To nie jest szyfr - powtórzyła. - To jest język.

Generał zmarszczył brwi.

- Cóż, bez względu na to, czym jest, szyfrem czy językiem, i tak musimy rozpracować, co oznacza. A dopóki go nie rozumiemy, jesteśmy daleko od miejsca, w którym powinniśmy być.

Wyczerpanie i napięcie ostatnich miesięcy zagościły w jego brzuchu; tajemna bestia, która zaatakowała koniec języka, wyostrzyła słowa.

Jej uśmiech zgasł, a obie dłonie spoczęły na barze. Chciał jakoś stępić tę ostrość.

- Pan nie jest bezpośrednio związany z Wydziałem Kryptografii - rzekła. Jej głos był spokojny i równy.

Potrząsnął głową.

- W takim razie coś panu powiem. Zasadniczo, panie generale, istnieją dwa rodzaje kodów, szyfry i kody prawdziwe. W przypadku pierwszego rodzaju, litery lub symbole oznaczające litery zostają przestawione, przemieszane, według jakiegoś wzorca. W przypadku drugiego, litery, słowa czy grupy słów zastępuje się innymi literami, słowami czy grupami słów. Szyfr może być pierwszego rodzaju, drugiego lub mieszany. Ale oba mają pewną wspólną cechę: kiedy już znajdzie się klucz, wystarczy go użyć i otrzymamy logiczne zdania. Język jednak ma swoją wewnętrzną logikę, własną gramatykę, własny sposób ujmowania myśli za pomocą słów, które obejmują różne widma znaczeniowe. Nie ma żadnego klucza, którego można by użyć do wydobycia dokładnego znaczenia. W najlepszym razie można uzyskać dobre przybliżenie.

- Chce pani powiedzieć, że Babel-17 dekoduje się na jakiś inny język?

- Ależ nie. To pierwsza rzecz, którą sprawdziłam. Możemy wykonać skanowanie prawdopodobieństwa dla różnych elementów i sprawdzić, czy są spójne z innymi wzorcami języka, nawet jeśli te elementy występują w niewłaściwej kolejności. Nie. Babel-17 sam w sobie jest językiem, którego nie rozumiemy.

- Sądzę - generał Forester próbował się uśmiechnąć - że próbuje mi pani powiedzieć, iż to nie szyfr, tylko obcy język, którego nie rozumiemy, więc równie dobrze możemy dać sobie spokój. - Jeżeli miał ponieść klęskę, przyjęcie jej z rąk tej kobiety było nieomal ulgą.

Potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że chcę powiedzieć coś zupełnie innego. Nieznane języki były odczytywane, choć nie dysponowaliśmy tłumaczeniami: na przykład pismo linearne B czy hetycki. Jeśli jednak mam się zająć Babel-17, muszę wiedzieć o wiele więcej.

Generał uniósł brwi.

- A co jeszcze chce pani wiedzieć? Przekazaliśmy pani wszystkie nasze próbki. Jeśli zdobędziemy kolejne, na pewno...

- Panie generale, muszę wiedzieć wszystko, co wiemy o Babel-17: skąd macie te próbki, w jakich okolicznościach je zdobyliście, wszystko, co może stanowić dla mnie jakąś wskazówkę.

- Udostępniliśmy wszystkie informacje, które...

- Daliście mi dziesięć stron maszynopisu z podwójną interlinią, zawierających jakiś bełkot opisany jako Babel-17, i zapytaliście, co to znaczy. To nie wystarczy, żebym mogła wam to powiedzieć. Gdyby było tego więcej, może. To naprawdę proste.

Pomyślał: gdyby to było proste, gdyby to było aż tak proste, nigdy byśmy pani nie poprosili o pomoc, pani Wong.

- Gdyby to było proste, gdyby to było aż tak proste, nigdy byście nie poprosili mnie o pomoc, panie generale - powiedziała.

Wzdrygnął się; przez jeden absurdalny moment przyszło mu do głowy, że Wong czyta mu w myślach. Ale oczywiście wiedziała o tym. Dlaczego miałaby nie wiedzieć?

- Panie generale, czy ten pański Wydział Kryptografii w ogóle odkrył, że to jest język?

- Jeśli nawet tak, to nie poinformowano mnie o tym.

- Jestem raczej pewna, że o tym nie wiedzą. Dokonałam paru podejść do określenia reguł gramatycznych. Czy coś takiego im się udało?

- Nie.

- Panie generale, oni może dużo wiedzą o szyfrach, ale niewiele o naturze języka. I właśnie tak

idiotyczna specjalizacja to jeden z powodów, dla których od ostatnich sześciu lat z nimi nie pracowałam.

Kim ona jest? - pomyślał znowu. Tego ranka dostał jej dossier od służb bezpieczeństwa, ale przekazał je sekretarzowi i tylko później odnotował, że zostało oznaczone jako „zatwierdzone”. Usłyszał własny głos:

- Może mogłaby pani opowiedzieć mi coś o sobie, panno Wong. Łatwiej by się nam rozmawiało. - To nielogiczne, ale wypowiedział te słowa ze spokojem i pewnością. Czy to, co odmalowało się na jej twarzy, to zdumienie?

- A co pan chce wiedzieć?

- Cóż, jak dotąd wiem tylko, jak się pani nazywa, i to, że jakiś czas temu pracowała pani dla Wydziału Kryptografii. Wiem, że kiedy pani stamtąd odeszła, mimo bardzo młodego wieku cieszyła się pani taką reputacją, iż teraz, sześć lat później, ludzie, którzy panią pamiętali, jednogłośnie rzekli - po miesięcznych zmaganiach z Babel-17 - „Dajcie to Rydrze Wong”. - Zamilkł. - A pani mi mówi, że do czegoś udało się pani dojść. Więc mieli rację.

- Napijmy się czegoś - odparła.

Barman podpłynął i cofnął się, zostawiając na barze dwie szklaneczki barwy dymnej zieleni. Pociągnęła łyk, patrząc na niego. Pomyślał, że jej oczy są skośne jak osłupiałe skrzydła.

- Nie jestem z Ziemi - rzekła. - Mój ojciec był oficerem łączności w Centrum Gwiezdnym X-11-B, tuż za Uranem. Moja matka była tłumaczką w Trybunale Planet Zewnętrznych. Do siódmego roku życia byłam najbardziej zepsutym bachorem w Centrum Gwiezdnym. Nie było tam za wiele dzieci. Przeprowadziliśmy się bliżej Ziemi, na Urana-XXVII w pięćdziesiątym drugim. Kiedy miałam dwanaście lat, znałam siedem ziemskich języków i potrafiłam się zrozumiale wyrażać w pięciu pozaziemskich. Zapamiętywałam języki tak, jak większość ludzi zapamiętuje słowa piosenek. Straciłam oboje rodziców podczas drugiego embarga.

- Była pani na Uranie podczas embarga?

- Wie pan, co tam się stało?

- Wiem, że Zewnętrzne Planety ucierpiały o wiele bardziej niż Wewnętrzne.

- A zatem nie wie pan. Ale tak, tak istotnie się stało.

- Wzięła głęboki oddech, jakby jej pamięć ją czymś zaskoczyła. - Ale jeden drink to za mało, żebym była w stanie o tym opowiadać. Kiedy wyszłam ze szpitala, podejrzewano, że mam uszkodzony mózg.

- Uszkodzony mózg...?

- Wie pan o niedożywieniu. To teraz niech pan doda to tego zarazę neurokulszową.

- O zarazie też wiem.

- Tak czy inaczej, przyleciałam na Ziemię, żeby zamieszkać z ciotką i wujem i poddać się neuroterapii. Tylko że jej nie potrzebowałam. I nie wiem, czy problem był psychologiczny czy fizjologiczny, ale wyszłam z tego z idealną pamięcią werbalną. Przez całe moje dotychczasowe życie przemieszczałam się na granicy tej umiejętności, więc nie było to niczym dziwnym. Ale miałam także słuch absolutny.

- Czy to zwykle nie łączy się z błyskawicznym liczeniem albo pamięcią ejdetyczną? Przypuszczam, że wszystkie przydałyby się kryptografowi.

- Jestem dobrą matematyczką, ale nie liczę błyskawicznie. Osiągam dobre wyniki w testach na koncepcję wizualną i specjalne powiązania - śnię w technikolorze i tak dalej - ale pamięć sumaryczną mam wyłącznie werbalną. Już wtedy zaczęłam pisać. Latem dostałam rządową posadę związaną z tłumaczeniami i zaczęłam uczyć się o szyfrach. Szybko odkryłam, że mam pewien

szczególony dar. Nie jestem dobrym kryptografem. Nie mam cierpliwości, żeby ciężko pracować nad jakimś tekstem, którego sama nie napisałam. To strasznie neurotyczne; dlatego zrezygnowałam na rzecz poezji. Ale ten dar był nieco przerażający. Kiedy miałam za dużo pracy i naprawdę chciałam być gdzieś indziej, i zaczynałam się bać, że mój przełożony zacznie mnie poganiać, nagle wszystko, co wiedziałam o łączności, układało mi się w głowie, i łatwiej było mi czytać tekst, który miałam przed sobą, i stwierdzić, o czym on jest, niż myśleć o tym, że jestem zmęczona, wystraszona i przygnębiona.

Spojrzała na swojego drinka.

- W końcu ten dar rozwinął się prawie do postaci, w której mogłam go kontrolować. Miałam wtedy dziewiętnaście lat i reputację małej dziewczynki, która potrafi sobie poradzić ze wszystkim. Przypuszczam, że wiedziałam o języku coś, co właśnie tak działało, i łatwiej było mi rozpoznać wzorce - to jak wyróżnianie gramatycznego porządku spośród losowego przetasowania za pomocą intuicji. Coś takiego zrobiłam z Babel-17.

- Dlaczego pani odeszła?

- Już podałam panu dwa powody. Trzeci był po prostu taki, że kiedy opanowałam ten dar, chciałam wykorzystać go do własnych celów. W wieku dziewiętnastu lat opuściłam wojsko i cóż... wyszłam za mąż i zaczęłam poważnie pisać. Trzy lata później ukazała się moja pierwsza książka. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - A jeśli chodzi o resztę, to proszę przeczytać moje wiersze. Wszystko tam jest.

- I na światach pięciu galaktyk ludzie teraz zagłębiają się w pani metaforykę, znaczenie odpowiedzi na zagadki języka, miłości i izolacji. - Te trzy słowa wskoczyły mu do zdania jak włóczędzy do wagonu towarowego. Stała przez nim i przemawiała; tu, z dala od wojska, czuł się przeraźliwie odizolowany i był rozpaczliwie... nie!

To niemożliwe i absurdalne, i zbyt proste, tak objaśnić to, co kursowało i pulsowało w jego oczach, w jego dłoniach. - Jeszcze jednego drinka? - Automatyczna obrona. Ale uzna to za automatyczną uprzejmość. Czy na pewno? Barman podszedł i odszedł.

- Na światach pięciu galaktyk - powtórzyła. - To takie dziwne. A ja mam dopiero dwadzieścia sześć lat. - Wpatrywała się w coś za lustrem. Była dopiero w połowie pierwszego drinka.

- Keats nie dożył nawet pani wieku.

Wzruszyła ramionami.

- To dziwna epoka. Bardzo szybko rodzi bohaterów, bardzo młodo, i równie szybko ich porzuca.

Skinął głową, przypominając sobie pół tuzina piosenkarzy, aktorów, a nawet pisarzy, którzy mieli kilkanaście albo dwadzieścia parę lat, i których przez rok, dwa albo trzy nazywano geniuszami, by potem pozwolić im odejść w zapomnienie. Jej reputacja była jak dotąd kwestią zaledwie trzech lat.

- Jestem częścią moich czasów - rzekła. - Chciałabym je przetrwać, ale one same w dużym stopniu przyczyniły się do tego, że jestem tym, kim jestem. - Puściła szklanekę i położyła dłoń na mahoniowym barze. - Pan jest wojskowym, pewnie musi to wyglądać dość podobnie. - Uniosła głowę. - Czy już dostał pan ode mnie to, co chciał pan dostać?

Skinął głową. Łatwiej było skłamać gestem niż słowem.

- Dobrze. A teraz, panie generale, czym jest Babel-17?

Rozejrzał się w poszukiwaniu barmana, ale jakaś poświata sprawiła, że znów spojrzał na jej twarz; tą poświatą był jej uśmiech, ale patrząc na niego kątem oka wziął go za światło.

- Proszę - rzekła, przesuając swego drugiego drinka, nietkniętego, w jego stronę. - Nie wypiję

go.

Sięgnął i pociągnął łyk.

- Inwazja, panno Wong. To musi być jakoś związane z Inwazją.

Oparła się na jednej ręce i słuchała, mrużąc oczy.

- Zaczęło się od serii wypadków - cóż, przynajmniej na początku wyglądały one na wypadki.

Teraz jesteśmy pewni, że był to sabotaż. Zdarzały się regularnie na terenach Sojuszu od grudnia sześćdziesiątego ósmego. Czasem na okrętach wojennych, czasem w stocznicach Marynarki - zwykle była to awaria jakiegoś ważnego urządzenia. Dwukrotnie doszło do eksplozji, w których ginęły ważne osobistości. Czasami te „wypadki” miały miejsce w fabrykach produkujących coś istotnego z militarnego punktu widzenia.

- A co łączy te „wypadki”, poza tym, że dotyczyły instytucji wojskowych? Nasza gospodarka działa tak, jak działa; trudno, żeby jakikolwiek większy wypadek w przemyśle nie miał wpływu na wojnę.

- To, co je łączy, panno Wong, to Babel-17.

Patrzył, jak dopija drinka i odstawia szklaneczkę dokładnie tam, gdzie na barze widać było krąg wilgoci.

- Tuż przed lub tuż po każdym z tych wypadków, bądź też podczas niego, w eterze pojawiło się mnóstwo komunikatów radiowych z niewykrytych źródeł; większość z nich miała zasięg zaledwie kilkuset metrów. Pojawiały się też jednak chwilowe zrywy na kanałach hiperstatycznych, obejmujących kilka lat świetlnych. Zapisaliśmy to, co odebraliśmy podczas trzech ostatnich „wypadków”, i nadaliśmy temu roboczą nazwę „Babel-17”. A teraz: czy to jest dla pani informacja, którą może pani wykorzystać?

- Tak. Jest dość prawdopodobne, że w ten sposób osoby, które kierowały aktami sabotażu, wymieniały komunikaty z tymi, którzy ich dokonywali.

- Ale nie byliśmy w stanie znaleźć niczego! - Poczul irytację. - Nie ma nic poza tym przeklętym bełkotem, napływającym z podwójną prędkością! W końcu ktoś zauważył pewne powtórzenia we wzorcu, które sugerowały, że to może być szyfr. Kryptografia na początku była zdania, że to dobra wskazówka, ale przez miesiąc nie zdołała go złamać; więc wezwała panią.

Gdy mówił, obserwował, jak Wong się zastanawia. Po chwili odezwała się:

- Panie generale, chciałabym dostać oryginalne zapisy tych transmisji plus, jeśli istnieje, szczegółowy raport z „wypadków”, sekunda po sekundzie, zsynchronizowany z transmisjami.

- Nie wiem, czy...

- Jeśli nie ma pan takiego raportu, proszę go przygotować, kiedy wydarzy się następny „wypadek”. Jeśli ten bełkot radiowy jest rozmową, muszę mieć możliwość wyłapania, o czym się mówi. Być może pan tego nie zauważył, ale w raporcie, który przesłała mi kryptografia, nie było podziału na głosy. Krótko mówiąc, pracuję teraz z transkrypcją wysoce technicznej wymiany zdań, podaną ciurkiem, bez znaków przestankowych czy nawet przerw między wyrazami.

- Pewnie będę mógł dostarczyć pani wszystko poza oryginalnymi nagraniami...

- Będzie pan musiał. Muszę sporządzić własną transkrypcję, starannie i na własnym sprzęcie.

- Zrobimy nową, zgodnie z pani wskazówkami.

Potrząsnęła głową.

- Muszę to zrobić sama, w przeciwnym razie nie mogę niczego obiecać. Istnieje coś takiego jak rozróżnienia fonemiczne czy alofoniczne. Wasi ludzie nie zauważyli nawet, że to język, więc mogło im nie przyjść do głowy...

- Jakie rozróżnienia? - przerwał jej.

- Wie pan, że niektórzy ludzie ze Wschodu nie rozróżniają dźwięków „l” i „r”, kiedy mówią jakimś zachodnim językiem? To dlatego, że „l” i „r” w wielu językach Wschodu to alofony, czyli coś, co jest uważane za ten sam dźwięk - w piśmie, a nawet w mowie, tak samo jak „th” w angielskich słowach „they” i „theater”.

- A jaka jest różnica w „th” między „they” a „theater”?

- Niech pan je wypowie i posłucha. Jedno jest dźwięczne, jedno bezdźwięczne; są różne, jak „v” i „f”, tylko że są alofonami, przynajmniej w brytyjskiej angielszczyźnie; więc Brytyjczycy przyzwyczaili się do odbierania ich, jakby były tym samym fonemem. Amerykanie, oczywiście, mają minimalną parę „ether/either”, gdzie samo udźwięcznienie stanowi o różnicy semantycznej...

- Och...!

- Ale rozumie pan, na czym polega problem z „obcokrajowcem”, próbującym dokonać transkrypcji z języka, którego nie zna; może uzyskać zbyt wiele albo zbyt mało rozróżnień dźwięków.

- A jak pani proponuje to zrobić?

- Na podstawie tego, co wiem o systemach dźwięków wielu innych języków, i korzystając z intuicji.

- Znów ten dar?

Uśmiechnęła się.

- Tak sędzę.

Czekała, aż jakoś wyrazi swą zgodę. Dlaczego miałyby się nie zgodzić? Przez chwilę subtelności dźwięku, jakie pobrzmiwały w jej głosie, rozproszyły go.

- Oczywiście, panno Wong - rzekł. - To pani jest ekspertem. Proszę przyjść jutro na Wydział Kryptografii i będzie pani miała dostęp do wszystkiego, co będzie pani potrzebne.

- Dziękuję, panie generale. Przyniosę mój oficjalny raport.

Stał i pławił się w jej uśmiechu. Muszę już iść, pomyślał z rozpaczą. Och, jeszcze tylko coś powiem.

- Doskonale, panno Wong. Porozmawiamy wtedy.

Coś jeszcze, cokolwiek.

Odwrócił się. (Muszę się od niej odwrócić). Powiedz coś jeszcze, dziękuję, do zobaczenia, kocham cię. Podszedł do drzwi, czując, jak jego myśli cichną: kim ona jest? Och, to wszystko, co powinno było zostać powiedziane. Byłem szorstki, po wojskowemu skuteczny. Tylko ta bujność myśli i słów, jakimi powinienem był ją obdarzyć. Drzwi otworzyły się i wieczór musnął go błękitnymi palcami po oczach.

Mój Boże, pomyślał, gdy poczuł chłód na twarzy, tyle się we mnie dzieje, a ona o tym nie wie! Niczego jej nie powiedziałem! Gdzieś w głębinach słów: nic, jest nadal bezpiecznie. Ale na powierzchni dominowała wściekłość na własne milczenie. Nie powiedziałem jej niczego...

Rydra wstała, oparła dłonie na brzegu baru, spojrzała w lustro. Barman podszedł, by wziąć szklaneczki stojące tuż przy koniuszkach jej palców. Gdy po nie sięgał, zmarszczył czoło.

- Panno Wong?

Jej twarz była nieruchoma.

- Panno Wong, czy pani...?

Kostki jej palców zbieleły; barman patrzył, jak biel pełźnie po dłoniach, aż zaczęły wyglądać jak drżący воск.

- Czy coś się stało, panno Wong?

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Zauważył pan?

Jej głos był szorstkim szeptem, chrypiącym, sarkastycznym, napiętym. Odwróciła się od baru i ruszyła w stronę drzwi; zatrzymała się tylko na sekundę, by zakaszleć, i pobiegła dalej.

2.

Mocky, pomocy!

- Rydra? - Dr Markus T'mwarba w ciemności poderwał się z poduszki. Jej twarz pojawiła się w dymnym świetle nad łóżkiem. - Gdzie jesteś?

- Na dole, Mocky. Proszę. M-muszę z tobą porozmawiać. - Jej wzburzona twarz przesunęła się w prawo, potem w lewo, jakby próbowała unikać jego spojrzenia. Zacisnął oczy, chroniąc je przed blaskiem, a następnie powoli je otworzył. - Chodź na górę.

Jej twarz znikła.

Machnął ręką nad pulpitem sterowania i urządzoną z przepychem sypialnię wypełniło delikatne światło. Odrzucił złocistą kołdrę, stanął na futrzanym dywanie, sięgnął po szlafrok z czarnego jedwabiu przerzucony przez powykrzywianą kolumnę z brązu. Gdy narzucił go na plecy, automatyczne fiszbiny owinęły się wokół jego piersi i wyprostowały materiał na ramionach. Znów przesunął palcami nad czujnikiem indukcyjnym w rokokowej ramie i w kredensie opadły aluminiowe klapki. Wysunął się parujący dzbanek i butelki z trunkami. Jeszcze jeden gest i na podłodze zaczęły się napełniać powietrzem nadymane fotele. Dr T'mwarba odwrócił się w stronę szafy, w której były drzwi; coś zaskrzypiało, odrzwia z miki odsunęły się i Rydra usiłowała złapać oddech.

- Kawy? - Odsunął dzbanek, a pole siłowe chwyciło go i przetransportowało delikatnie w jej stronę. - Coś ty robiła?

- Mocky, to... ja...?

- Napij się kawy.

Nalała sobie filiżankę i uniosła ją do ust.

- Nie masz jakichś środków uspokajających?

- Likier kakaowy albo kawowy? - Uniósł w górę dwa małe kieliszki. - Chyba że myślisz, iż alkohol też jest zdradziecki. Och, i zostało jeszcze trochę parówek i fasoli z obiadu. Miałem gości.

Potrząsnęła głową.

- Kakaowy.

Małutki kieliszek poleciał za kawą wzdłuż promienia.

- Miałem naprawdę straszny dzień. - Złożył ręce. - Żadnej pracy po południu, na kolacji goście, którzy próbowali się kłócić, a potem, ledwie wyszli, mnóstwo telefonów. Poszedłem spać dziesięć minut temu. - Uśmiechnął się. - A jak tobie minął wieczór?

- Mocky, to... to było straszne.

Dr T'mwarba pociągnął łyk likieru.

- To dobrze. W przeciwnym razie nigdy bym ci nie wybaczył, że mnie obudziłaś.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Z-zawsze mogę liczyć na twoje w-współczucie, Mocky.

- Możesz na mnie liczyć, jeśli chodzi o zdrowy rozsądek i przekonującą poradę psychiatryczną. Współczucie? Przykro mi, nie po jedenastej trzydziści. Usiądź. Co się stało? - Ostatnie machnięcie dłonią sprawiło, że koło niej pojawił się fotel. Jego skraj dotknął tyłu jej kolan i usiadła. - A teraz przestań się jękać i mów do mnie. Wyszłaś z tego, kiedy miałaś piętnaście lat. - Przemawiał łagodnym i pewnym siebie tonem.

Pociągnęła kolejny łyk kawy.

- Szyfr. Pamiętasz ten sz-szyfr, nad którym pracowałam?

Dr T'mwarba opadł na szeroki skórzany hamak i przeczesał palcami siwe włosy, nadal zmierzwił od snu.

- Pamiętam, że poproszono cię, żebyś pracowała nad czymś dla rządu. Odnosiłaś się do tego raczej pogardliwie.

- Tak. I... cóż, to nie jest szyfr, tak naprawdę to jest język... ale dziś wieczorem rozmawiałam z generałem, który się tym zajmuje. Generałem Foresterem. I stało się coś takiego... To znaczy, znowu się to stało, wiedziałam!

- Co wiedziałaś?

- Jak ostatnim razem, wiedziałam, o czym on myśli!

- Czytałaś mu w myślach?

- Nie. Nie, to było tak jak ostatnim razem! Mogłam wydedukować na podstawie tego, co robi, co mówi...

- Próbowowałaś mi to już kiedyś wyjaśnić, ale nadal nie rozumiem, chyba że mówisz o jakimś rodzaju telepatii.

Potrząsnęła głową. I jeszcze raz.

Dr T'mwarba zaplótł palce i rozsiadł się wygodnie.

Rydra odezwała się nagle, nie jękając się:

- Mam pewne wyobrażenie tego, co próbujesz powiedzieć, moja droga, ale musisz sama to ująć w słowa. To właśnie chciałaś powiedzieć, Mocky, prawda?

Białe brwi T'mwarby powędrowały w górę.

- Tak. Właśnie tak. Mówisz, że nie czytasz mi w myślach? Przecież zademonstrowałaś mi to kilkanaście razy...

- Wiem, co chcesz powiedzieć, a ty nie wiesz, co ja chcę powiedzieć. To nie fair! O mało nie uniosła się z fotela.

- I dlatego jesteś taką dobrą poetką - powiedzieli oboje równocześnie. - Wiem, Mocky - mówiła dalej Rydra. - Muszę starannie wszystko obrabiać w głowie, a potem umieszczać w moich wierszach, by ludzie to zrozumieli. Ale nie to robiłam przez ostatnie dziesięć lat. Wiesz, co robię? Słucham innych ludzi, zataczając się pośród ich pół zdań, pół myśli, nieporadnych uczuć, i sprawia mi to ból. Więc idę do domu, poleruję to i cyzeluję, spawam w rytmiczną konstrukcję, sprawia, że zmętniałe kolory zaczynają lśnić, tłumię krzykliwą sztuczność, aż staje się pastelowa i przestaje zadawać mi ból: i to jest mój wiersz. Wiem, co chcą powiedzieć, i mówię to za nich.

- Głos naszej epoki - mruknął T'mwarba.

Odpowiedziała czymś niecenzuralnym, a gdy skończyła, na jej dolnej powiece pojawiły się łzy.

- To, co chcę powiedzieć, co chcę wyrazić, po prostu... - Znowu potrząsnęła głową. - Nie umiem tego powiedzieć.

- Jeśli chcesz się rozwijać jako poetka, będziesz musiała.

Skinęła głową.

- Mocky, dopiero jakiś rok temu uświadomiłam sobie, że mówię myślami innych ludzi. Przedtem sądziłam, że to moje własne.

- Każdy młody pisarz, który jest coś wart, przechodzi przez coś takiego. W ten sposób uczysz się rzemiosła.

- A teraz mam do powiedzenia coś, co jest moje własne. Nie myśli innych ludzi ujęte w niezwykłą formę. I nie jest to gwałtowny sprzeciw w stosunku do czegoś, co powiedzieli inni ludzie, bo to sprowadziłoby się do tego samego. To jest nowe, a ja jestem śmiertelnie przerażona.

- Każdy młody pisarz, który staje się dojrzałym pisarzem, musi przez to przejść.

- Łatwo to powtarzać, trudniej powiedzieć, Mocky.

- To dobrze, że teraz się tego uczysz. Czemu nie opowiesz mi dokładnie, jak działa ten twój...
dar zrozumienia?

Zamilkła na pięć sekund, które rozciągnęły się do dziesięciu.

- Dobrze. Spróbuję jeszcze raz. Zanim wyszłam z tego baru, stałam tam, patrzyłam w lustro, a barman podszedł i zapytał, czy coś się stało.

- Wyczuł, że jesteś zaniepokojona?

- Nie wyczuł. Spojrzał na moje ręce. Zacisnęłam je na barze i zbieleły. Nie musiał być geniuszem, żeby się domyślić, że w mojej głowie dzieje się coś dziwnego.

- Barmani są dość wyczuleni na tego typu sygnały. To ich praca. - Dopił kawę. - Zbieleły ci ręce? Dobrze, co takiego powiedział ci ten generał, albo chciał powiedzieć, ale nie powiedział?

Jakiś mięsień w jej twarzy drgnął dwukrotnie, a dr T'mwarba pomyślał: czy powinienem zinterpretować to jakoś inaczej niż jako oznakę nerwowości?

- Był rzutkim, energicznym mężczyzną - wyjaśniła. - Pewnie nieżonatym, robiącym karierę w wojsku, z całym brakiem stabilności, jaki się z tym wiąże. Miał jakieś pięćdziesiąt lat i dziwnie się z tym czuł. Wszedł do baru, gdzie mieliśmy się spotkać, z przymrużonymi oczami, po czym otworzył oczy szeroko, oparł rękę na nodze i nagle podkurczył palce i zaraz je wyprostował, zwolnił kroku, gdy wszedł, ale przyspieszył, gdy był trzy kroki ode mnie, i potrząsnął moją ręką, jakby się bał, że mi ją złamie.

Uśmiech T'mwarby przeszedł w śmiech.

- Zakochał się w tobie!

Skinęła głową.

- Ale dlaczego, u licha, jesteś zakłopotana? Powinno ci to pochwlebiać.

- Och, tak! - Pochyliła się do przodu. - Pochlebiali mi to. I mogłam śledzić cały ciąg myślowy w jego głowie. W pewnej chwili, gdy próbował skoncentrować się znów na Babel-17, powiedziałam dokładnie to, o czym pomyślał, tylko po to, żeby mu dać do zrozumienia, że jestem tak blisko niego. Obserwowałam przepływ jego myśli, może nawet czytałam w nich...

- Poczekaj sekundę. Tego właśnie nie rozumiem. Skąd wiedziałaś dokładnie, co myśli?

Uniosła rękę do ust.

- Powiedział mi, tutaj. Powiedziałam coś o tym, że potrzebuję więcej informacji, by rozpracować ten język. Nie chciał mi ich udostępnić. Powiedziałam, że muszę je dostać, w przeciwnym razie to się nie uda. Uniósł głowę, ale tylko odrobinę, żeby nią nie potrząsnąć. Gdyby potrząsnął głową, z lekkim ściągnięciem ust, jak myślisz, co by powiedział?

Dr T'mwarba wzruszył ramionami.

- Że to nie jest takie proste, jak ci się wydaje?

- Tak. Wykonał jeden gest, by uniknąć drugiego. Co to znaczy?

T'mwarba potrząsnął głową.

- Uniknął tego gestu, bo skojarzył fakt, że to nie jest proste, z moją obecnością. Więc zamiast tego uniósł głowę.

- Coś w stylu: gdyby to było proste, to nie byłaby pani nam potrzebna - podsunął T'mwarba.

- Właśnie tak. A kiedy uniósł głowę, zatrzymał się na sekundę. Rozumiesz, co to znaczy?

- Nie.

- Gdyby to było tak proste - tutaj pauza - gdyby to tylko było tak proste, nie wzywalibyśmy pani.

- Położyła dłonie na kolanach wewnątrz do góry. - I tak mu powiedziałam, i wtedy zacisnęła usta...

- Jakby był zaskoczony?

- Tak. I wtedy przez sekundę się zastanowił, czy potrafię czytać mu w myślach.

Dr T'mwarba potrząsnął głową.

- To zbyt precyzyjne, Rydro. To, co opisujesz, to czytanie z ruchu mięśni; może ono być dość precyzyjne, zwłaszcza jeśli wiemy, wokół jakiego tematu krążą myśli naszego rozmówcy. Ale to nadal zbyt precyzyjne. Wróćmy do tego, czemu byłaś zmieszana. Zachowanie tego... nieokrzesanego gwiazdowca uraziło jakoś twoją skromność?

Odpowiedziała zdaniem, które nie było ani skromne, ani okrzesane.

Dr T'mwarba przygryzł wargę i zastanowił się, czy to dostrzegła.

- Nie jestem małą dziewczynką - powiedziała. - Poza tym nie miałam na myśli niczego nieokrzesanego. Jak już powiedziałam, pochlebiło mi to. Kiedy rzuciłam tym niewinnym żartem, chciałam po prostu dać mu do zrozumienia, jak bardzo jesteśmy zgrani. Uważałam go za czarującego. A gdyby on był w stanie widzieć równie wyraźnie jak ja, wiedziałby, że żywię do niego wyłącznie ciepłe uczucia. Dopiero kiedy wyszedł...

T'mwarba usłyszał, jak w jej głosie znów pojawia się szorstkość.

- ... kiedy wyszedł, ostatnią rzeczą, jaką pomyślał, było: „Ona nie wie; niczego jej nie powiedziałem”.

Oczy jej pociemniały; nie, pochyliła się lekko do przodu i zmrużyła je nieznacznie, przez co wydały się ciemniejsze. Widział to już tysiące razy, od dnia, gdy wychudzona, prawie autystyczna dwunastoletnia dziewczynka została skierowana do niego na neuroterapię, która potem przekształciła się w psychoterapię - a na końcu w przyjaźń. Ale dopiero teraz rozumiał, na czym polega ten efekt. Precyzja jej obserwacji zainspirowała go do przyglądania się bliżej innym. Dopiero kiedy terapia oficjalnie się zakończyła, wrócił do punktu wyjścia i zaczął się jej bliżej przyglądać. Czy to pociemnienie oznaczało coś więcej niż zmianę? Wiedział, że istnieją miriady rysów osobowości, które czytała z niego jak pod mikroskopem. Był bogaty, był światowcem, znał wielu ludzi równie sławnych jak ona. Sława nie napawała go trwogą. Ale ona sama często tak.

- Pomyślał, że nie rozumiałam. Pomyślał, że nie przekazał mi żadnych informacji. A ja byłam zła. Sprawił mi ból. Te wszystkie nieporozumienia, które ograniczają świat i rozdzielają ludzi, dygotały przede mną, wszystkie naraz, czekając, aż je rozplączę, wyjaśnię, a ja nie mogłam. Nie znałam słów, gramatyki, składni. I...

Na jej twarzy o orientalnej urodzie działo się coś jeszcze i usiłował to uchwycić.

- Tak?

- Babel-17.

- Ten język?

- Tak. Wiedziałaś, jak kiedyś nazywałam mój „dar”?

- Chcesz powiedzieć, że nagle zrozumiałaś ten język?

- Cóż, generał Forester powiedział mi, że to, co dostałam, nie było monologiem, ale dialogiem, o czym wcześniej nie wiedziałam. Wpasowało się to w inne rzeczy, które tkwiły w mojej głowie. Uświadomiłam sobie, że potrafię powiedzieć, jak te głosy mnie zmieniają. I wtedy...

- Rozumiesz to?

- Rozumiem niektóre partie lepiej niż do tego popołudnia. W tym języku jest coś, co przeraża mnie jeszcze bardziej niż generał Forester.

Na twarzy T'mwarby zastygło zdumienie.

- Coś związanego z samym językiem?

Skinęła głową.

- Co?

Mięsień na jej policzku znowu podskoczył.

- Przede wszystkim chyba wiem, gdzie wydarzy się następny wypadek.

- Wypadek?

- Tak. Następny sabotaż, który planują Najeźdźcy, jeśli to rzeczywiście Najeźdźcy, bo tego nie jestem pewna. Ale ten sam język... jest... jest dziwny.

- Dlaczego?

- Mały - odparła. - Ciasny. Upakowany. To ci nic nie mówi, prawda? W przypadku języka?

- Zwięzłość? - spytał doktor T'mwarba. - To chyba pozytywna cecha w przypadku języka mówionego?

- Tak - odparła i ostatnia głoska przeszła w wydech. - Mocky, ja się boję!

- Czemu?

- Bo próbuję coś zrobić i nie wiem, czy mogę.

- Jeśli warto próbować, powinnaś się trochę bać. A co to jest?

- W barze doszłam do wniosku, że muszę z kimś porozmawiać. Zwykle oznacza to ciebie.

- Dawaj.

- Zamierzam sama rozwiązać tę całą zagadkę z Babel-17.

T'mwarba przechylił głowę na prawo.

- Muszę znaleźć kogoś, kto mówi tym językiem, dowiedzieć się, skąd pochodzi i co próbuje przekazać.

Przechylił głowę w przeciwnym kierunku.

- Dlaczego? Cóż, większość podręczników twierdzi, że język jest mechanizmem wyrażania myśli, Mocky. Tylko że w rzeczywistości język jest myślą. Myśl to informacja, która przybrała formę. Forma jest językiem. Forma tego języka jest... zdumiewająca.

- Co cię w niej zdumiewa?

- Mocky, kiedy uczysz się obcego języka, uczysz się, w jaki sposób inni ludzie postrzegają świat, wszechświat.

Skinął głową.

- Kiedy wnikam w ten język, zaczynam... widzieć za dużo.

- Brzmi to bardzo poetycko.

Zaśmiała się.

- Zawsze próbujesz sprowadzić mnie na ziemię.

- Ale nie muszę tego robić zbyt często. Dobrzy poeci są praktyczni i nie znoszą mistycyzmu.

- Rzeczywistość można uchwycić - rzekła. - Tylko że kiedy poezja próbuje dotknąć czegoś rzeczywistego, efekt może się okazać poetycki.

- Dobrze. Nadal nie rozumiem. Jak zamierzasz rozpracować tę całą tajemnicę Babel-17?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Jej ręce znów opadły na kolana. - Chcę zdobyć statek, zatrudnić załogę i polecieć na miejsce następnego wypadku.

- Żaden problem, masz uprawnienia kapitana międzygwiazdowego. A stać cię na to?

- Rząd dofinansuje.

- Och, a to dlaczego?

- Znam pół tuzina języków Najeźdźców i Babel-17 do nich nie należy. To nie jest też język Sojuszu. Chcę się dowiedzieć, kto mówi tym językiem - bo chcę się dowiedzieć, kto, albo co, we wszechświecie myśli w ten sposób. Jak sądzisz, uda mi się, Mocky?

- Napij się jeszcze kawy. - Wyciągnął rękę i dzbanek znów poześlował w jej stronę. - To dobre

pytanie. Jest tyle rzeczy, nad którymi trzeba by się zastanowić. Nie jesteś najbardziej stabilną osobą na świecie. Dowodzenie statkiem kosmicznym wymaga specjalnych cech psychologicznych - i ty je masz. Twoje papiery, o ile pamiętam, wzięły się z tego dziwnego - ech, twojego małżeństwa, parę lat temu. Ale korzystałaś tylko z automatycznej załogi. Czy w przypadku tak dalekiej podróży nie będziesz musiała dowodzić ludźmi z Transportu?

Skinęła głową.

- Przeważnie mam do czynienia z celnikami. Ty też, mniej lub bardziej, do nich należysz.

- Oboje rodzice służyli w Transportie. Ja też byłam transportowcem przed embargiem.

- To prawda. A gdybym powiedział: „tak, poradzisz sobie”?

- Powiedziałabym „dzięki” i odleciała jutro.

- A gdybym powiedział, że potrzebuję tygodnia na sprawdzenie twoich psychoindeksów pod mikroskopem, a ty sobie u mnie wypoczniesz, nie będziesz prowadzić zajęć, wygłaszać odczytów publicznie, unikać imprez z drinkami?

- Powiedziałabym „dzięki” i odleciała jutro.

Uśmiechnęła się kwaśno.

- W takim razie po co zawracasz mi głowę?

- Bo... - Wzruszyła ramionami. - Bo jutro będę piekielnie zajęta... i nie będę mieć czasu się pożegnać.

- Och. - Jego cierpki uśmiech przeszedł w prawdziwy.

I wtedy znów pomyślał o gwarku.

Rydra, trzynastoletnia, chuda, nieporadna, przedarła się przez potrójne drzwi szklarni, wypróbując nowość, jaką właśnie odkryła w swoich ustach: śmiech. Był prawie dumny jak rodzic, gdy ten nieomal trup, którego oddano mu pod opiekę, znów stał się dziewczynką, z przyciętymi po chłopięcemu włosami, z dąsami i napadami złości, pytaniami i obsypywaniem pieścotami dwóch świnek morskich, które nazwała Gruda i Grudka. Podmuch z klimatyzacji przyciskał gałęzie do szklanych ścian, a słońce świeciło przez szklany dach.

- Co to jest, Mocky? - spytała.

Uśmiechnął się do niej, oblanej słońcem, w białych szortach i zbędnym kapeluszu.

- To gwarek. Umie mówić. Przywitaj się z nim.

Czarne oko było martwe jak rodzynek, ze światełkiem jak główka od szpilki ukrytym w kącie. Pióra lśniły, a w otwartym, wąskim jak szpilka dziobie ukazywał się wąski język. Przekrzywiła głowę i ptak przekrzywił swoją.

- Dzień dobry.

By sprawić jej niespodziankę, T'mwarba przez dwa tygodnie uczył gwarka, karmiąc go świeżo wykopanymi dżdżownicami. Ptak spojrział przez lewe ramię i zabrzczał:

- Dzień dobry, Rydro, ładna dziś pogoda, bardzo się cieszę.

Krzyk.

Tego się nie spodziewał.

Przez chwilę myślał, że to śmiech. Ale twarz miała ściągniętą i zaczęła młócić powietrze ramionami, cofać się, upadać. Krzyk zgrzytał w prawie zapadniętych płucach, przycichł, znów zazgrzytał. Podbiegł, by ją złapać, walczącą z histerią, a przez jej zawrodożenie przebił się brzęczący głos ptaka: ładna dziś pogoda, bardzo się cieszę.

Widział już takie ataki paniki, ale ten nim wstrząsnął. Kiedy potem z nią o tym rozmawiał, powiedziała po prostu zbielełymi wargami:

- Wystraszył mnie.

I na tym sprawa by się skończyła, gdyby nie to, że trzy dni później przeklęty ptak uciekł i poleciał na antenę, którą Rydra zmontowała do swojego amatorskiego stazyradia; służyło jej do podsłuchiwania nadawanych w hiperstazie rozmów między statkami transportowymi w tym ramieniu galaktyki. Skrzydło i noga ptaka utkwiły w konstrukcji; zaczął walić tak szaleńczo o jeden z kabli pod napięciem, że iskry było widać nawet w świetle słońca.

- Musimy go stamtąd wydostać! - krzyczała Rydra, dotykając ust końcami palców. Patrzyła na ptaka, a jej opiekun widział, jak kolor odpływa z jej opalonej twarzy.

- Zajmę się tym, kochanie - powiedział. - Nie myśl o tym.

- Uderzy jeszcze parę razy i zginie!

Ruszył do domu po drabinę. Gdy wyszedł, stanął jak wryty: Rydra wspięła się już na wysokość czterech piątych linki zwisającej z katalpy ocieniającej róg domu. Piętnaście sekund później patrzył, jak sięga, cofa się, znów sięga po rozszalały kłębek piór. Wiedział, że nie boi się przewodu pod napięciem, sama go zamontowała. Znów iskry. Podjęła decyzję i sięgnęła. Po minucie maszerowała przez podwórko, trzymając nastroszonego ptaka w wyciągniętej ręce. Twarz miała bladą, jakby ktoś obsypał ją wapnem.

- Weź go, Mocky - powiedziała cicho, a wargi jej drżały. - Zanim coś powie i znowu się wystraszę.

A teraz, trzynaście lat później, coś innego do niej mówiło, a ona mówiła, że się boi. Wiedział, jak bardzo może się bać; wiedział też, jaką odwagę może zmobilizować, by stawić czoło swoim lękom.

- Do widzenia - powiedział. - Cieszę się, że mnie obudziłaś. Byłbym wkurzony jak wściekły pies, gdybyś nie przyszła. Dziękuję.

- To ja ci dziękuję, Mocky - odparła. - Ciągłe się boję.

3.

Danil D. Appleby, który myśląc o sobie rzadko używał swojego imienia - był celnikiem - patrzył na rozkaz przez okulary w drucianych oprawkach i przesunął dłoń po rudych, przyciętych na wojskową modłę włosach.

- Cóż, tu jest napisane, że jeśli pani chce, to pani może.

- No i?

- I jest podpisany przez generała Forestera.

- Więc mam nadzieję, że będzie pan współpracował.

- Ale musi pani zatwierdzić...

- To może pan pójść ze mną i zatwierdzimy wszystko na miejscu. Nie mam czasu na wysyłanie raportów i czekanie, aż ktoś się z nimi zapozna.

- Ale nie można...

- Można. Proszę iść ze mną.

- Panno Wong, nie chciałbym spacerować po Mieście Transportu nocą.

- Ja to lubię. Boi się pan?

- Niekoniecznie, ale...

- Do rana muszę mieć statek z załogą. A tu jest podpis generała Forestera. Zgadza się?

- Tak przypuszczam...

- W takim razie idziemy. Muszę zatwierdzić załogę.

Uparta Rydra i niechętny oficer opuścili budynek z brązu i szkła.

Na przyjazd kolejki jednoszynowej czekali prawie sześć minut.

W miejscu, gdzie wysiedli, ulice były węższe, a niebo wypełniał jednostajny szum statków transportowych. Magazyny, warsztaty i sklepy przeplatały się z rozsypującymi się mieszkaniami i pensjonatami. Teren przecinała szersza ulica, kipiąca ruchem, wypełniona ładownicami i gwiazdowcami. Mijali neonowe przybytki rozrywki, restauracje serwujące kuchnię wielu światów, bary i burdele. W tłumie celnik przygarbił się, ale maszerował szybciej, by dotrzymać kroku długonogiej Rydrze.

- Gdzie zamierza pani znaleźć...?

- Pilota? Jego muszę wybrać najpierw.

Zatrzymała się na rogu, włożyła ręce do kieszeni skórzanych spodni i rozejrzała się.

- Ktoś pani przychodzi do głowy?

- Zastanawiam się nad paroma osobami. Tędy.

Skręcili w węższą uliczkę, bardziej zatłoczoną i jasno oświetloną.

- Dokąd idziemy? Zna pani tę dzielnicę?

Zaśmiała się, ujęła go za ramię i jak tancerka prowadząca partnera bez wysiłku, pociągnęła go na stalowe schody.

- Tu?

- Był pan tu kiedyś? - spytała z niewinną ciekawością; przez chwilę poczuł się, jakby był jej eskortą.

Potrząsnął głową.

Z kawiarenki w piwnicy wynurzyła się góra czerni: mężczyzna o skórze barwy hebanu, obwieszony czerwoną i zieloną biżuterią na piersi, twarzy, ramionach i udach. Membrany wilgoci, także upstrzone klejnotami, opadały mu z ramion, kłębiły się na smukłych odnóżach, gdy pędził po

stopniach.

Rydra złapała go za ramię.

- Hej, Lome!

- Kapitan Wong! - Miał wysoki głos i białe, ostre jak szpilki zęby. Odwrócił się do niej, szumiąc swoimi żaglami. Nadstawił szpiczaste uszy. - Co cię tu sprowadza?

- Lome, Mosiądz dziś walczy?

- Chcesz go zobaczyć? Tak jest, pani kapitan, i Srebrny Smok, na razie remis. Hej, szukałem cię na Denebie. I kupiłem twoją książkę. Nie mogę za dużo czytać, ale kupiłem. I nie znalazłem cię. Gdzie byłaś przez sześć miesięcy?

- Na Ziemi, uczyłam na uniwersytecie. Ale znowu lecę.

- Chcesz Mosiądza na pilota? Lecisz do Rozpadliny Specellego?

- Zgadza się.

Lome objął ją czarnym ramieniem i żagiel owinał się wokół niej, połyskując.

- Jakbyś leciała do Mgławicy Cezara, bierzesz Lome'a, zawsze Lome'a. Znam Cezara... - Skrzywił się i potrząsnął głową. - Nikt nie zna tej mgławicy lepiej.

- Jeśli tam polecę, to na pewno. Ale teraz Specelli.

- To Mosiądz będzie dobry. Pracowałaś z nim już?

- Piliśmy razem, jak siedzieliśmy przez tydzień na kwarantannie na planetoidzie w Gwiazdozbiorze Łabędzia. Wyglądało na to, że wie, co mówi.

- Mówi, mówi, mówi - szydził Lome. - Tak, pamiętam cię, kapitan, która gada. Idź i popatrz sobie, jak ten suczy syn walczy. To będziesz wiedzieć, jakim jest pilotem.

- Właśnie po to przyszłam - zwróciła się do celnika, który kulił się przy stalowej poręczy. (Boże, pomyślał, zaraz mnie przedstawi!). Przechyliła jednak tylko głowę i uśmiechnęła się. - Do zobaczenia, Lome, jak wrócę.

- Tak, tak, mówisz tak i mówisz. A potem cię pół roku nie widzę. - Zaśmiał się. Ale podobasz mi się, pani kapitan. Weź mnie kiedyś na drogę Cezara, to ci pokażę.

- Ja lecę, ty lecisz, Lome.

Rzucił jej chytre spojrzenie.

- Leć, leć, jak mówisz. Muszę iść, pani kapitan. Do widzenia. - Ukłonił się i zasalutował. - Pani kapitan Wong. - I znikł.

- Nie powinien się pan go bać - rzekła do celnika Rydra.

- Ale on... - Szukając słowa, zastanowił się, skąd wiedziała. - Skąd on jest, u licha?

- Z Ziemi. Choć przypuszczam, że raczej urodził się na trasie z Arktura na Centaura. Jego matka była Ślimakiem. Ale pewnie i tak kłamie. Lome opowiada różne rzeczy.

- Ta cała dekoracja to skutek kosmetycznej chirurgii?

- Aha. - Rydra ruszyła po schodach.

- Dlaczego, u licha, ludzie robią sobie takie rzeczy? To takie dziwaczne. Dlatego normalni ludzie nie chcą mieć z nimi nic wspólnego.

- Marynarze tatuowali swoje ciała. Poza tym Lome nie ma nic lepszego do roboty. Pewnie od czterdziestu lat nie pracuje jako pilot.

- Nie jest dobrym pilotem? Więc po co ta cała gadka o Mgławicy Cezara?

- Na pewno ją zna. Ale on ma co najmniej sto dwadzieścia lat. Po osiemdziesiątce odruchy słabną i to już koniec kariery pilota. Włóczy się więc od jednego portowego miasta do drugiego, wie, co się ze wszystkimi dzieje, plotkuje i doradza.

Weszli do knajpy po rampie, która zwisała nad głowami pijących przy barze i stolikach jakieś

dziesięć metrów pod nimi. Powyżej i z boku unosiła się niczym dym prawie dwudziestometrowa kula oświetlona reflektorami. Rydra oderwała od niej wzrok i zwróciła się do celnika.

- Walka jeszcze się nie zaczęła.
- Więc to tu się... walczy?
- Zgadza się.
- Przecież to chyba nielegalne?
- Ustawa nigdy nie została przegłosowana. Odbyła się debata, a potem sprawa ugrzęzła.
- Och...

Kroczyli między jowialnymi transportowcami, a celnik mrugał. W większości byli to zupełnie normalni ludzie, ale skutki działania kosmetycznej chirurgii u niektórych były tak spektakularne, że nie mógł odwrócić wzroku.

- Nigdy nie byłem w takim miejscu - szepnął. Płazie i gadzie stworzenia śmiały się i kłóciły z gryfami i sfinksami o metalicznej skórze.

- Zostawiacie ubranie? - uśmiechnęła się szatniarka. Jej naga skóra miała kolor zielonej landrynki, olbrzymia fryzura wyglądała na stertę różowej waty. Piersi, pępek i wargi lśniły.

- Raczej nie - odparł szybko celnik.

- To niech pan przynajmniej zdejmie koszulę i buty - rzekła Rydra, ściągając bluzkę. - Ludzie będą się gapić. - Pochyliła się i podała sandały kobiecie po drugiej stronie lady. Zaczęła rozplątywać zwój zamotany w talii, zauważyła jego błagalne spojrzenie, uśmiechnęła się i zamotała go z powrotem.

Ostrożnie zdjął marynarkę, kamizelkę, koszulę i podkoszulek. Już miał zdjąć buty, kiedy ktoś chwycił go za ramię.

- Hej, celnik!

Wyprostował się. Stał przed nim wielki, nagi mężczyzna z grymasem na pobrużdżonej twarzy, przypominającym pęknięcie w przegniłej skórze. Zdobiły go jedynie mechaniczne świecące żuki, które układały się we wzory na jego piersi, ramionach, nogach i dłoniach.

- Słucham?

- Celnik, co tu robisz?

- Ja pana nie zaczepiałem.

- Ja też cię nie zaczepiałem. Celnik, chodź się napić. Ja tylko chcę być miły.

- Dziękuję bardzo, ale raczej...

- Jestem miły. Ty nie jesteś. Jak nie będziesz miły, celnik, to ja też przestanę.

- Ale ja z kimś jestem.. - Spojrzał z rozpaczą na Rydrę.

- Chodź. Oboje się napijecie. Ja stawiam. Do licha, serio jestem miły. - Jego druga ręka powędrowała w kierunku ramienia Rydry, ale dziewczyna złapała go za nadgarstek. Rozłożył palce i we wnętrzu dłoni ukazał się wieloskalowy gwiazdometr wszczepiony w rękę. - Nawigator?

Skinał głową. Puściła go, a on opuścił rękę.

- Czemu to akurat dziś jesteś taki miły?

Naćpany mężczyzna potrząsnął głową. Włosy miał splecione nad uchem w gruby czarny warkocz.

- Jestem miły dla celników. Podobacie mi się.

- Dzięki. To postaw nam tego drinka i my ci też postawimy.

Skinał ciężko głową, a jego zielone oczy zwęziły się. Sięgnął między piersi Rydry i dotknął złotego dysku, który nosiła na zawieszonym na szyi łańcuszku.

- Kapitan Wong?

Skinęła głową.

- Z tobą to lepiej nie zaczynać. - Zaśmiała się. - No, pani kapitan, postawię pani i celnikowi coś, co was rozweseli.

Ruszyli przez tłum w stronę baru.

Coś, co było zielone i w bardziej eleganckich przybytkach podawane w szklankach, tu serwowano w kubkach.

- Na kogo stawiacie w walce Mosiądz - Smok? Bo jak powiecie, że na Smoka, rzucę wam tym w twarz. Oczywiście żartuję, pani kapitan.

- Nie obstawiam. - rzekła Rydra. - Szukam. Znasz Mosiądza?

- Robiłem za nawigatora przy jego ostatnim locie. Wróciliśmy tydzień temu.

- I chcesz obstawiać z tego samego powodu, z którego on walczy?

- Można tak powiedzieć.

Celnik podrapał się po obojczyku. Wyglądał na skonsternowanego.

- Przy ostatnim locie Mosiądz nawalił - wyjaśniła Rydra. - Załoga nie ma pracy. Mosiądz dziś robi za eksponat. - Zwróciła się do nawigatora. - Jacyś kapitanowie będą go obstawiać?

Dotknął językiem górnej wargi, zmrużył jedno oko i opuścił głowę. Wzruszył ramionami.

- Tylko na mnie się nadziałeś?

Skinięcie, duży łyk.

- Jak się nazywasz?

- Calli, Drugi Nawigator.

- Gdzie są Pierwszy i Trzeci?

- Trzeci jest gdzieś tam, pije. Pierwszym była słodka dziewczynka, nazywała się Cathy O'Higgins. Nie żyje. - Dokończył drinka i sięgnął po kolejnego.

- Ja stawiam - rzekła Rydra. - Co się z nią stało?

- Wpadła na Najeźdźców. Zostałem tylko ja, Mosiądz i Trzeci. I nasze Oko. Straciliśmy cały pluton. Naszego Ślimaka. Kurewsko dobrego Ślimaka. To był kiepski rejs, pani kapitan. Oko sfiksował bez Ucha i Nosa. Byli razem przez dziesięć lat. Ron, Cathy i ja - byliśmy trójką tylko parę miesięcy. Ale i tak... - Potrząsnął głową. - Kiepsko.

- Ściągnij Trzeciego - powiedziała Rydra.

- Po co?

- Szukam pełnej załogi.

Calli zmarszczył czoło.

- Nie mamy już Pierwszego.

- Zamierzasz tu siedzieć wiecznie i rozczulać się nad sobą? Idź do Kostnicy.

Calli mruknął coś.

- Chcecie zobaczyć mojego Trzeciego, chodźcie.

Rydra wzruszyła ramionami na zgodę, a celnik ruszył za nimi.

- Hej, głupku, obróć się.

Dzieciak, który obrócił się na barowym stołku, miał może dziewiętnaście lat. Celnikowi przyszło do głowy warknięcie metalowych krat. Calli był wielkim, przyjemnym człowiekiem...

- Pani kapitan Wong, to jest Ron, najlepszy Trzeci pochodzący z Układu Słonecznego.

... ale Ron był mały, chudy, zbudowany w jakiś nieprzyjemnie umięśniony sposób; mięśnie piersiowe jak żłobione metalowe płyty pod woskową skórą; brzuch jak żebrowate rury, ramiona jak plecione kable. Nawet mięśnie twarzy opierały się na tylnej części szczęki i wcinały w oddzielone kolumny szyi. Był niechlujnym świńskim blondynem o szafirowych oczach, ale jedyny

widoczny dowód na poddanie się operacji kosmetycznej stanowiła wielka czerwona róża rosnąca na ramieniu. Rzucił im szybki uśmiech i dotknął czoła palcem, udając, że salutuje. Guzkowate paznokcie wyglądały jak węzły z białej liny.

- Kapitan Wong szuka załogi.

Ron uniósł się na stołku, odchylił głowę do tyłu; wszystkie mięśnie jego ciała poruszały się jak węże w mleku.

Celnik zobaczył, jak Rydra otwiera szeroko oczy, ale nie rozumiał tej reakcji, więc zignorował ją.

- Nie mamy Pierwszego - rzucił Ron. Jego uśmiech był zarazem szybki i smutny.

- A gdybym znalazła wam Pierwszego?

Nawigatorzy wymienili spojrzenia.

Calli odwrócił się w stronę Rydry i potarł nos kciukiem.

- Wie pani, ale w Trójce...

Lewa ręka Rydry złapała jego prawą.

- Trójka, rozumiem. Oczywiście będziecie mogli zgodzić się na mój wybór lub nie.

- Cóż, to bardzo trudne, by ktoś inny...

- To niemożliwe. Ale wybór należy do was. Ja tylko podpowiadam. I moje podpowiedzi są dobre. Co wy na to?

Kciuk Callego przemieścił się od nosa do ucha. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie dostaniemy lepszej oferty.

Rydra spojrzała na Rona.

Dzieciak oparł nogę o barowy stołek, objął dłonią kolano i spojrzał na swoją rzepekę.

- My na to, że zobaczymy, kogo wybierzesz.

Skinęła głową.

- Zgoda.

- Nie ma za dużo zleceń dla niekompletnych Trójek. - Calli położył dłoń na ramieniu Rona.

- Tak, ale...

Rydra uniosła wzrok.

- Obejrzyjmy walkę.

Siedzący wzdłuż lady ludzie podnosili głowy. Klienci usadowieni przy stołach rozkładali siedzenia foteli.

Kubek Callego stuknął o ladę, a Ron oparł obie stopy na stołku i przysiadł na barze.

- Na co oni patrzą? - spytał celnik. - Gdzie wszyscy...?

Rydra położyła mu rękę na karku i zrobiła coś takiego, że równocześnie zaśmiał się i obrócił głowę. A potem wziął głęboki oddech i wypuścił wolno powietrze.

Dymna nieważka kula, unosząca się w przestrzeni, rozbłysła kolorowym światłem. W sali zrobiło się ciemno. Światło reflektorów o mocy tysięcy watów padło na plastikową powierzchnię i zabłysło na twarzach zgromadzonych poniżej, a dym w jaskrawej kuli zniknął.

- Co to ma być? - spytał celnik. - Czy to tam walczą?

Rydra przesunęła ręką po ustach, a on o mało nie zadławił się językiem, ale umilkł.

I oto Srebrny Smok, bije skrzydłami w dymie; srebrne pióra jak zderzające się ostrza, podskakujące łuski na ogromnych poślach. Rozciąga trzymetrowe ciało i wije się w polu antygravitacyjnym. Zielone wargi wygięte w przebiegłym uśmiechu, srebrne powieki mrugają nad zielonymi tęczęwkami.

- To kobieta! - wysapał celnik.

Po publiczności przetoczył się pełen aprobaty szum: pstrykanie palcami.

Dym wpłynął do kuli.

- To nasz Mosiądz! - wyszeptał Calli.

Mosiądz ziewnął i potrząsnął głową, ostre zęby barwy kości słoniowej lśniły od śliny, mięśnie wybrzuszały się na dłoniach i ramionach; z żółtych pluszowych łap wysuwały się mosiężne pazury. Powyżej widać było prężące się mięśnie brzucha. Kolczasty ogon walił o ścianę kuli. Jego grzywa, przycięta, by trudniej było ją złapać, błyszczała jak woda.

Calli złapał celnika za ramię.

- Pstrykaj palcami, chłopie! To nasz Mosiądz!

Celnik, który nigdy nie był w stanie tego zrobić, o mało nie połamał sobie palców.

Kula rozjarzyła się na czerwono. Dwóch pilotów zwróciło się do siebie, oddalając się na odległość średnicy kuli. Zapadła cisza. Celnik oderwał wzrok od sufitu i rozejrzał się po otaczających go ludziach. Wszyscy inni patrzyli w górę. Nawigator Trzeci zwinął się na barowym stołku w pozycji płodu. Rydra także opuściła wzrok i patrzyła na splątane, smukłe ramiona i uda chłopca z różą na ramieniu.

Ponad nimi przeciwnicy prężyli mięśnie i przeciągali się, unosząc się w powietrzu. Nagły ruch Smoka. Mosiądz cofnął się, po czym skoczył ze ściany.

Celnik chwycił się czegoś.

Dwie formy uderzyły o siebie, szczepiły się, uderzyły o ścianę i odbiły się od niej. Ludzie zaczęli tupać. Ramię sięgnęło po ramię, noga owinęła się wokół nogi, Mosiądz zawirował, uwolnił się i poleciał w stronę górnej ściany areny. Potrząsając głową, odbił w prawo. Poniżej czujny Smok wił się i wyginał; ze zniecierpliwienia aż drżały mu skrzydła. Mosiądz oderwał się od sufitu, opadł gwałtownie i chwycił Smoka zadnimi łapami. Smoczyca cofnęła się, młócąc powietrze skrzydłami. Zęby jak ostrza zwały się i chybiły.

- Co oni próbują zrobić? - spytał szeptem celnik. - Skąd mam wiedzieć, kto wygrywa? - Znow spojrzał w dół: trzymał się ramienia Callego.

- Kiedy jedno rzuci drugie o ścianę i dotknie drugiej ściany tylko jedną kończyną przy rykoszecie - wyjaśnił Calli, nie patrząc w dół. - To jest rzut.

Srebrny Smok szarpnął się, jakby uwolniła się masa srebrnego metalu, a Mosiądz odskoczył i rozplaszczył się o kulę. Gdy smoczyca unosiła się w powietrzu, próbując przejąć uderzenie na tylną nogę, straciła równowagę i dotknęła ściany także drugą.

Publiczność wstrzymała oddech i zaczęła pstrykać zachęcająco palcami. Mosiądz odzyskał równowagę, podskoczył, pchnął ją na ścianę, ale odbił się za mocno i także oparł na trzech kończynach.

Znow starcie w środku kuli. Smok warknął, wyprostował się, potrząsnął łuskami. Mosiądz rozłóścił się, rozejrzał, oczami jak małe złote monety w cieniu, rzucił się do tyłu, dygocząc, a potem skoczył do przodu.

Srebrny Smok zawirował pod jego ramieniem, trafił w kulę. Rozejrzał się, jakby próbował wejść na ścianę. Mosiądz odbił się lekko, oparł na jednej łapie, a następnie odepchnął.

Kula zajarzyła się zielenią, a Calli postukał o bar.

- Patrz, załatwi tę tandetną dziwkę!

Wijące się kończyny przeplatały się, szpon uderzał o szpon, aż ramiona zeszywniały i oderwały się od siebie. Dwa kolejne rzuty, na jedną i drugą stronę, po czym Srebrny Smok rzucił się głową naprzód na pierś Mosiądza, cisnął go do tyłu i oparł się na samym ogonie. Tłum w dole tupął.

- To faul! - wrzasnął Calli, strząsając rękę celnika. - Do licha, to faul! - Kula zabłysła jednak

zielenią, przyznając punkt Srebrnemu Smokowi.

Bez entuzjazmu wirowali wokół siebie w kuli. Smok dwukrotnie markował cios, a Mosiądz próbował odbić go pazurami lub wciągał brzuch.

- Dlaczego ona nie przestanie? - Dopytywał się Calli. - Zamęczy go na śmierć! Powinni się szepić i walczyć!

Jakby w odpowiedzi, Mosiądz szarpnął się, próbował rąbnąć ją w ramię; coś, co mogło być idealnym rzutem, nie udało się, bo Smok złapał go za rękę, a on odleciał, uderzając niezgrabnie o plastik.

- Ona nie może tak robić! - Tym razem odezwał się celnik. - Czy to dozwolone? Chyba nie wolno... - Ugryzł się w język, gdyż Mosiądz szarpnął się do tyłu, oderwał smoczyce od ściany, cisnął nią między własnymi nogami o plastik, po czym odbił się przedramieniem i poleciał do środka, przeżąc mięśnie przed tłumem.

- Jest! - wrzasnął Calli. - Dwa z trzech!

Kula znów rozbłysła na zielono. Pstrykający zaczęli klaskać.

- Czy on wygrał? - dopytywał się celnik. - Wygrał?

- Słuchaj! Oczywiście, że wygrał! Hej, chodźmy do niego. No dalej, pani kapitan!

Rydra już zaczęła przebijać się przez tłum. Ron ruszył z nią, a Calli, wlokąc celnika za sobą, podążył za nimi. Pokonali serię wyłożonych czarnymi płytami schodów i znaleźli się w pomieszczeniu z kanapami, gdzie grupa ludzi otaczała Kondora, wielkie czerwono-złote stworzenie, które miało walczyć z Hebanem czekającym samotnie w kącie. Drzwi na arenę otworzyły się i wpadł spocony Mosiądz.

- Hej! - zawołał Calli - Chłopie, to było świetne! A tu mamy panią kapitan, która chce z tobą gadać.

Mosiądz wyprostował się i opadł na cztery nogi. Z jego piersi wydobywał się niski pomruk. Potrząsnął grzywą i w złotych oczach pojawiło się zrozumienie.

- 'ani ka'itan Wong! - Jego usta, rozciągnięte z powodu chirurgicznie wszczepionych kłów, radziły sobie wyłącznie z dźwięcznymi spółgłoskami wybuchowymi. - Jak mi dziś 'oszło?

- Wystarczająco dobrze, żebym chciała cię zatrudnić jako pilota na misję do Rozpadliny Specellego. - Podrapała go w żółtą plamkę za uchem. - Jakiś czas temu powiedziałeś, że chętnie pokazałbyś mi, co potrafisz.

- Taaa - Mosiądz skinął głową. - 'rzez chwilę myślałem, że śnię. - Zdjął przepaskę biodrową i zaczął wycierać kark i ramiona zwiniętym ręcznikiem, po czym dostrzegł zdumione spojrzenie celnika. - To tylko kosmetochirurgia. - I wycierał się dalej.

- Daj mu psychoocenę - rzekła Rydra - i dostaniesz zatwierdzenie.

- Czy to znaczy, że jutro lecimy, ani ka'itan?

- O świcie.

Z sakiewki przy pasku Mosiądz wyciągnął cienką metalową kartę.

- 'roszę bardzo, 'anie celniku.

Celnik przyjrzał się runicznym oznaczeniom. Na metalowej płytce, którą wyjął z tylnej kieszeni, odnotował zmianę indeksu stabilności, ale uznał, że ujmie to później, w podsumowaniu. Praktyka podpowiadała mu, że wskaźnik plasuje się znacznie powyżej akceptowalnego.

- Panno Wong, to znaczy, pani kapitan Wong, a co z ich kartami? - Zwrócił się do Callego i Rona.

Ron dotknął karku i podrapał się w łopatkę.

- O nas proszę się nie martwić, dopóki nie znajdziemy Pierwszego Nawigatora. - Na jego

młodej twarzy o ostrych rysach malowała się agresja.

- Sprawdzimy ich później - rzekła Rydra. - Musimy najpierw znaleźć innych ludzi.

- To ma być cała załoga? - spytał Mosiądz.

Rydra pokiwała głową.

- A co z tym Okiem, które z wami wróciło?

Mosiądz potrząsnął głową.

- Stracił Ucho i Nos. To była na'rawdę bliska Trójka, ani ka'itan. Wytrzymał może 'rzesz sześć godzin, zanim wrócił do Kostnicy.

- Rozumiem. A możesz mi kogoś polecić?

- Nikogo szczególnego. Trzeba by się 'owłóczyć 'o Sektorze Bezcielesnych i zobaczyć, co się zjawi.

- Jeśli mamy mieć załogę do rana, to lepiej bierzmy się do roboty - mruknął Calli.

- Ruszamy - rzekła Rydra.

Podeszli do stóp rampy.

- Sektor Bezcielesnych? - spytał celnik.

- O co chodzi? - Rydra trzymała się z tyłu grupy.

- Po prostu... nie podoba mi się ten pomysł.

Rydra zaśmiała się.

- Bo to zmarli? Nie zrobią panu krzywdy.

- Poza tym przebywanie osób cielesnych w Sektorze Bezcielesnych jest nielegalne.

- W niektórych miejscach - poprawiła go Rydra, a pozostali roześmiali się. - Będziemy się trzymali z dala od nielegalnych obszarów. W miarę możliwości.

- Chcą państwo ubrania z powrotem? - spytała szatniarka.

Ludzie podchodzili, by pogratulować Mosiędzowi, poklepywali go z aprobatą po udach i pstrykali palcami. Owinął sobie pelerynę konturową wokół głowy. Opadła mu na ramiona, objęła kark, okręciła się wokół ramion i grubych pośladków. Mosiądz pomachał do tłumu i ruszył rampą w górę.

- Naprawdę potrafi pani ocenić pilota, obserwując go podczas zapasów? - zwrócił się do Rydry celnik.

Skinęła głową.

- Na statku układ nerwowy pilota jest podłączony bezpośrednio do sterów. Całe przejście w hiperstazie wymaga dosłownego zmagania się ze zmianami stazy. Można go ocenić, patrząc na jego odruchy, jego zdolność do opanowania sztucznego ciała. Doświadczony transportowiec może dokładnie określić, jak będzie pracował z prądami hiperstazy.

- Oczywiście, słyszałem o tym. Ale po raz pierwszy widzę coś takiego na własne oczy. To... niesamowite.

- Prawda?

Dotarli do szczytu rampy i znów kula rozbłysła światłem. Heban i Kondor zaczęli taniec.

Na chodniku Mosiądz opadł na cztery nogi i zaczął maszerować u boku Rydry.

- A co ze Ślimakiem i 'lutonem?

Pluton składał się z dwunastu osób, które wykonywały wszystkie prace mechaniczne na statku. Do takich prostych prac wystarczały bardzo młode osobniki, więc zwykle potrzebna była niańka; nazywano ją Ślimakiem.

- Chcę znaleźć pluton na jedną podróż, jeśli tylko się uda.

- Dlaczego mają być tacy młodzi?

- Chcę ich wyszkolić po swojemu. Starsze grupy mają swoje nawyki.

- Z gru'ą na jedną 'odród mogą być straszne kło'oty. Dyscy'lina. I może też być niewydajna. Tak słyszałem. Nigdy w takiej nie byłem.

- Dopóki nie będzie tam skończonych świrów, nie obchodzi mnie to. Poza tym muszę mieć ją teraz, więc chcę ją sama znaleźć do rana zamiast składać zamówienie w Marynarce.

Mosiądz skinął głową.

- Nie składałaś jeszcze?

- Chciałam najpierw sprawdzić, co z pilotem, i zapytać, czy masz jakieś preferencje.

Mijali budkę telefoniczną, przyczepioną do latarni na rogu. Rydra zanurkowała pod plastikową osłoną. Chwilę później mówiła:

- ... pluton na lot do Rozpadliny Specellego, wylot jutro rano. Wiem, że zostało mało czasu, ale nie potrzebuję jakiejś szczególnej grupy. Taka na jedną podróż wystarczy. - Wyjrzała spod osłony i spojrzała na nich. - Doskonale. Zadzwoń później, żeby wysłać ich psychoindeksy do zatwierdzenia przez celników. Tak, jest ze mną celnik. Dziękuję.

Wynurzyła się spod osłony.

- Najbliższa droga do Sektora Bezcielesnych prowadzi tędy.

Puste ulice zwężały się, wiły jedna przez drugą. Pojawiła się betonowa płaszczyzna, z której sterczały metalowe wieżyczki. Między nimi rozciągała się płatanina skrzyżowanych drutów. Pylony z błękitnego światła rzucały półcienie.

- Czy to jest...? - zaczął celnik i umilkł. Maszerowali coraz wolniej. Na tle ciemności między wieżami wykwitło czerwone światło.

- Co...?

- To tylko transfer. Robią tak przez całą noc - wyjaśnił Calli. Z lewej strony rozblęskło zielone światło.

- Transfer?

- To szybka wymiana energii spowodowana przemieszczaniem stanów bezcielesnych - podsunął gładko Drugi Nawigator.

- Ale nadal nie...

Przemieszczali się teraz między pylonami; migotania połączyły się. Srebro przesycone ognistą czerwienią załśniło w industrialnym smogu. Uformowały się trzy postacie: kobiece szkielety z cekinów błysnęły, patrząc na nich pustymi oczami.

Kocięta drapały celnika po plecach, podpory pylonów połyskiwały za widmowymi brzuchami.

- Twarze - szepnął. - Kiedy tylko odwrócisz wzrok, nie pamiętasz, jak wyglądali. Kiedy na nich spojrzysz, wyglądają jak ludzie, ale kiedy tyko się odwrócisz... - Wstrzymał oddech, gdy mijali ich kolejny. - Nie pamiętasz...! - Śledził ich wzrokiem. - Martwi? - Potrząsnął głową. - Wiecie, zatwierdzam psychoindeksy transportowców, cielesnych i bezcielesnych, już od dziesięciu lat. I nigdy jeszcze nie byłem tak blisko bezcielesnej duszy. Och, widziałem zdjęcia, czasem mijałem jakąś mniej fantastyczną na ulicy. Ale to...

- Na statku transportowym są pewne prace - głos Callego był ocieężał od alkoholu, jak mięśnie na jego ramionach - których nie da się przydzielić nikomu żywemu.

- Wiem, wiem - odparł celnik. - Więc korzysta się ze zmarłych.

- Zgadza się - przytaknął Calli. - Jak Oko, Ucho czy Nos. Żywy człowiek, który musiałby skanować wszystko, co się dzieje na częstotliwościach w hiperstazie, szybko by zwariował albo umarł.

- Znam teorię - odparł ostrym tonem celnik.

Calli nagle złapał go za kark i przyciągnął jego twarz do swojej, upstrzonej bliznami.

- Niczego nie znasz. - Mówił takim samym tonem jak podczas pierwszej wymiany zdań w knajpie. - Ukrywasz się w swojej klatce dla celników, ukrytej w bezpiecznej grawitacji Ziemi, a Ziemię trzyma mocno Słońce, Słońce pędzi w stronę Wegi, wszystko w przewidywalnym przyptywie tego ramienia galaktyki. - Machnął w stronę świecącej nad mniej jasnymi partiami miasta Drogi Mlecznej. - I nigdy się nie uwolnisz! - Nagle odepchnął od siebie głowę rudzielca w okularach. - Ech! Nie masz mi nic do powiedzenia!

Pogrążony w żalu nawigator szarpnął linę rozpiętą między podporą a betonem. Brzdąknęła. Niska nuta uwolniła w gardle celnika coś, co dotarło do jego ust i sprawiło, że poczuł metaliczny smak wściekłości.

Chciał splunąć, ale miedziane oczy Rydry Wong znalazły się nagle tak blisko jego twarzy jak przed chwilą to nieprzyjazne, pełne blizn oblicze.

- Był częścią Trójki - powiedziała, a jej słowa były gładkie, spokojne; patrzyła mu prosto w oczy. - Bliskiego, kruchego, emocjonalnego i seksualnego związku z dwojgiem innych ludzi. I jedna z tych osób niedawno zmarła.

Brzmienie jej tonu wygasiło większość wściekłości celnika, ale wymknęła mu się jedna drzazga:

- Zboczeńcy!

Ron przechylił głowę, a w napięciu jego mięśni widać było smutek i jednocześnie zdumienie.

- Na statku transportowym są pewne prace - rzekł, jakby powtarzał po Callim - których nie da się przydzielić tylko dwóm osobom. Są zbyt skomplikowane.

- Wiem - odparł celnik i pomyślał: temu chłopcu też sprawiłem przykrość. Calli oparł się o dźwigar. W gardle celnika znów coś rosnęło.

- Chce pan coś powiedzieć - odezwała się Rydra.

Zaskoczenie tym, że wie, sparaliżowało mu usta. Przeniósł wzrok z Callego na Rona i z powrotem.

- Bardzo mi przykro.

Calli uniósł brwi, opuścił je, znieruchomiał.

- Mnie też przykro.

Mosiądz cofnął się.

- Jakies ćwierć mili stąd, w średnich stanach energetycznych, jest zgromadzenie transferowe. 'owinno 'rzyciągnąć takie Oczy, Uszy i Nosy, jakich szukamy na lot do Roz'adliny S'ecellego. - Uśmiechnął się do celnika przez swoje kły. - To jeden z twoich nielegalnych obszarów. Liczba halucynacji rośnie, a niektóre kor'oracyjne ego nie są w stanie tego znieść. Ale dla większości normalnych ludzi to nie 'roblem.

- Jeśli to coś nielegalnego, lepiej poczekam - rzekł celnik. - Możecie tu wrócić i mnie zabrać. Wtedy zatwierdzę ich indeksy.

Rydra skinęła głową. Calli otoczył ramieniem talię trzymetrowego pilota, a drugim objął Rona.

- Ruszamy, pani kapitan, jeśli mamy mieć załogę do rana.

- Jeśli nie znajdziemy w ciągu godziny, i tak wrócimy.

Celnik patrzył, jak maszerują między smukłymi wieżyczkami.

4.

Wspomnienie poszarpanych brzegów i kolor ziemi wdzierającej się do czystego jeziora; takiego koloru były jej oczy. Mrugała nimi i mówiła do niego.

- Celnikiem, proszę pani.

Zaskoczyła go jej cięta odpowiedź, na początku poczuł się urażony, ale potem go to rozbawiło.

- Jakieś dziesięć lat. A od jak dawna pani jest bezcielesna?

Podeszła bliżej, a jej włosy wydzielały zapach, który coś mu przypominał. Jej ostre, przejrzyste rysy też. Znow coś powiedziała, rozbawiła go.

- Tak, to jest dla mnie zupełnie nowe. Czy ta cała mglistość, która otacza wszystko, co się wydarza, też panią intryguje?

I znow nadeszła odpowiedź, przekonująca i dowcipna.

- Tak, istotnie - uśmiechnął się. - Dla pani pewnie taka nie jest.

Udzieliła mu się jej swoboda; albo to ona swawolnie sięgnęła po jego dłoń, albo on zaskoczył samego siebie, ujmując jej rękę; zjawą pod jego palcami była rzeczywista, miała gładką skórę.

- Jest pani tak bezpośrednia. To znaczy, nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby młode kobiety tak po prostu podchodziły do mnie i... tak się zachowywały.

Jej urokliwa logika znow wszystko wyjaśniła, poczuł, że jest blisko, coraz bliżej, a jej przekomarzania były jak muzyka, jak wyjęta z niej fraza.

- Cóż, no tak, pani jest bezcielesna, więc to nie ma znaczenia. Ale...

Przerwała mu słówkiem, pocałunkiem, grymasem czy uśmiechem, wysyłając w jego kierunku już nie humor, ale klarowne zdumienie, strach, podniecenie, a dotyk jej kształtów był czymś zupełnie nowym. Walczył, by to zapamiętać, wzorce dotyku blady w pamięci razem z dotykiem. Odchodziła. Śmiała się, jakby, jak gdyby, jak. Stał, tracąc jej śmiech, zastąpiony wirującym zdumieniem na falach zanikającej świadomości...

5.

Dobra wiadomość! - zawołał Mosiądz, gdy wrócili. - Znaleźliśmy, kogo szukaliśmy.

- Załoga się schodzi - skomentował Calli.

Rydra podała mu trzy karty indeksowe.

- Zgłoszą się do bezcielesnych statku za dwie godziny... - Co się stało?

Danił D. Appleby sięgnął po karty.

- Ja... ona... - I nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

- Kto? - zapytała Rydra.

Troska na jej twarzy odpędzała nawet te resztki wspomnień, a jemu się to nie podobało, te wspomnienia.

Calli zaśmiał się.

- Sukub! Sukub go dorwał, jak nas nie było!

- Tak! - To Mosiądz. - 'atrzcie na niego.

Ron też się zaśmiał.

- To była kobieta... Tak mi się wydaje. Pamiętam, co mówiłem..

- Ile od 'ana wzięła?

- Wzięła?

- On chyba nie wie - wtrącił Ron.

Calli uśmiechnął się do Trzeciego Nawigatora, a potem do celnika.

- Niech pan zajrzy do portfela.

- Co?

- Niech pan zajrzy.

Z niedowierzaniem sięgnął po portfel. Metaliczne pudełko rozłożyło mu się w dłoniach.

- Dziesięć... dwadzieścia... Ale miałem pięćdziesiąt, jak wychodziliśmy z knajpy!

Calli klepnął się po udach ze śmiechem. Podskoczył i objął celnika.

- Jak się to panu jeszcze parę razy zdarzy, to zostanie pan transportowcem.

- Ale ona... ja... - Pustka skradzionych wspomnień była równie rzeczywista jak utrata miłości.

Splądrowany portfel wydawał się czymś banalnym. Łzy napłynęły mu do oczu. - Ale ona była... - Zmieszanie sprawiło, że nie dokończył zdania.

- Jaka ona była, przyjacielu? - spytał Calli.

- Ona... była. - W tym tkwiła cała pustka.

- 'o odcieśnieniu można brać za to 'ieniądze - powiedział Mosiądz. - A oni 'róbują dość 'odejrzanych metod. Wstyd 'rzyznać, ile razy mnie się to zdarzyło.

- Zostawiła panu wystarczająco dużo na powrót do domu - wtrąciła Rydra. - Oddam panu resztę.

- Nie, ja...

- Ejże, pani kapitan. Zapłacił i dostał to, za co zapłacił, tak, panie celnik?

Dusząc w sobie wstyd, potaknął.

- W takim razie... proszę o sprawdzenie tych ocen - rzekła Rydra. - Musimy jeszcze znaleźć Ślimaka i Pierwszego Nawigatora.

Rydra znalazła budkę telefoniczną i zadzwoniła do Marynarki. Tak, pluton jest gotowy. Mają też polecanego Ślimaka.

- Doskonale - rzekła i przekazała słuchawkę celnikowi. Ten wziął psychoindeksy od urzędnika i

włączył je do ostatecznej integracji z kartami Oka, Ucha i Nosa, które dała mu Rydra. Ślimak wyglądał wyjątkowo obiecująco. - To chyba utalentowany koordynator - podsunął celnik.

- Nie ma czegoś takiego jak za dobry Ślimak. Zwłaszcza dla nowego 'luttonu. - Mosiądz potrząsnął grzywą. - Musi utrzymać dzieciaki w ryzach.

- Ten powinien wystarczyć. Najwyższy indeks zgodności, jaki od dawna widziałem.

- A jak z wrogością? - spytał Calli. - Do diabła ze zgodnością! Może przywalić solidnego kopa, jak będzie trzeba?

Celnik wzruszył ramionami.

- Waży ponad sto dwadzieścia kilo i ma tylko metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Widzieliście kiedyś otyłą osobę, która nie byłaby podła jak szczur?

- Doskonale! - zaśmiał się Calli.

- A dokąd 'ójdziemy, żeby o'atrzyć ranę? - zwrócił się Mosiądz do Rydry.

Uniosła brwi w pytającym geście.

- Znaleźć 'ierwszego Nawigatora - wyjaśnił.

- Do Kostnicy.

Ron skrzywił się. Calli wyglądał na zaskoczonego. Świecące żuki zebrały się wokół jego szyi, a potem rozproszyły po piersi.

- Wiesz, że Pierwszy Nawigator musi być dziewczyną, która...

- Będzie - odparła Rydra.

Opuścili Sektor Bezcielesnych i pojechali kolejką przez splątane ruiny Miasta Transportu na skraj kosmodromu. Czerń za oknami przecinały błękitne światła sygnałowe. Statki wznosiły się na białych słupach ognia, które z tej odległości wyglądały na błękitne, aż wreszcie stawały się krwistymi gwiazdami na rdzawym niebie.

Przez pierwsze dwadzieścia minut żartowali, przekrzykując szum pędzącej po szynie kolejki. Fluorescencyjny sufit oświetlał ich twarze i kolana zielonkawym blaskiem. Celnik patrzył, jak jedno po drugim milkną, gdy inercja boczna przeszła w przednią. Nie odzywał się, próbując przypomnieć sobie jej twarz, jej słowa, jej kształt. Ale uciekały od niego, jak uwaga, którą koniecznie chcesz wygłosić, ale umyka ci z głowy, gdy tylko zaczniesz mówić, a w ustach czujesz pustkę, zaginionego posłańca miłości.

Gdy wyszli na peron stacji Thule, poczuli ciepły wiatr ze wschodu. Chmury rozpierchły się pod księżycem barwy kości słoniowej. Żwir i granit srebrzyły poszarpane brzegi. Dalej była czerwona mgła miasta. Przed nimi, w rzednącym mroku, wznosiła się czarna Kostnica.

Ruszyli po schodach i przeszli w milczeniu przez kamienny park. Ogród z wody i skał był upiorny i pusty. Nie rosło tu nic.

W ciemności przy drzwiach widać było tylko sztaby poplamionego metalu. Brak światła zewnętrznego.

- Jak się dostaniemy do środka? - spytał celnik, gdy wspinali się po wąskich schodach.

Rydra zdjęła z szyi kapitański wisiołek i położyła go na małym dysku. Coś zaszumiało, światło rozcięło wejście i drzwi odsunęły się. Weszła do środka, a pozostali kroczyli za nią.

Calli popatrzył na metaliczne pudła w górze.

- Wiecie, że jest tu wystarczająco dużo transportowego mielonego mięsa, żeby obsłużyć setki gwiazd razem z planetami.

- Także celników - powiedział celnik.

- Czy ktokolwiek zadaje sobie trud wzywania z powrotem celnika, który uda się na spoczynek? -

spytał Ron z niewinną błyskotliwością.

- Ciekawe po co - rzekł Calli.

- Bywały takie przypadki - odpadł sucho celnik. - Czasami.

- O wiele rzadziej niż w przypadku transportowców - odezwała się Rydra. - Jak dotąd praca celników związana z przemieszczaniem statków od gwiazdy do gwiazdy to nauka. Praca transportowców manewrujących na poziomach hiperstazy to sztuka. Za kilkaset lat może obie będą nauką. Doskonale. Ale dziś ktoś, kto dobrze opanował reguły sztuki, jest nieco rzadszy niż ktoś, kto opanował naukę. Poza tym wiąże się z tym pewna tradycja. Ludzie Transportu umierają i są wzywani z powrotem, pracują z martwymi i żywymi. Celnikom nadal trudno to zaakceptować. Tędy do Samobójców.

Opuścili główny hall i ruszyli oznakowanym korytarzem, który piął się do komór magazynowych. Wynurzyli się na platformie w dyskretnie oświetlonym pomieszczeniu, obstawionym na wysokość setek metrów szklanymi skrzyniami i wypełnionym platformami i drabinami niczym jaskinia pająka. W trumnach, za pokrytym szronem szkłem, widać było sztywne kształty.

- To, czego w tym wszystkim nie rozumiem - szepnął celnik - to całe to wzywanie. Czy ktoś, kto umrze, może znowu stać się cielesny? Ma pani rację, pani kapitan, celnicy uważają rozmawianie o tym za nieuprzejme.

- Każdy samobójca, który odcieleśni się za pomocą regularnych kanałów Kostnicy, może zostać wezwany z powrotem. Ale w przypadku gwałtownej śmierci, kiedy Kostnica jedynie otrzymuje ciało po fakcie, albo zużytego staruszka, czyli tego, co większość z nas czeka gdzieś po przeżyciu stu pięćdziesięciu lat, jesteś martwy na zawsze; choć tu, jeśli umrzesz za pośrednictwem oficjalnych kanałów, wzorec twojego mózgu zostanie zarejestrowany, a zdolność myślenia zapisana, gdyby ktoś jej potrzebował, lecz twoja świadomość odejdzie tam, dokąd odchodzą świadomości.

Za nimi czterometrowy kryształ rozjarzył się jak różowy kwarc.

- Ron - rzekła Rydra. - Nie, Ron i Calli.

Nawigatorzy zatrzymali się, zaskoczeni.

- Znacie jakiegoś Pierwszego Nawigatora, który ostatnio popełnił samobójstwo, a który waszym zdaniem...

Rydra potrząsnęła głową. Przesunęła dłoń przy kryształowym wypełnieniu. Na wklęsłym ekranie u podstawy rozbłysły słowa. Jej palce znieruchomiały. - Drugi Nawigator... - Obróciła dłoń. - Pierwszy Nawigator... - Zatrzymała się i skierowała dłoń w innym kierunku. - Mężczyzna, mężczyzna, mężczyzna, kobieta. Calli, Ron, powiedzcie coś.

- Co? O czym?

- O was samych, o tym, czego chcecie.

Rydra patrzyła to na ekran, to na mężczyznę i chłopca obok niej.

- Hm, że jak? - Calli podrapał się w głowę.

- Ładna - powiedział Ron. - Ma być ładna.

Pochylił się. W jego błękitnych oczach płonęło intensywne światło.

- Och, tak - rzekł Calli. - Ale to nie może być słodka, pulchna irlandzka dziewczynka z czarnymi włosami i oczami jak agaty, i piegami, które wychodzą po czterech dniach na słońcu. Nie może ani trochę seplenić, co przyprawia nas o dreszcze, nawet jeśli wykonuje obliczenia szybciej i dokładniej niż komputer. Przyprawia cię o dreszcze, kiedy trzyma ci głowę na kolanach i mówi, co chciałaby czuć...

- Calli! - To Ron.

I wielki mężczyzna zamilkł z pięścią przyciśniętą do brzucha, ciężko dysząc.

Rydra patrzyła, trzymając rękę o kilka centymetrów nad powierzchnią kryształu. Pojawiały się na nim i znikwały nazwiska.

- Ale ładna - powtórzył Ron. - I ma lubić sporty, żeby uprawiać z nami zapasy, kiedy będziemy na planecie. Cathy nie była sportsmenką. Rozumiesz, zawsze myślałem, że byłoby lepiej, gdyby była, przynajmniej dla mnie. Lepiej mi się rozmawia z ludźmi, z którymi mogę się siłować. A tak serio, to miałem na myśli pracę. I żeby myślała tak szybko jak Cathy. Tylko że...

Dłoń Rydry opadła, po czym skoczyła w lewo.

- Tylko że - wtrącił Calli, zdejmując rękę z brzucha i oddychając głęboko - to musi być cała osoba, nowa osoba, nie ktoś, kto w połowie jest tym, co pamiętamy o kimś innym.

- Tak - odparł Ron. - Wystarczy, że będzie dobrym nawigatorem i że będzie nas kochać.

- ... zdoła nas pokochać - poprawił go Calli.

- A gdyby była wszystkim, co chcecie, i poza tym jeszcze sobą, czy potrafilibyście ją kochać? - spytała Rydra, patrząc to na jedno nazwisko na ekranie, to na drugie.

Wahanie, powolne skiniecie głowy wielkiego mężczyzny i szybkie chłopca.

Dłoń Rydry znów znalazła się nad kryształem i na ekranie zabłysło nazwisko.

- Mollya Twa. Pierwszy Nawigator.

Dalej znajdowały się współrzędne. Rydra wybrała je na klawiaturze umieszczonej w ladzie.

Trzydzieści metrów nad nimi coś błysnęło. Jedna z setek tysięcy szklanych trumien wysunęła się ze ściany i płynęła w dół, utrzymywana promieniem induktora.

Na platformie odzyskiwania wyskoczyło kilka wypustów o błyszczących końcówkach. Trumna opadła; jej zawartości nie było widać zza smug i sześciokątnych wykwitów szronu na szkle. Wypusty chwyciły spód trumny. Zatrzęsa się przez chwilę, zatrzymała, coś stuknęło.

Szron stopił się nagle, wewnątrz zamgliło się, potem pojawiły się tam kropelki. Podeszli bliżej, by się przyjrzeć.

Ciemne pasma w ciemności. Ruch pod rozświetlonym szkłem. Nagle szkło rozsunęło się, ukazując ciemną, ciepłą skórę i rozbiegane, wystraszone oczy.

- Wszystko w porządku - rzekł Calli, dotykając jej ramienia. Uniosła głowę, by spojrzeć na jego rękę, po czym opuściła ją z powrotem na poduszkę. Ron przysunął się do Drugiego Nawigatora.

- Witamy.

- Hm, panna Twa? - mówił dalej Calli. - Teraz jesteś żywa. Pokochasz nas?

- *Ninyi ni nani?* - Na jej twarzy rysowało się zdumienie. - *Nino wapi hapa?*

Zdumiony Ron odwrócił wzrok.

- Ona chyba nie mówi po angielsku.

- Tak, wiem - uśmiechnęła się złośliwie Rydra. - Ale poza tym jest idealna. Dzięki temu będziecie mogli poznać się lepiej, zanim powie coś naprawdę głupiego. Ona lubi się siłować, Ron.

Ron spojrział na młodą kobietę w skrzyni. Miała włosy naturalnej grafitowej barwy i ciemne, sine od chłodu wargi.

- Lubisz się siłować?

- *Ninyi ni nani?*

Calli zdjął dłoń z jej ramienia i cofnął się. Ron podrapał się po czole i zmarszczył brwi.

- No i? - spytała Rydra.

Calli wzruszył ramionami.

- Hm, nie mamy pojęcia.

- Instrumenty nawigacyjne są wszędzie takie same. Nie będzie żadnego problemu z komunikacją.

- Ona jest ładna - odezwał się Ron. - Jesteś ładna. Nie bój się. Teraz jesteś żywa.

- *Ninaogapa!* - Chwyciła dłoń Callego. - *Jee, ni usiku au mchana?* - Jej oczy były szeroko otwarte.

- Nie bój się! - Ron złapał nadgarstek dłoni, którą trzymała Callego.

- *Sielewi lugha yenu* - Potrząsnęła głową w geście, w którym nie było zaprzeczenia, tylko zdumienie. - *Sikujuweni ninyi nani. Ninaogapa.*

W pośpiechu podszytym żalobą Ron i Calli uspokajająco pokiwali głowami.

Rydra wkroczyła między nich i przemówiła.

Po długiej chwili ciszy kobieta wolno skinęła głową.

- Mówi, że z wami poleci. Straciła dwie trzecie swojej Trójki; także zginęli podczas Inwazji. Dlatego przyjechała do Kostnicy i zabiła się. Mówi, że z wami poleci. Bieriecie ją?

- Ona się ciągle boi - powiedział Ron. - Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy. Calli nie zrobi ci krzywdy.

- Jeśli z nami poleci, weźmiemy ją - oznajmił Calli.

Celnik zakaszłał.

- Skąd mam wziąć jej psychoskażniki?

- Są na ekranie pod kryształem. Uporządkowane według ważniejszych kategorii.

Podszedł do kryształu.

- Cóż. - Wyjął swój notatnik i zaczął spisywać wskaźniki. - Trochę to trwało, ale chyba macie kogoś odpowiedniego.

- Prosimy o integrację - rzekła Rydra.

Zrobił, o co go poproszono, rozejrzał się i wykrzyknął, zaskakując samego siebie:

- Pani kapitan, chyba ma pani załogę!

6.

Kochany Mocky!

Dostaniesz ten list dwie godziny po naszym starciu. Do świtu zostało jeszcze półgodziny i miałam ochotę z Tobą porozmawiać, ale nie chciałam Cię budzić.

Co za sentymentalizm - polecę starym statkiem Foba, „Rimbaudem” (nazwę wymyślił Muels, pamiętasz). W końcu go znam; wiąże się z nim tyle miłych wspomnień. Startujemy za dwadzieścia minut.

Obecne miejsce pobytu: siedzę na składanym krześle w ładowni i patrzę na kosmodrom. Niebo jest upstrzone gwiazdami na zachodzie i szare na wschodzie. Dookoła mnie sterczą czarne igły statków. Na południu bledną linie błękitnych świateł sygnałowych. Jest cicho. Temat moich rozmyślań: szaleńcza noc spędzona na polowaniu na załogę, podczas której zwiedziłam Miasto Transportu i Kostnicę, spelunki, lśniące peryferie itp. Na początku było głośno i hałaśliwie, na końcu cicho i spokojnie.

Aby znaleźć dobrego pilota, należy go obejrzeć na zapaśniczej arenie. Wyszkolony kapitan jest w stanie dokładnie określić umiejętności pilota, obserwując jego odruchy podczas walki. Tylko że ja nie jestem zbyt dobrze wyszkolona.

Pamiętasz, co powiedziałaś o czytaniu z ruchu mięśni? Może miałaś rację bardziej, niż Ci się wydawało. Zeszłej nocy spotkałam chłopaka, który wygląda jak dyplomowa praca Brancusiego albo marzenie Michała Anioła o idealnym wyglądzie ludzkiego ciała. Urodził się w Transporcie i najwyraźniej zna na wylot zapasy pilotów. Więc patrzyłam, jak on obserwuje mojego pilota w walce, i wystarczyło mi spoglądanie na jego wzdrygnięcia i drżenia, by otrzymać pełną analizę tego, co działo się nad moją głową.

Znasz teorię DeFaure'a, głoszącą, że psychoindeksom odpowiadają różne rodzaje napięcia mięśni (to nowe wcielenie starej hipotezy Wilhelma Reicha o szkielecie mięśniowym): rozmyślałam o tym wczoraj w nocy. Dzieciak, o którym wspominałam, był częścią rozbitej Trójki, złożonej z dwóch facetów i dziewczyny; dziewczynę zabili Najeźdźcy. Na widok chłopców chciało mi się płakać. Ale opanowałam się. Zabrałam ich do Kostnicy i znaleźliśmy dla nich zastępczynię. Dziwna sprawa. Jestem pewna, że już do końca życia będą uważać, iż to magia. A tymczasem wszystkie podstawowe wymagania były w dokumentacji: Pierwszy Nawigator, kobieta szukająca dwóch mężczyzn. Jak dopasować indeksy? Obserwowałam Rona i Callego, gdy rozmawiali, i czytałam ich. Ciała były sklasyfikowane zgodnie z psychoindeksami, więc wystarczyło wyczuć, kiedy te są zbieżne. Ostateczny wybór był przebłyskiem geniuszu, jeśli mogę tak powiedzieć. Zawęziłam wybór do sześciu młodych kobiet, które pasowały. Musiałam jednak mieć dokładniejsze dane i nie mogłam tutaj grać ze słuchu. Jedna młoda kobieta była z prowincji Ngonda w Panafryce. Popelniła samobójstwo siedem lat temu. Straciła dwóch mężów podczas inwazji Najeźdźców, a potem wróciła na Ziemię w samym środku embarga. Pamiętasz, jakie były układy polityczne między Panafryką a Amerykacją; byłam pewna, że nie mówi po angielsku. Obudziliśmy ją i okazało się, że rzeczywiście nie mówi. W tym punkcie ich indeksy mogą być ździebko niespójne. Myślę jednak, że się dotrą, bo będą musieli nauczyć się rozumieć nawzajem - spójne indeksy ułożą się na dole skali logarytmicznej. Sprytne, nie?

Prawdziwym jednak powodem napisania tego listu jest Babel-17. Mówiłam Ci, że zroszyfrowałam go na tyle, by móc przewidzieć, gdzie nastąpi kolejny atak. Stocznia Wojenna Sojuszu na Armsedge. Chciałam na wszelki wypadek poinformować Cię, że właśnie tam lecę.

Gadanie, gadanie, gadanie - jaki umysł może posługiwać się takim językiem? I dlaczego? Nadal się boję - jak dziecko na konkursie literowania - ale dobrze się bawię. Mój pluton zgłosił się godzinę temu. Stuknięte, leniwe, kochane dzieciaki. Za kilka minut widzę się ze Ślimakiem (tłusty ciamajda o czarnych włosach, oczach i brodzie; rusza się wolno, myśli szybko). Wiesz, Mocky, gdy kompletowałam załogę, interesowało mnie jedno (poza kompetencjami, a oni wszyscy są kompetentni): to musieli być ludzie, z którymi dałoby się porozmawiać. A da się.

Pozdrawiam,

Rydra.

7.

Światło bez cienia. Generał stał na spodku ślizgacza, patrzył na czarny statek, na blednące niebo. U podstawy statku zeskoczył ze ślizgacza, dysku o średnicy niecałego metra, wszedł do windy i pojechał sześćdziesiąt metrów w górę do śluzy. Ale w kapitańskiej kajucie jej nie zastał. Wpadł na grubego, brodatego mężczyznę, który skierował go korytarzem do ładowni. Wszedł na górę po drabinie i wstrzymał oddech, bo właśnie się zasapał.

Siedziała na płóciennym krzeselku. Zdjęła nogi ze ściany i uśmiechnęła się.

- Panie generale, tak właśnie myślałam, że dziś rano pana zobaczę.

Poskładała kawałek bibułki listowej i zakleiła brzeg.

- Chciałem się z panią zobaczyć - słowa znów uwięzły mu w gardle - zanim pani odleci.

- Ja również chciałam się z panem spotkać.

- Powiedziała mi pani, że jeśli dam pani licencję na tę ekspedycję, powie mi pani, dokąd...

- Mój raport, który powinien być dla pana wystarczający, został przesłany wczoraj w nocy i powinien być już na pańskim biurku w Kwaterze Głównej Sojuszu. Albo znajdzie się tam za godzinę.

- Och, rozumiem.

Uśmiechnęła się.

- Zaraz będzie pan musiał wyjść. Startujemy za parę minut.

- Tak. Zaraz ruszam do Kwatery Głównej Sojuszu, więc odwiedziłem kosmodrom i kilka minut temu dostałem przez gwiazdofon streszczenie pani raportu, i chciałem tylko powiedzieć... - Zamilkł.

- Panie generale, właśnie przypomniał mi się wiersz, który kiedyś napisałam. Jego tytuł brzmi: Porada dla tych, którzy kochają poetów.

Generał chciał otworzyć usta, ale jego wargi nie rozdzieliły się.

- Zaczynał się mniej więcej tak:

Młody człowieku, ona odgryzie ci język.

Droga pani, on ukradnie twoje dłonie.

Resztę może pan przeczytać w moim drugim tomiku. Jeśli nie chce pan tracić poetki siedem razy dziennie, jest to diabelnie frustrujące.

- Pani wiedziała, że ja... - powiedział po prostu.

- Wiedziałam i wiem. I bardzo się cieszę.

Stracony oddech wrócił i na jego twarzy pojawiło się coś nieznanego: uśmiech.

- Panno Wong, kiedy byłem szeregowcem i siedzieliśmy cały czas w koszarach, gadaliśmy w kółko tylko o dziewczynach. I ktoś powiedział o jednej z nich: „Była tak piękna, że nie musiała mi niczego dawać, wystarczy, że obiecała”. - Poczł, że opuszcza go sztywność ramion, i pomyślał, że opadły może o centymetr, wskutek czego wydały się szersze o pięć. - Właśnie tak się poczułem.

- Dziękuję, że mi pan o tym powiedział - odparła. - Lubię pana, generale. I obiecuję, że będę pana nadal lubić, kiedy się jeszcze kiedyś spotkamy.

- Dziękuję pani. To chyba wszystko. Po prostu chciałem podziękować... za to, że pani wie, i za obietnicę. - Po czym dodał: - Muszę już iść, prawda?

- Startujemy za dziesięć minut.

- Pani list - rzekł. - Mogę go wysłać.

- Dziękuję.

Podawała mu list. Ujął jej dłoń i przez bardzo krótki moment bardzo delikatnie ją przytrzymał. Potem odwrócił się i wyszedł. Minutę później patrzyła, jak jego spodek ślizgacz pędzi nad betonem i

odbija światło słońca, które wykwitło na wschodzie.

CZEŚĆ DRUGA

VER DORCO

Jeśli słowa są nadrzędne
Obawiam się, że to jedyne, co dotąd widziały moje dłonie...

Kwartet

1.

Zapisany materiał przesuwiał się po ekranie sortującym. Przy konsoli komputera leżały cztery strony definicji, które udało jej się zebrać, i *cuaderno* pełen spekulacji gramatycznych. Zagryzając dolną wargę, przyjrzała się częstotliwości występowania obniżonych dwugłosek. Na ścianie przyczepiła trzy tabele, oznaczone:

Możliwa struktura fonemiczna

Możliwa struktura fonetyczna

Niejasności semiotyczne, semantyczne i składniowe

Ostatnia zawierała problemy do rozwiązania. Pytania, które zostały sformułowane i na które znalazła odpowiedzi, były przenoszone do pierwszych dwóch.

- Pani kapitan?

Odwróciła się na nadmuchiwanym fotelu.

Po kolanach zwisających z włazu poznała, że to Diavalo.

- Tak?

- Co by pani chciała na kolację?

Mały kucharz, należący do plutonu, miał siedemnaście lat. Dwa kosmetochirurgiczne rogi wystawały z jego zmierzwionych białych włosów. Drapał się za uchem końcem ogona.

Rydra wzruszyła ramionami.

- Wszystko mi jedno. Spytaj resztę plutonu.

- Oni by jedli płynne odpady organiczne, gdybym im je dał. Nie mają wyobraźni, pani kapitan. Może bażant pod szkłem albo kornwalijska dzika kura?

- Masz ochotę na drób?

- Cóż... - Wysunął kolano z uchwytu, odepchnął się od ściany i zakołysał. - Coś ptasiego bym zrobił.

- Jeśli nikt nie ma nic przeciwko, niech będzie kura w winie, pieczone ziemniaki z Idaho i prażone stekowe pomidory.

- To mi się podoba!

- Na deser kruche ciasto z truskawkami?

Diavalo pstryknął palcami i zakołysał się w stronę włazu.

- Burgund do kury, majowe wino do posiłku!

Twarz o różowych oczach znikła.

Rydra odkryła właśnie trzeci przykład czegoś, co mogło być synkopą, gdy nadmuchiwany fotel zapadł się. Cuaderno uderzył o brzeg biurka. Poczła szarpnięcie za ramiona. Za nią skóra nadmuchiwanego fotela rozdarła się i wysypał się silikon.

Po chwili w kajucie zapanował spokój. Rydra obróciła się i zobaczyła, jak Diavalo przeciska się przez wąż i uderza w biodro, wspinając się na przezroczytą ścianę.

Szarpnięcie.

Pośliznęła się na mokrej, zapadniętej skórze nadmuchiwanego fotela. Na ekranie interkomu pojawiła się twarz Ślimaka.

- Pani kapitan!

- Co się dzieje, u licha? - spytała.

Migała kontrolka konserwacji napędu. Coś znów wstrząsnęło statkiem.

- Jak z oddychaniem?

- To tylko... - Na otoczonej czarną brodą twarzy o ciężkich rysach, należącej do Ślimaka, pojawił się nieprzyjemny wyraz. - Tak. Powietrze: w porządku. Konserwacja napędu ma problem.

- Jeśli te przekłete dzieciaki... - Przełączyła interkom.

Odezwał się Flop, brygadzysta konserwacji:

- Jezu, pani kapitan, coś wybuchło.

- Co?

- Nie wiem.

- Zmieniacze A i B są sprawne. C świeci jak sztuczne ognie na czwartego lipca. A tak poza tym to gdzie jesteśmy?

- Na pierwszej godzinie zmiany między Ziemią a Luną. Jeszcze nawet nie uwolniliśmy się od centrum gwiazdowego 9. Nawigacja? - Kolejne kliknięcie.

Pojawiła się ciemna twarz Mollyi.

- *Wie gehts?* - spytała Rydra.

Pierwsza Nawigator rozwinęła krzywą prawdopodobieństwa i umiejscowiła ich między dwoma niewyraźnie zarysowanymi spiralami logarytmicznymi.

- Na razie orbitujemy wokół Ziemi - odezwał się Ron. - Coś zepchnęło nas z kursu. Nie mamy mocy i dryfujemy.

- Jak daleko i jak szybko?

- Calli próbuje to ustalić.

- Rozejrzę się na zewnątrz. - Wywołała Organ Czuciowy. - Nosie, co tam zwęszyłeś?

- Cuchnie. Nic w zasięgu. Trafiliśmy w zupe.

- Ucho, słyszysz coś?

- Ani piśnięcia, pani kapitan. Wszystkie prądy stazy w tym regionie są martwe. Znajdujemy się za blisko ciał o dużej masie. Jest delikatny eteryczny prąd powierzchniowy jakieś pięćdziesiąt widm na osi K. Ale nie sądzę, żeby nas gdzieś zniósł, chyba tylko będziemy kręcić się w kółko. Wykorzystujemy pęd ostatniego solidnego podmuchu magnetosfery Ziemi.

- Oko, jak to wygląda?

- Jak w wagonie z węglem. Nie wiem, co się stało, ale przytrafiło się to nam w martwym punkcie. U mnie ten prąd jest trochę silniejszy i może znieśie nas we właściwą stronę.

- Ale ja muszę wiedzieć, dokąd on biegnie, zanim w niego wskoczymy - wtrącił Mosiądz. - A to znaczy, że 'rzede wszystkim muszę wiedzieć, gdzie jesteśmy.

- Nawigacja?

Chwila ciszy. Pojawiły się trzy twarze.

- Nie wiemy, pani kapitan. - To Calli.

Pole grawitacyjne ustabilizowało się z kilkustopniowym odchyleniem. Silikon z fotela ustabilizował się w jednym z rogów. Mały Diavalo potrząsnął głową. Pokonując grymas bólu na twarzy, wyszeptał:

- Co się stało, pani kapitan?

- Nie mam pojęcia - odparła Rydra. - Ale dowiem się.

Kolację zjedzono w milczeniu. Pluton, złożony z samych dzieciaków poniżej dwudziestego pierwszego roku życia, starał się robić jak najmniej hałasu. Przy stole oficerskim nawigatorzy siedzieli naprzeciwko widmowych postaci Organu Czuciowego. Zwalisty Ślimak siedzący u szczytu stołu dolewał wina milczącej załodze. Rydra jadła z Mosiądzem.

- Nie wiem. - Potrząsnął grzywą, obracając kieliszek w błyszczących pazurach. - Wszystko szło

gładko, bez jakichkolwiek 'rzeszków. Jeśli coś się stało, stało się wewnątrz statku.

Diawalo, z nogą w bandażu ciśnieniowym, z posępną miną wniósł ciasto, podał je Rydrze i Mosiądzowi, a potem wrócił na swoje miejsce przy stole plutonu.

- A więc - odezwała się Rydra - orbitujemy wokół Ziemi, a instrumenty nie działają i nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy.

- Instrumenty hi'erstazy są s'rawne - odparł Mosiądz. - Nie wiemy, gdzie jesteśmy 'o tej stronie skoku.

- I nie możemy skoczyć, dopóki nie będziemy wiedzieli, skąd skaczemy. - Rozejrzała się po mesie. - Jak sądzisz, oni myślą, że ich z tego wyciągniemy, Mosiądz?

- Oni myślą, że ani ich z tego wyciągnie, 'ani ka'itan.

Dotknęła brzegu kieliszka dolną wargą.

- Jeśli ktoś nas z tego nie wyciągnie, 'osiedzimy tu, jedząc 'yszne żarcie Diawala, 'rzes sześć miesięcy, a 'otem się udusimy. Z nawalonym zwykłym komunikatorem nie możemy nawet wysłać wiadomości, do'óki nie skoczymy do hi'erstazy. Za'ytałem nawigatorów, czy nie mogą czegoś zaim'rowizować, ale nie ma szans. Mieli tylko tyle czasu, żeby zobaczyć, że w'uszczono nas w wielkie koło.

- Szkoda, że nie mamy okien - powiedziała Rydra. - Moglibyśmy przynajmniej popatrzeć na gwiazdy i wyliczyć orbitę. To musi być kilka godzin.

Mosiądz skinął głową.

- No i wyszło, co warte są nowoczesne urządzenia. Jakbyśmy mieli bulaj i staromodny sekstans, 'oradzilibyśmy sobie, ale jesteśmy na'akowani elektroniką 'o uszy, więc siedzimy tu i mamy 'roblem nie do rozwiązania.

- Krążenie. - Rydra odstawiła wino.

- O co chodzi?

- *Der Kreis* - oznajmiła Rydra.

- Że co? - dopytywał się Mosiądz.

- *Ratas, orbis, il cerchio*. - Położyła płasko ręce na stole i docisnęła je. - Okręgi - powiedziała.

- Okręgi w różnych językach!

Zaniepokojenie Mosiądza wyglądało przerażająco z powodu jego kłów. Błyszcząca szczecina nad oczami nastroszyła się.

- Sfera - powiedziała. - *Il globo, gumlas*. - Wstała. - *Kule, kuglet, kring!*

- A jakie to ma znaczenie, w jakim języku? Okrąg to okrąg...

Ale Rydra roześmiała się i wybiegła z mesy.

W swojej kabine sięgnęła po przekład. Szybko przerzucała strony. Walnęła w przycisk, wzywając nawigatorów.

- Tak, pani kapitan? - odezwał się Ron, ścierając z ust bitą śmietaną. - Co się stało?

- Chcę, żebyś coś zobaczył - odparła. - I przynieś woreczek szklanych kulek.

- Że jak?

- Ciasto dokończysz później. A teraz wszyscy zameldują się w g-centrum.

- Kulek? - wydusiła Mollya z namysłem. - Kulek?

- Któryś z dzieciaków na pewno zabrał ze sobą woreczek szklanych kulek. Zabierzcie mu i spotkajmy się w g-centrum.

Przeskoczyła nad zniszczoną skórą nadmuchiwanego fotela i rzuciła się w stronę włazu, obróciła w promienistym szybie numer siedem i spłynęła w dół cylindrycznym korytarzem prowadzącym w stronę pustej kulistej komory g-centrum. Wyliczony środek ciężkości statku był

komorą o średnicy dziesięciu metrów, gdzie cały czas panowała nieważkość; znajdowały się tam niektóre przyrządy pomiarowe, które reagowały na przyspieszenie. Chwilę później w trójdzielnym włazie pojawiła się trójka nawigatorów. Ron dzierżył płócienny woreczek ze szklanymi kulkami.

- Lizzy prosi o ich zwrot do jutra po południu, bo dzieciaki z napędu ją wyzwały i będzie bronić tytułu mistrza.

- Jeśli to zadziała, najprawdopodobniej dostanie je jeszcze dziś.

- Zadziała? - Mollya chciała o coś zapytać. - Pomysł? Twój?

- Tak. Tylko że to nie jest tak naprawdę mój pomysł.

- A czyj on jest i o co chodzi?

- Załóżmy, że to pomysł kogoś, kto mówi innym językiem. Musimy tylko ułożyć kulki pod ścianą w idealną sferę, a potem możemy siedzieć z zegarkiem i nie spuszczać z nich wzroku.

- Po co? - spytał Calli.

- Żeby sprawdzić, w którą stronę polecą i jak długo to potrwa.

- Nie łapię - rzekł Ron.

- Nasza orbita to wielki okrąg wokół Ziemi, tak? To oznacza, że wszystko w tym statku krąży po tym wielkim okręgu, a jeśli zostanie pozbawione oddziaływań, automatycznie wydobędzie się z tego toru.

- Tak. I co z tego?

- Pomóż mi porozmieszczać kulki - rzekła Rydra. - One mają żelazny rdzeń. Postaraj się namagnesować ściany, żeby je przyczepić, a potem wszystkie naraz uwolnimy. - Zdezorientowany Ron poszedł włączyć zasilanie ścian okrągłej komory. - Nadal nie rozumiecie? Przecież jesteście matematykami, opowiedzcie mi coś o okręgach wielkich.

Calli wziął garść kulek i zaczął je rozmieszczać na ścianie - jedno ciche stuknięcie po drugim.

- Okrąg wielki to największy okrąg, jaki można wpisać w kulę.

- Średnica okręgu wielkiego jest równa średnicy kuli - dodał Ron, który właśnie wrócił, włączwszy prąd.

- Suma kątów wewnętrznych wycinka sfery ograniczonego przecięciem dowolnych trzech okręgów wielkich w jednej topologicznie wyznaczonej bryle wynosi maksymalnie pięćset czterdzieści pięć stopni. Suma kątów wewnętrznych dla n okręgów wielkich wynosi maksymalnie n razy sto osiemdziesiąt stopni - Mollya swoim muzycznie odmienionym głosem zaintonowała definicje, których uczyła się rano na pamięć z pomocą osobofiksu. - Kulka tu, tak?

- Wszędzie, tak. Tak równomiernie, jak tylko się da, ale nie musi być idealnie równo. Opowiedzcie mi coś więcej o tych przecięciach.

- Cóż - odezwał się Ron - w dowolnej kuli wszystkie okręgi wielkie przecinają się albo są przystające.

Rydra zaśmiała się.

- Tak po prostu, co? Czy w kuli są jakieś inne okręgi, które muszą się przecinać bez względu na to, jak się nimi manewruje?

- Myślę, że dookoła można upchać dowolne inne okręgi, które będą równo odległe we wszystkich punktach i nie będą się pokrywać. Aczkolwiek wszystkie okręgi wielkie muszą mieć co najmniej dwa punkty wspólne.

- Pomyślcie o tym przez chwilę i popatrzcie na te kulki, wszystkie przyciągnięte do okręgów wielkich.

Mollya nagle cofnęła się od ściany, a na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. Złożyła ręce. Wyrzuciła coś w kiswahili, a Rydra zaśmiała się.

- Zgadza się - powiedziała i przetłumaczyła Ronowi i Callemu: - Będą się przesuwac ku sobie, a ich tory się przetną.

Calli otworzył szeroko oczy.

- Zgadza się, dokładnie w ćwierci obwodu orbity powinny się wypłaszczyć, tworząc koło.

- W płaszczyźnie naszej orbity - dokończył Ron.

Mollya zmarszczyła czoło i wykonała rękami gest, jakby coś rozciągała.

- Tak - przytaknął Ron - zniekształconej płaszczyzny kołowej, zwężającej się na każdym końcu, i na podstawie tego będziemy w stanie policzyć, gdzie jest Ziemia.

- Sprytnie, nie? - Rydra cofnęła się w stronę wylotu korytarza. - Sądzę, że wystarczy, jak zrobimy to tam, a potem odpalimy rakiety, żeby odepchnęły nas jakieś sto dziesięć czy sto trzydzieści kilometrów w górę albo w dół, tak żeby nic się nam nie stało. Z tego będziemy w stanie wyliczyć długość orbity i prędkość. I to będą wszystkie informacje, jakie są nam potrzebne, żeby wyliczyć naszą pozycję w stosunku do najbliższego źródła grawitacji. Stamtąd możemy skoczyć w stazę. Wszystkie nasze przyrządy komunikacyjne działające w stazie są sprawne. Będziemy mogli nadać wiadomość z prośbą o pomoc i wymienić sprzęt na stacji w stazie.

Zdumieni nawigatorzy dołączyli do niej w korytarzu.

- Odliczanie - zarządziła Rydra.

Przy zerze Ron wyłączył ściany. Kulki zaczęły dryfować, ustawiając się powoli.

- Człowiek codziennie się czegoś uczy - rzekł Calli. - Gdyby mnie ktoś spytał, to powiedziałbym, że utknęliśmy tu na zawsze. A z racji mojego zawodu takie rzeczy powinienem wiedzieć. Jak to wymyśliłaś?

- Dzięki wyrażeniu „wielki okrąg” w... innym języku.

- Innej mowie? - spytała Mollya. - Jakiej?

- Cóż - Rydra wzięła metalową tabliczkę i rysik. - Upraszczam trochę, ale spróbuję wam to pokazać. - Narysowała coś na tabliczce. - Założmy, że słowo oznaczające okrąg brzmi „O”. Ten język ma system tonów, za pomocą których wyraża się porównania. Oznaczmy to znakami diakrytycznymi: $\hat{\ } , \bar{\ } , \check{\ } ,$ które będą odpowiednio oznaczać: największy, zwykły, najmniejszy. Co w takim razie będzie oznaczać $\check{\ }O$?

- Najmniejszy możliwy okrąg? - podsunął Calli. - Czyli pojedynczy punkt.

Rydra skinęła głową.

- A teraz, kiedy będziemy mówili o okręgu wpisanym w sferę, założmy, że słowo oznaczające zwykły okrąg to $\hat{\ }O$, po nim zaś następuje jeden z dwóch symboli, oznaczający bądź niestykanie się z niczym, bądź przecinanie - $\bar{\ }O$ lub X . Co w takim razie oznacza $\hat{\ }OX$?

- Zwykły okrąg, który się przecina - rzekł Ron.

- A ponieważ wszystkie okręgi wielkie się przecinają, w tym języku wyrażenie oznaczające okrąg wielki to zawsze $\hat{\ }OX$. Informacja jest zawarta w samym wyrażeniu, tak jak w wyrażeniu „przystanek autobusowy” albo „lisia jama” - podczas gdy we francuskim odpowiadające im słowa *la gare* i *le terrier* tego nie mają. „Okrąg wielki” niesie ze sobą pewną informację, ale niekoniecznie informację, która pozwoliłaby nam rozwiązać problem. Musiałam przejść na inny język, żeby pomyśleć o tym problemie jasno, bez obchodzenia go na różne sposoby, trafiając od razu do tego aspektu, o który nam chodziło.

- A jaki to język? - spytał Calli.

- Nie wiem, jak nazywa się naprawdę. Na razie nazywamy go Babel-17. Na podstawie tych nielicznych informacji, jakie mam na jego temat, mogę wnioskować, że większość jego słów lub wyrażen zawiera w sobie więcej informacji o rzeczach, które oznaczają, niż dowolne cztery lub pięć

języków, jakie przychodzą mi do głowy, i zajmuje to mniej miejsca. - Zwróciła się do Molly i streściła to w jej języku.

- Kto mówi? - spytała Molly, która najwyraźniej zawzięta się, żeby używać w angielskim jak najmniejszej liczby słów.

Rydra przygryzła wargę od środka. Kiedy sama zadawała sobie to pytanie, żołądek zwijał jej się w kulkę, ręce zaczynały czegoś poszukiwać, a tęsknota za odpowiedzią urastała nieomal do rozmiarów bólu gardła. Tak się stało i teraz. Po chwili uczucie minęło.

- Nie wiem. Ale chciałabym się dowiedzieć. I to jest główny cel naszej podróży: dowiedzieć się, kto mówi tym językiem.

- Babel-17 - powtórzył Ron.

Jeden z chłopców z plutonu, zajmujący się instalacjami, zakaszłał za nimi.

- O co chodzi, Carlos?

Przysadzisty, przypominający byka Carlos miał wielkie, luźne mięśnie i lekko seplenił.

- Pani kapitan, mogę o coś zapytać? - Zmienił pozycję z charakterystyczną dla nastolatka niezgrabnością i podrapał się po bosych stopach, pokrytych odciskami od wspinania się po rurach napędu, opierając je o próg. - Coś jest w rurach. Chyba powinna pani na to rzucić okiem.

- Ślimak kazał ci mnie ściągnąć?

Carlos podrapał się za sterczącym uchem obgryzionym paznokciem kciuka.

- Aha.

- Wasza trójka potrafi się tym zająć, co?

- Tak jest, pani kapitan. - Calli spojrzał na zbliżające się do siebie kulki.

Rydra ruszyła za Carlosem. Zjechali w dół ruchomą drabiną i pochyleni przeszli pomostem zawieszonym wysoko pod sufitem.

- Tędy - powiedział Carlos, niepewnie prowadząc pod wygiętymi szynami magistrali. Na platformie z kratownicy zatrzymał się i otworzył szafę w ścianie. - Proszę spojrzeć. - Wyjął płytkę drukowaną. - Tutaj. - Cienkie pęknięcie na plastikowej powierzchni. - Złamane.

- Jak? - spytała Rydra.

- W taki sposób. - Ujął płytkę obiema rękami i wykonał gest zginania.

- Jesteś pewien, że nie pękła sama?

- Nie mogłaby - odparł Carlos. - Kiedy znajduje się na swoim miejscu, jest dobrze zamocowana. Nie da się jej rozwalić nawet młotem. Na tej płytce są wszystkie obwody łączności.

Rydra skinęła głową.

- Deflektory pola żyroskopowego do manewrowania w zwykłej przestrzeni. - Otworzył kolejne drzwiczki i wyjął następną płytkę. - Tutaj.

Rydra przeciągnęła paznokciem po drugiej płytce.

- To musiał zrobić ktoś ze statku - powiedziała. - Zabierz je do warsztatu. Powiedz Lizzy, że kiedy skończy przedrukowywanie, ma je przynieść z powrotem i ja je włożę. I oddaj jej kulki.

2.

Zanurz klejnot w gęstym oleju. Blask zażółca się powoli, potem bursztynowieje, wreszcie czerwienieje i gaśnie. Tak wyglądał skok w przestrzeń hiperstatyczną.

Siedząca przy konsoli komputera Rydra przyglądała się tabelom. Od początku podróży słownik powiększył się dwukrotnie. Zadowolenie wypełniło jedną stronę jej umysłu jak dobry posiłek. Słowa i ich proste układanie, łatwość zawsze na języku, pod palcami, układały się dla niej, odsłaniając, definiując, odsłaniając.

Gdzieś tu czał się zdrajca. Pytanie, próżnia, gdzie nie pojawiała się żadna informacja będąca odpowiedzią, tworzyło pustkę po drugiej stronie jej mózgu; zadrezczała się tym aż do załamania. Ktoś celowo uszkodził te płytki. Lizzy to potwierdziła. Czy są na to jakieś słowa? Imiona wszystkich członków załogi, a przy każdym znak zapytania.

Rzuć klejnot na hałdę klejnotów. Tak wyglądał skok z hiperstazy w okolice Stoczni Wojennej Sojuszu na Armsedge.

Siedząc przy konsoli łączności włożyła hełm czuciowy.

- Chcecie tłumaczyć?

Błysnął wskaźnik oznaczający zgodę. Każdy z bezcielesnych obserwatorów monitorował parametry strumienia grawitacyjnego i elektromagnetycznego prądów stazy dla danej częstotliwości wszystkimi zmysłami; każdy w innym paśmie. Tych parametrów było mnóstwo, a pilot sterował statkiem wśród prądów, jakby żeglował po oceanie. Hełm kondensował je, dzięki czemu kapitan mógł oglądać ogólny obraz macierzy, zredukowany tak, by cielesny obserwator od tego nie zwariował.

Włożyła hełm, zakrywając oczy, uszy i nos.

Coś cisnęło nią przez pętle z błękitu i rzuciło w indygo; dryfowała przez kompleks stacji i planetoid składających się na Stocznnię Wojenną. W słuchawkach rozlegało się brzęczenie przerywane wybuchami szumu. Emitery węchowe poczęstowały ją zmieszonym smrodem perfum i gorącego oleju, doprawionego gorzkim zapachem palącej się skórki cytrynowej. Gdy uruchomiła wszystkie trzy zmysły, została odcięta od rzeczywistości w kabinie i dryfowała przez czuciowe abstrakcje. Prawie minutę zajęło jej przebicie się przez wrażenia i rozpoczęcie interpretacji.

- Dobrze. Co widzę?

- Światła to różne planetoidy i stacje pierścieniowe składające się na Stocznnię Wojenną - wyjaśniło Oko. - Ten błękitny kolor z lewej to sieć radarowa, którą rozciągnięto w stronę Centrum Gwiazdowego Czterdzieści Dwa. Czerwone rozbłyski w prawym górnym rogu to odbicie Bellatrix w częściowo powlekanym dysku solarnym obracającym się cztery stopnie poza polem widzenia.

- A ten niski szum? - spytała Rydra.

- To napęd statku - odparło Ucho. - Zignoruj go. Mogę go zablokować, jeśli wolisz.

Rydra skinęła głową i szum ucichł.

- To stukanie - zaczęło Ucho...

- ... to alfabet Morse'a - dokończyła Rydra. - Rozpoznaję go. Pewnie jacyś dwaj radioamatorzy, którzy wolą trzymać się z dala od obwodów optycznych.

- Zgadza się - potwierdziło Ucho.

- Co tak cuchnie?

- Ogólny zapach to pole grawitacyjne Bellatrix. Nie można odbierać wrażeń węchowych w

stereo, ale spalona skórka cytrynowa to siłownia, która znajduje się za tą zieloną poświatą, na wprost ciebie.

- Gdzie zacumujemy?
- Pośrodku triady e-moll.
- W tym wrzącym oleju, którego zapach dolatuje z lewej strony.
- Dokładnie na tym białym polu.

Rydra przełączyła się na pilota.

- Dobrze, Mosiądz, cumujemy.

Spodek ślizgacz opadł w dół rampy; przy czterech piątych g balansowało się łatwo. Bryza sztucznego zmięzchu zwiewała jej włosy na plecy. Dookoła niej rozciągał się główny arsenał Sojuszu. Przez chwilę zadumała się nad przypadkowym urodzeniem, które rzuciło ją w część kosmosu opanowaną przez Sojusz. Gdyby stało się to w innej galaktyce, mogłaby być Najeźdźcą. Jej wiersze były popularne i tu, i tam. Postanowiła o tym nie myśleć. Płynąc przez Stocznnię Wojenną Sojuszu, nie powinna się tym przejmować.

- Kapitan Wong, przybywa pani z polecenia generała Forestera.

Skinęła głową, a dysk się zatrzymał.

- Poinformował nas, że jest pani ekspertem w dziedzinie Babel-17.

Ponownie przytaknęła. Inny dysk zatrzymał się tuż obok niej.

- Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, i jeśli tylko mógłbym jakoś pani pomóc, proszę dać mi znać.

Wyciągnęła rękę.

- Dziękuję panu, baronie Ver Dorco.

Czarne brwi powędrowały w górę, a usta w ciemnej twarzy wygięły się.

- Interesuje się pani heraldyką?

Uniósł długie palce do tarczy na piersi.

- Tak.

- Co za osiągnięcie, pani kapitan. Żyjemy w świecie izolowanych społeczności, prawie nie mamy kontaktu z sąsiadami, jakby każdy z nas mówił innym językiem.

- Ja mówię wieloma.

Baron pokiwał głową.

- Czasem wydaje mi się, pani kapitan, że gdyby nie Inwazja, coś, na co Sojusz może nakierować swą energię, nasze społeczeństwo by się rozpadło. Pani Wong... - Zamilkł, a delikatne zmarszczki na jego czole zmieniły położenie, przybrały wyraz skupienia, po czym nagle otwarły się. - Rydra Wong?

Przytaknęła i odwzajemniła jego uśmiech z delikatnym niepokojem, co też może oznaczać rozpoznanie.

- Nie zdawałem sobie sprawy... - Wyciągnął rękę, jakby dopiero teraz się spotkali. - Ale oczywiście... - Powierzchnia jego manier odpadała płatami. Gdyby Rydra nigdy przedtem nie widziała takiej przemiany, pochlebiłoby jej to. - Pani książki... Chciałbym tylko, żeby pani wiedziała... - Zdanie zawisło, przechodząc w delikatne potrząsanie głową. Jego ciemne oczy były zbyt szerokie; wargi zbyt bliskie złośliwego uśmieszku; ręce poszukiwały siebie nawzajem; wszystko to mówiło jej o niepokojącym apetycie na jej obecność, głód czegoś, czym była lub mogła być, wilczy głód... - Kolację w moim domu podajemy o siódmej - przerwał jej myśli niepokojącą stosownością. - Dziś wieczorem zje pani ze mną i z baronową.

- Dziękuję, ale chciałam omówić coś z załogą.

- W takim razie zapraszam też całą załogę. Mamy duży dom, będziecie mieli do dyspozycji sale

konferencyjne, rozrywki, i nie będziecie musieli się gniewać w ciasnocie statku. - Jego purpurowy język migał między białymi zębami; brązowe linie warg, pomyślała, formują słowa tak ospale, jak ospale poruszają się szczęki modliszki-kanibala.

- Proszę o nieco wcześniejsze przybycie, byśmy mogli przygotować panią...

Wstrzymała oddech i poczuła się niezręcznie; niewielkie zwięzienie oczu odpowiedziało jej, że zarejestrował jej reakcję, choć jeszcze nie rozumiał, co pomyślała.

- ... do zwiedzania Stoczni. Generał Forester zasugerował, byśmy wtajemniczyli panią we wszystkie działania, jakie podejmujemy przeciwko Najeźdźcom. To dla nas wielki zaszczyt, madame. Mamy tu wielu zaprawionych w bojach oficerów, którzy nie zobaczą tego, co pani pokażemy. Choć sporo tych rzeczy będzie nudnych, zapewniam panią. Mnóstwo banałów. Niektóre nasze przedsięwzięcia są jednak dość nowatorskie. Nie pozwalamy wyobraźni usnąć.

Ten człowiek budzi we mnie paranoikę, pomyślała. Nie podoba mi się.

- Wolalabym się nie narzucać, panie baronie. Mamy na statku kilka problemów, które muszę...

- Ależ proszę przyjść. Pani praca tutaj będzie o wiele łatwiejsza, jeśli przyjmie pani moją ofertę gościnności, zapewniam panią. Kobieta z pani talentem i osiągnięciami to zaszczyt dla moich progów. A od jakiegoś czasu - jego ciemne usta rozsunęły się, ukazując błyszczące zęby - umieram z tęsknoty za inteligentną rozmową.

Poczuła, jak szczeka odruchowo jej się zaciska, by wygłosić trzecią ceremonialną odmowę. Baron mówił jednak:

- W takim razie oczekujemy pani i pani załogi, niezobowiązująco, o siódmej.

Dysk pomknął po hali. Rydra spojrzała na rampę, gdzie czekał statek, ocieniony sztucznym zmierzchem. Jej dysk zaczął wspinać się w kierunku „Rimbauda”.

- Cóż - zwróciła się do swojego małego kucharza albinosa, który dzień wcześniej zdjął bandaż ciśnieniowy - dziś wieczorem masz wolne. Ślimaku, załoga wychodzi na kolację. Dopilnuj, żeby dzieciaki opanowały jakieś podstawowe maniery zachowania przy stole - sprawdź, czy wszyscy wiedzą, jakim nożem je się groszek i takie tam.

- Widelec do sałatki to ten mały na zewnątrz - ogłosił uprzejmie Ślimak i zwrócił się do plutonu.

- A ten mały jeszcze dalej na zewnątrz? - spytała Allegra.

- To do ostryg.

- A jeśli nie podadzą ostryg?

Flop potarł dolną wargę kostką kciuka.

- To będzie można sobie podłubać nim w zębach.

Mosiądz oparł łapę na ramieniu Rydry.

- No i jak się czujemy, ‘ani ka’itan?

- Jak prosię na ruszcie.

- Wyglądasz jakoś... - zaczął Calli.

- Jak? - spytała.

- ... niewyraźnie - dokończył tajemniczo.

- Może za dużo pracuję. Dziś wieczorem zostaliśmy zaproszeni do barona Ver Dorco. Mam nadzieję, że wszyscy się tam trochę zrelaksujemy.

- Ver Dorco? - spytała Mollya.

- On zajmuje się koordynacją różnych projektów badawczych związanych z walką z Najeźdźcami.

- To tutaj wytwarzają coraz większe i lepsze rodzaje broni? - dopytywał się Ron.

- Także mniejsze, ale bardziej śmiertelne. Przypuszczam, że czegoś się o tym dowiemy.

- Te 'róby sabotażu... - wtrącił Mosiadz. Rydra powiedziała im pokrótce, co się dzieje. -

Wystarczy jakiś skuteczny sabotaż tutaj i mamy duży 'roblem na wojnie z Najeźdźcami.

- To chyba najbardziej precyzyjne trafienie, jakie może im przyjść do głowy. Poza Kwaterą Główną Sojuszu.

- Będiesz w stanie ich powstrzymać? - spytał Ślimak.

Rydra wzruszyła ramionami i zwróciła się do buzującej obecności bezcielesnej załogi.

- Mam parę pomysłów. Posłuchajcie, zamierzam was poprosić, żebyście dziś wieczorem zachowali się nieco nieuprzejmie i trochę poszpiewowali. Oko, zostajesz na statku i dopilnujesz, żeby nikogo poza tobą tu nie było. Ucho, kiedy wyruszymy do barona, masz być niewidzialne i nie oddalać się ode mnie dalej niż na dwa metry, aż wrócimy na statek. Nos, ty przesyłasz wiadomości tam i z powrotem. Dzieje się tu coś, co mi się nie podoba. Nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, czy coś rzeczywistego.

Oko powiedziało coś złowieszczonego. W zwykłych warunkach cieleśni mogli rozmawiać z bezcielesnymi - i pamiętać potem tę rozmowę - tylko dzięki używaniu specjalnego sprzętu. Rydra rozwiązała problem w ten sposób, że błyskawicznie tłumaczyła wszystko na baskijski, zanim słabe synapsy zaczęły pękać. Choć oryginalne słowa przy tym ginęły, tłumaczenie pozostawało: te popękane płytki drukowane to nie wytwór twojej wyobraźni, takie było sedno w baskijskim.

Spoglądała na załogę z coraz większym dyskomfortem. Gdyby ktoś spośród dzieciaków czy oficerów stał się po prostu psychotycznie destrukcyjny, pojawiłoby się to w jego psychoindeksie. A tymczasem wśród nich był ktoś świadomie destrukcyjny. To bolało jak niewidoczna drzazga w podeszwie stopy, która kłuje, gdy próbujemy stanąć. Rydra pamiętała uczucie, które towarzyszyło jej podczas nocnych poszukiwań. Duma. Ciepłe uczucie dumy, gdy obserwowała, jak ich funkcje przeplatają się, gdy przemierzali drogę wśród gwiazd. Ciepło wiązało się z uczuciem ulgi; wiedziała, co się może stać z „maszyną zwaną statkiem”, kiedy „maszyna zwana załogą” nie pracuje precyzyjnie i w doskonałej harmonii. Chłodne uczucie dumy w innej części jej umysłu, łatwość, z jaką się dogadywali: dzieciaki, bez doświadczenia w pracy i w życiu; dorośli, tak bliscy nieprzyjemnych sytuacji, które mogłyby pozostawić rysy na ich wygładzonej skuteczności i stworzyć psychiczne rzeźby służące do przyczepiania się do siebie nawzajem. Ale wybrała ich: a statek, jej świat, był tak pięknym miejscem, gdzie można chodzić, żyć i pracować przez całą podróż.

Gdzieś jednak czaił się zdrajca.

To jakieś krótkie spięcie. Gdzieś w rajku, teraz... - przypomniała sobie, patrząc na załogę. Gdzieś w rajku, teraz, wąż, wąż. Te pęknięte płytki mówiły jej: wąż chce zniszczyć nie tylko mnie, lecz także cały statek, całą załogę, całą zawartość. Powoli. Żadnych ostrzy połyskujących nocą, żadnych strzałów zza węgła, żadnego sznura owiniętego wokół szyi po wejściu do ciemnej kajuty. Babel-17 - czy jest język wart tego, by kłaść na szali swoje życie?

- Ślimaku, baron chce, żebym przyszła trochę wcześniej i zapoznała się z najnowszymi metodami mordowania. Przygotuj dzieci w miarę wcześnie, dobrze? Teraz wychodzę. Oko i Ucho, na pokład.

- Tak jest, pani kapitan - odparł Ślimak.

Bezcieleśna załoga przeszła w tryb niedostrzegalny.

Rydra przechyliła dysk nad rampą i pomknęła, oddalając się od dyskutujących młokosów i oficerów zastanawiających się nad przyczyną jej niepokoju.

3.

Prymitywne, barbarzyńskie uzbrojenie. - Baron wskazał gestem rząd plastikowych pojemników o coraz większych rozmiarach, umieszczonych na regale. - Co za wstyd, że tracimy czas na takie prymitywne ustrojstwa. To małe może zdemolować obszar o powierzchni jakichś stu trzydziestu kilometrów kwadratowych. Te większe zostawiają krater o głębokości ponad czterdziestu kilometrów i szerokości osiemdziesięciu. Co za barbarzyństwo. Bałbym się ich użyć. To coś po lewej jest bardziej subtelne: eksploduje raz i niszczy sporych rozmiarów budynek, ale sam pancierz bomby pozostaje nietknięty i ukryty pod gruzami. Sześć godzin później eksploduje ponownie i tym razem dokonuje zniszczeń na miarę solidnej bomby atomowej. Zostawia ofiarom wystarczająco dużo czasu na to, żeby ściągnąć służby ratunkowe, robotników, siostry Czerwonego Krzyża, czy jak tam nazywają ich Najeźdźcy, całe tłumy ekspertów, którzy mają ocenić rozmiary zniszczeń. I wtedy bum. Opóźniona eksplozja wodorowa, krater o średnicy pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kilometrów. Nie czyni aż tak dużych szkód fizycznych jak najmniejsza z pozostałych, ale pozwala się pozbyć dużej ilości sprzętu i krzątających się dobroczyńców. Ale to i tak broń uczniaka. Trzymam ją w mojej prywatnej kolekcji tylko po to, żeby pokazać, że mamy standardowe wyposażenie.

Kroczyła za nim; przeszli pod łukowatym sklepieniem do następnej sali. Pod ścianami stały witryny, a na środku pomieszczenia pojedyncza gablota.

- A teraz coś, z czego jestem szczególnie dumny. - Baron podszedł do gabloty i przezroczyste ściany stanęły otworem.

- A co to właściwie jest? - spytała Rydra.

- A jak pani sądzi?

- Kawałek skały.

- Odłamek metalu - poprawił baron.

- To materiał wybuchowy czy coś szczególnie twardego?

- Nie wybucha - uspokoił ją. - Ma wytrzymałość na rozciąganie większą niż stal tytanowa, ale posiadamy o wiele mocniejsze tworzywa sztuczne.

Rydra już miała wyciągnąć rękę, ale najpierw zapytała:

- Czy mogę wziąć go do ręki i przyjrzeć mu się?

- Wątpię - odparł baron. - Proszę spróbować.

- Co się stanie?

- Niech się pani sama przekona.

Sięgnęła, by wziąć do ręki obły odłamek. Jej dłoń zatrzymała się na powietrzu jakiś centymetr nad powierzchnią. Przesunęła palce niżej, żeby do dotknąć, ale zjechały w bok. Rydra zmarszczyła czoło.

Przesunęła dłoń w lewo, ale ta znalazła się po drugiej stronie dziwnego odłamka.

- Chwileczkę. - Baron uśmiechnął się i podniósł kawałek. - Gdyby zobaczyła pani coś takiego leżącego na ziemi, nie zastanawiałaby się pani za długo, prawda?

- To jest trujące? - podsunęła Rydra. - Czy to fragment czegoś większego?

- Nie. - Baron z namysłem odwrócił odłamek. - Po prostu wysoce wybiórcze. I uczynne. - Uniósł rękę. - Wyobraźmy sobie, że potrzebuje pani pistoletu. - W ręce barona tkwił teraz smukły wibropistolet; nigdy nie widziała takiego modelu. - Albo klucza szwedzkiego. - Teraz trzymał w dłoni klucz o długości pół metra. Poprawił coś w uchwycie. - Albo maczety. - Ostrze załśniło, gdy cofnął ramię. - Albo małej kuszy. - Miała uchwyt jak pistolet i cięciwę nie dłuższą niż trzydzieści

centymetrów. Sprężyna była podwójna i przymocowana półcentymetrowymi wkrętami. Baron pociągnął za spust - nie było strzały - rozległo się puknięcie, a po nim nieustająca wibracja naciągu, którego zęby zgrzytały o siebie.

- To jakieś złudzenie - powiedziała Rydra. - Dlatego nie mogę tego czegoś dotknąć.

- Metalowy przebijak - oznajmił baron. W jego dłoni pojawił się młotek z bardzo cienką główką. Stuknął nim o dno gabloty, w której przechowywał tę „broń”. Rozległ się ostry szczęk. - Proszę spojrzeć.

Rydra dostrzegła okrągłe wgniecenie pozostawione przez główkę młotka. Pośrodku widniał niewyraźny kształt tarczy Ver Dorco. Przesunęła opuszkami palców po wgniecionym metalu, jeszcze ciepłym od uderzenia.

- To nie złudzenie - rzekł baron. - Ta kusza przestrzeliła na wylot siedmiocentymetrową dębową deskę piętnastocentymetrową strzałą z odległości trzydziestu metrów. A wibropistolet - doskonale pani wie, co może zrobić.

Trzymał przedmiot - który znów wyglądał jak kawałek metalu - nad jego miejscem w gablotce.

- Proszę go tam włożyć.

Wyciągnęła rękę, a on upuścił przedmiot. Zamknęła palce, by go chwycić, ale już był z powrotem na swoim miejscu.

- To żadne czary-mary. Jest po prostu wybiórczy... i uczynny.

Dotknął brzegu gabloty i plastikowe osłony zamknęły się.

- Sprytna zabaweczka. Zobaczmy coś innego.

- Ale jak to działa?

Ver Dorco uśmiechnął się.

- Udało nam się spolaryzować stopy cięższych pierwiastków tak, by istniały tylko w ramach niektórych macierzy percepcyjnych. W innych przypadkach odginają się. To oznacza, że jest niewykrywalny, chyba że wizualnie, a to też możemy wyłączyć. Nie ma masy, nie ma objętości; ma tylko bezwładność. A to oznacza, że zabranie go na pokład statku z napędem hiperstatycznym spowoduje rozbicie sterowania napędem. Dwa albo trzy gramy czegoś takiego w pobliżu układu bezwładność-staza wywołają niezrównoważone naprężenie. Taka jest jego główna funkcja. Przeszmugujemy to na pokład statku Najeźdźców i wyeliminujemy go z gry. A cała reszta to już dziecinna zabawa. Nieoczekiwana właściwość spolaryzowanej materii w pamięci rozciągliwej.

Minęli kolejne łukowato sklepione przejście i przeszli do następnego pomieszczenia.

- Odprężona do dowolnego kształtu w czasie i skodyfikowana struktura tej bryły jest przechowywana w molekułach. - Baron rzucił okiem na gablotę. - To naprawdę proste. A tutaj - wskazał gestem gabloty pod ścianą - jest prawdziwa broń: jakieś trzy tysiące planów obejmujących tę spolaryzowaną bryłę metalu. „Bronią” jest wiedza o tym, co można zrobić z tym, co się ma. W walce wręcz piętnastocentymetrowe ostrze z wanadu może być śmiertelne. Wbite bezpośrednio w górną część oka przetnie ukośnie płyty czołowe, a jeśli potem szybko przechyli je się w dół, przebije mózdek i spowoduje paraliż ogólny; pchnięte silnie przetnie połączenie między rdzeniem przedłużonym a rdzeniem kręgowym: śmierć. Tego samego kawałka drutu można użyć do spięcia modułu komunikacyjnego 27-QX, który jest obecnie używany przez Najeźdźców w systemach stazy.

Rydra poczuła, jak napinają jej się mięśnie wzdłuż kręgosłupa. Wstręt, jaki przedtem w sobie stłumiła, powrócił z całą mocą.

- Następną wystawą przedstawia osiągnięcia Borgiów. Borgiami nazywam nasz wydział toksykologii. Najpierw znów kilka barbarzyńskich produktów. - Wyjął z uchwyty ściennej zapieczętowaną szklaną fiolkę. - Czysta toksyna błonicy. Wystarczy, żeby zatruć zbiornik wody i

wytruć średniej wielkości miasto.

- Ale standardowa procedura szczepień... - przerwała mu Rydra.

- Toksyna błonicy, moja droga. Toksyna! Dawno temu, kiedy choroby zakaźne stanowiły problem, badano zwłoki ofiar błonicy i nie znajdowano niczego poza paroma setkami tysięcy bakterii, a wszystkie w gardle ofiary. Nigdzie indziej. W przypadku jakiegokolwiek bakcyli to wystarcza najwyżej do wywołania niewielkiego kaszlu. Odkrycie, co się naprawdę dzieje, wymagało wielu lat pracy. Ta niewielka liczba bakterii wytwarzała jeszcze mniejszą ilość pewnej substancji, która jest najbardziej śmiertelnym związkiem organicznym, jaki znamy. Ilość potrzebna do zabicia jednego człowieka - och, nawet trzydziestu albo czterdziestu ludzi - jest praktycznie niewykrywalna. Aż do teraz jedyny sposób jej otrzymania polegał na zmuszeniu do pracy usłużnych pałeczek błonicy. Borgiom udało się to zmienić. - Wskazał inną fiolkę. - Cyjanek, odwieczny koń bojowy! I ten złowieszczy zapach migdałów - czy jest pani głodna? Możemy w każdej chwili podać koktajle.

Potrząsnęła głową, szybko i stanowczo.

- A teraz pyszności. Katalizatory. - Przesunął ręką wzdłuż rzędu fiolek. - Daltonizm, całkowita ślepotą, niemożność rozróżniania tonów, całkowita głuchota, ataksja, amnezja, i tak dalej, i tak dalej. - Opuścił dłoń i uśmiechnął się jak głodny gryzoń. - A wszystkie one wywołują właśnie przez te substancje. Rozumie pani, problem z wywołaniem tak konkretnego skutku polega na tym, że trzeba by wprowadzić ich stosunkowo duże ilości. Jakąś jedną dziesiątą grama czy nawet więcej. A więc katalizatory. Żadna z substancji, którą pani pokazałem, nie wywoła żadnego skutku, nawet po połknięciu całej fiolki. - Wziął ostatni pojemnik, który wskazał, i nacisnął przycisk na jego końcu. Rozległ się cichy syk uciekającego gazu. - Aż do tej chwili był to całkowicie niegroźny rozproszony steryd.

- Który aktywuje te trucizny, by dawały... pożądany skutek?

- W rzeczy samej - uśmiechnął się baron. - A katalizatorem może być coś w dawce tak mikroskopijnej jak wspomniana toksyna błonicy. Zawartość tego błękitnego słoika może panią przyprawić o lekki ból żołądka i niewielki ból głowy, trwające przez jakieś pół godziny. Nic groźniejszego. Zielony słoik obok niego: całkowita atrofia kory mózgowej w ciągu tygodnia. Ofiara na resztę życia zamienia się w warzywko. Słoik purpurowy: śmierć. - Uniósł ręce spodami dłoni w górę. - Umieram z głodu. - Ręce opadły. - Idziemy na kolację?

Spytaj go, co jest w tamtym pokoju, powiedziała sobie w duchu, i pewnie odsunęłaby to od siebie jako chwilową ciekawość, ale myślała po baskijsku: była to wiadomość od jej niewidocznego bezcielesnego strażnika, stojącego obok.

- Kiedy byłam dzieckiem, panie baronie - przesunęła się w kierunku drzwi - niedługo po tym, jak przyleciałam na Ziemię, zostałam zaprowadzona do cyrku. Wtedy po raz pierwszy widziałam naraz tyle rzeczy tak blisko siebie, że było to fascynujące. Dałam się zabrać do domu dopiero godzinę po tym, jak wszyscy inni zaczęli się zbierać. Co ma pan w tym pokoju?

Zaskoczenie widoczne w drgnięciu drobnych mięśni na jego czole.

- Proszę mi pokazać.

Skinął głową z drwiącą, półformalną przychylnością.

- Nowoczesną wojnę można toczyć na wielu tak cudownie różnych poziomach - mówił dalej, maszerując u jej boku, jakby nie padła żadna propozycja przerwy w zwiedzaniu. - Można wygrać bitwę, dbając tylko o to, by wojsko miało dość muszkietów i toporów bojowych, takich jak ten, który widziała pani w pierwszej sali; albo też umieszczając piętnastocentymetrowy drut wanadowy w module łączności 27-QX. Rozkazy dotrą za późno, spotkanie nigdy nie dojdzie do skutku. Broń do walki wręcz, zestaw biwakowy plus szkolenie, mieszkanie i wyżywienie: trzy tysiące kredytów na

zwerbowanego gwiazdowca przez okres dwóch lat aktywnej służby. Dla garnizonu składającego się z tysiąca pięciuset żołnierzy to już wydatek rządu czterech milionów pięciuset tysięcy kredytów. Ten garnizon wymaga trzech hiperstatycznych okrętów bojowych, które, w pełni wyposażone, będą kosztowały jakieś półtora miliona kredytów za sztukę - co razem daje koszty w wysokości dziewięciu milionów kredytów. Raz wydaliśmy jakiś milion na szkolenie jednego szpiega czy sabotażysty. To raczej wydatek wyższy niż zwykle. A nie przypuszczam, by piętnastocentymetrowe ostrze z wanadu mogło kosztować jedną trzecią centa. Wojna jest kosztownym przedsięwzięciem. A choć trochę to trwało, w kwaterze administracyjnej Sojuszu zaczęto sobie zdawać sprawę z tego, że subtelność się opłaca. - Tędy, panno... pani kapitan Wong.

Znów znaleźli się w sali, gdzie znajdowała się tylko jedna gablota, ale miała dwa metry wysokości.

Statua, pomyślała Rydra. Nie, to prawdziwe ciało, z subtelnościami mięśni i stawów; nie, to musi być statua, bo ludzkie ciało, martwe czy znieruchomiałe, nie wygląda na tak... żywe. Tylko sztuka może dać taką żywotność.

- Więc, rozumie pani, odpowiedni szpieg jest bardzo ważny. - Choć drzwi otworzyły się automatycznie, baron przytrzymał je w uprzejmym geście. - To jeden z naszych najdroższych modeli. Koszty były niższe niż milion kredytów, ale należy do moich ulubionych - choć w praktyce ma swoje wady. Gdyby wprowadzić kilka pomniejszych zmian, mógłby na stałe wejść do naszego arsenału.

- Model szpiega? - spytała Rydra. - To jakiś robot czy android?

- Nic z tych rzeczy. - Podeszli do gabloty. - Wyprodukowaliśmy sześć sztuk modelu TW-55. Wymagało to szeroko zakrojonych badań genetycznych. Medycyna odnotowała takie postępy, że wszelkie rodzaje beznadziejnych ludzkich odpadów przeżywają i mnożą się na potęgę - kiepskiej jakości istoty, które dawno temu nie miałyby szans na przeżycie. Starannie wybraliśmy rodziców, a potem w drodze sztucznego zapłodnienia uzyskaliśmy sześć zygot, trzy męskie, trzy żeńskie. Wychowaliśmy je w starannie kontrolowanym pod względem żywieniowym środowisku, przyspieszając ich rozwój hormonami i innymi czynnikami. Ale całe ich piękno to eksperymentalny imprinting. Fantastycznie zdrowe istoty, nie ma pani pojęcia, jaką opieką je otoczyliśmy.

- Spędziłam kiedyś lato na krowiej farmie - odparła Rydra krótko.

Baron skinął szybko głową.

- Korzystaliśmy już wcześniej z eksperymentalnego imprintingu, więc wiedzieliśmy, co robimy. Tylko że nigdy wcześniej nie dokonywaliśmy kompletnej syntezy życia, powiedzmy, szesnastolatka. A oni po sześciu miesiącach osiągali poziom rozwoju szesnastolatka. Proszę, niech pani sama zobaczy, jaki to wspaniały okaz. Odruchy lepsze o pięćdziesiąt procent niż u człowieka, który się rozwijał normalnie. Wspaniale zaprojektowana muskulatura: po trzech dniach postu i po sześciu miesiącach chorowania na zanik mięśni dzięki użyciu odpowiednich środków stymulujących może przewrócić półtoratonowy samochód. To go zabije - ale wynik i tak jest imponujący. Proszę pomyśleć, co też to biologicznie idealne ciało, zawsze działające z wydajnością zero przecinek dziewięćdziesiąt dziewięć, może osiągnąć tylko dzięki samej sile fizycznej.

- Myślałam, że stymulacja hormonalna jest prawnie zakazana. Czy ona nie skraca drastycznie życia?

- W zakresie, w jakim z niej korzystaliśmy, czas życia skraca się o jakieś siedemdziesiąt pięć procent. - Uśmiechnął się, jakby patrzył na wybryki jakiegoś dziwnego zwierzęcia. - Ale, droga pani, proszę pamiętać o tym, że mówimy o produkcji broni. Jeśli TW-55 może funkcjonować z maksymalną wydajnością przez dwadzieścia lat, i tak przeżyje o pięć lat statystyczny krążownik bojowy. Ale ten eksperymentalny imprinting! Aby znaleźć wśród zwykłych ludzi kogoś, kto chce zostać szpiegiem, kto

chce żyć jak szpieg, należy prowadzić poszukiwania na pograniczu neurozy, czy nawet psychozy. Choć takie dewiacje mogą zapewniać przewagę w określonej dziedzinie, należy pamiętać, że zawsze oznaczają ogólną słabość osobowości. Funkcjonując w każdym środowisku innym od ściśle określonego szpieg może być niebezpiecznie niewydajny. Najeźdźcy też znają psychoindeksy, co oznacza, że statystyczny szpieg będzie musiał trzymać się z dala od wszelkich miejsc, w których chcielibyśmy go umieścić. A schwytany dobry szpieg będzie dziesiątki razy bardziej niebezpieczny niż kiepski. Posthipnotycznych sugestii samobójstwa i podobnych łatwo się pozbyć za pomocą odpowiednich leków, są więc nieekonomiczne. TW-55 podczas psychointegracji osiągnie zupełnie normalne wyniki. Ma zasoby obejmujące jakieś sześć godzin zwyczajnej rozmowy towarzyskiej, streszczenia fabuł najnowszych powieści, informacje o sytuacji politycznej, muzyce, krytyce sztuki - przypuszczam, że podczas jednego wieczora ze dwa razy wymieniłyby pani nazwisko, a to zaszczyt, który dzieli pani wyłącznie z Ronaldem Quarem. Ma jeden temat, na który potrafi rozprawiać z naukową precyzją przez półtorej godziny - o ile pamiętam, w jego przypadku jest to „ugrupowania haptoglobiny u torbaczy”. Gdyby go zwyczajnie odziać, czułby się jak ryba w wodzie na balu ambasadora czy podczas przerwy na kawę w ramach konferencji rządowej na najwyższym szczeblu. Jest doskonałym mordercą, potrafiącym używać wszystkich rodzajów broni, jakie pani tu zobaczyła, i nie tylko. TW-55 ma załadowane dwunastogodzinne epizody w czternastu różnych dialektach, akcentach czy żargonach związane z podbojami seksualnymi, doświadczeniami hazardowymi, bójkami na pięści i humorystycznymi anegdotami o półlegalnych przedsięwzięciach, które skończyły się niepowodzeniem. Gdyby rozedrzeć mu koszulę, wypaćkać twarz smarem i włożyć kombinezon, byłby mechanikiem na jednym z setek statków międzygwiazdnych po drugiej stronie Rozpadliny. Może wyłączyć dowolny napęd, moduł komunikacyjny, system radarowy czy alarmowy używany przez Najeźdźców przez ostatnie dwadzieścia lat, używając tylko...

- ... piętnastocentymetrowego wanadowego drutu?

Baron uśmiechnął się.

- Może siłą woli zmieniać odciski palców czy wzorec siatkówki. Niewielka operacja neurochirurgiczna sprawiła, że może świadomie zmieniać strukturę mięśni twarzy, czyli znacząco modyfikować jej rysy. Barwniki chemiczne i zasobniki z hormonami w skórze głowy pozwalają mu zmienić kolor włosów w ciągu kilku sekund lub - jeśli to konieczne - zrzucić je i w ciągu pół godziny wyhodować nowe. Jest też mistrzem psychologii i fizjologii przymusu.

- Tortury?

- Jeśli pani zechce. Jest całkowicie posłuszny osobom, które go warunkowały, i traktuje je jako swoich zwierzchników, a całkowicie destruktywny wobec tych, których kazano mu zniszczyć. W tej pięknej głowie nie ma niczego nawet zbliżonego do superego.

- On jest... - zastanowiła się przez sekundę, co chce powiedzieć - ...piękny. - Ciemne rzęsy okalały powieki, które wyglądały, jakby zaraz miały się otworzyć, szerokie dłonie spoczywały na nagich udach z lekko podkurczonymi palcami, które mogły się zaraz wyprostować lub zacisnąć w pięść. - Mówi pan, że to nie model, tylko żywa istota?

- Och, mniej więcej. Ale jest głęboko pogrążony w czymś w rodzaju transu jogi albo gadziej hibernacji. Mógłbym go obudzić dla pani - ale jest za dziesięć siódma, a przecież nie każemy zgromadzonym przy stole na siebie czekać?

Przeniosła wzrok z postaci za szkłem na matową, naprężoną skórę twarzy barona. Jego szczęka za wklęsłym policzkiem mimowolnie się poruszała.

- Jak w cyrku - rzekła Rydra. - Ale teraz jestem już starsza. Chodźmy.

Podał jej rękę. Miał dłoń suchą jak papier i tak lekką, że o mało się nie wzdrygnęła.

4.

Pani kapitan Wong! Co za zaszczyt.

Baronowa wyciągnęła pulchną dłoń, która z powodu szaroróżowej barwy wyglądała, jakby ją obgotowano. W jej obrzmiałe, pokryte plamami ramiona wpijały się ramiączka wieczorowej sukni, na tyle skromnej, że odpowiedniej dla jej rozdętej sylwetki, ale i tak groteskowej.

- Tu, w stoczni, mamy tak mało rozrywek, że kiedy ktoś znany złoży nam wizytę... - Nie dokończyła zdania, a zamiast tego zaprezentowała coś, co miało być ekstatycznym uśmiechem, ale sam ciężar jej przypominających surowe ciasto policzków zniekształcił go w świńską parodię samego siebie.

Rydra ujęła miękkie, plastyczne palce, przytrzymała je tak długo, jak nakazywała grzeczność, i odwzajemniła uśmiech. Przypomniała sobie, że gdy była małą dziewczynką, nie wolno było jej płakać, kiedy ją karano. Ale przymus uśmiechania się był gorszy. Baronowa sprawiała wrażenie, jakby cała była tłumionym, ogromnym, bezmyślnym milczeniem. Małe drgnięcia mięśni, te sygnały zwrotne, do których Rydra była przyzwyczajona podczas rozmowy, u baronowej skrywały się pod tłuszczem. Nawet głos wydobywał się z ciężkich warg seria ostrych piśnień, jakby dobiegał przez kilka warstw koca.

- Pani załoga! Zaprosiliśmy ich wszystkich - dwadzieścia jeden osób, z tyłu składa się załoga statku. - Potrząsała palcem z protekcyjną dezaprobatą. - Czytam trochę na ten temat, wie pani. A widzę, że przyszło tylko osiemnaście osób.

- Uznałam, że bezcieleśni członkowie załogi powinni pozostać na statku - wyjaśniła Rydra. - Żeby z nimi rozmawiać, trzeba mieć specjalny sprzęt, i mogliby wprawić w zakłopotanie innych państwa gości. Poza tym wolą własne towarzystwo i nie jedzą.

Jedzą właśnie baraninę z rusztu, a ty pójdziesz do piekła za kłamstwo, powiedziała sobie w duchu po baskijsku.

- Bezcieleśni? - Baronowa dotknęła skomplikowanej, lakierowanej konstrukcji, którą stały się jej włosy. - Ma pani na myśli zmarłych? Ach, oczywiście. O tym nie pomyślałam. Widzi pani, jacy my tu jesteśmy odcięci od wszystkiego? Każę usunąć ich nakrycia.

Rydra zastanawiała się, czy baron włączył sprzęt do wykrywania bezcielesnych, gdy baronowa pochyliła się w jej stronę i szepnęła konfidencjonalnie:

- Pani załoga oczarowała wszystkich! Pani pozwoli?

Z baronem po lewej - jego dłoń służyła za pergaminowy temblak dla jej ramienia - i baronową uczepioną jej boku, dyszącą i wilgotną - wkroczyli z wyłożonego białym kamieniem foyer do hallu.

- Hej, pani kapitan! - zawołał idący w ich stronę Calli, gdy był gdzieś w ćwierci szerokości sali. - Niezłe miejsce, co? - Przebił się łokciami przez zatłoczony hall, po czym uniósł szklanę, by jej pokazać, jakich rozmiarów jest jego drink. Ściągnął wargi i pokiwał głową z aprobatą. - Pozwól, że ci coś zaproponuję. - Podsunął jej garść małych kanapek, oliwek nadziewanych wątróbką i śliwek owiniętych bekonem. - Tam gdzieś lata facet z całą tacą czegoś takiego. - Droga baronowo, drogi baronie - przeniósł wzrok najpierw na jedno, potem na drugie - czy mogę państwu także służyć? - Włożył jedną z kanapek do ust, po czym pociągnął łyk ze szklanki. - Pszszsz.

- Poczekam, aż kelner tu podejdzie - odparła baronowa.

Rozbawiona Rydra spojrzała na gospodynię, ale na twarzy tamtej widać było tylko uśmiech, mniej więcej prawidłowych rozmiarów, torujący sobie drogę przez tłuste rysy.

- Mam nadzieję, że panu smakują.

Calli przełknął.

- Pyszne. - Skrzywił się, zazgrzytał zębami, otworzył usta i potrząsnął głową. - Z wyjątkiem tych słonych z rybą. Te mi wcale nie smakowały, pani baronowo. Ale reszta jest w porządku.

- Powiem panu - baronowa pochyliła się, a uśmiech przeszedł w dochodzący z głębi piersi chichot - że tych słonych nigdy tak naprawdę nie lubiłam!

Spojrzała na Rydrę, a potem na barona, wzruszając ramionami w udawanym geście kapitulacji.

- Ale dostawca w tych czasach tak nas tyranizuje, więc cóż robić?

- Gdybym ja ich nie lubił - rzekł Calli, przechylając głowę na bok z determinacją - tobym powiedział, żeby mi ich nie przywoził!

Baronowa odwróciła wzrok, unosząc w górę brwi.

- Wie pan, ma pan rację! Właśnie tak zrobię! - Spojrzała na Rydrę, a następnie znów na męża. - Następnym razem właśnie tak zrobię, Feliksie.

Podszedł kelner z tacą kieliszków.

- Czy życzy pani sobie drinka?

- Ona nie chce tych małych - odparł Calli, wskazując gestem Rydrę. - Przynies jej takiego dużego jak mnie.

Rydra zaśmiała się.

- Calli, obawiam się, że dziś wieczorem muszę zachowywać się jak dama.

- Nonsens! - krzyknęła baronowa. - Ja też chcę dużego drinka. Zaraz, gdzie ja kazałam postawić barek, gdzieś tam, prawda?

- Ostatni raz widziałem go tam - podsunął Calli.

- Dziś wieczorem mamy się dobrze bawić, a przy tym nie da się dobrze bawić. - Złapała Rydrę za ramię i rzuciła do męża: - Feliksie, baw gości. - Po tych słowach oddaliła się, prowadząc Rydrę. -

To doktor Keebling. Kobieta z tlenionymi włosami to doktor Crane, a to mój szwagier Albert. Przedstawię panią, jak będziemy wracać. Wszystko to koledzy mojego męża. Pracuje z nimi przy tych potwornych rzeczach, które pokazywał pani w piwnicy. Wolałabym, żeby nie trzymał swojej prywatnej kolekcji w domu. Jest przerażająca. Zawsze się boję, że coś stamtąd wypełźnie w nocy i poucina nam głowy. Myślę, że w ten sposób mąż chce sobie zrekompensować śmierć syna. Wie pani, że straciliśmy naszego małego Nylesa. To już osiem lat. Od tego czasu Felix zajmuje się tylko pracą. Tylko że to bardzo proste wyjaśnienie, nie sądzi pani? Nie uważa nas pani za prowincjuszy?

- Ani trochę.

- Powinna pani. Ale z drugiej strony, wcale jeszcze nas pani dobrze nie poznała. Och, ci inteligentni młodzi ludzie mają taką żywą wyobraźnię. Cały dzień nic nie robią, tylko wymyślają nowe metody zabijania. A tak naprawdę jesteśmy taką spokojną społecznością. Czemu nie miałyby tak być? Znajdują upust dla agresji od dziewiętej do siedemnastej. A jednak sądzę, że jakoś im to szkodzi. Nie sądzi pani, że powinno się wykorzystywać wyobraźnię do celów innych niż zabijanie?

- Na pewno. - Współczucie Rydry dla grubej kobiety rosło.

Właśnie w tej chwili zatrzymało ich zagęszczenie gości.

- Co się tu dzieje? - dopytywała się baronowa. - Sam, co oni tu robią?

Sam uśmiechnął się, cofnął, a baronowa wbiła się jak klin w wolną przestrzeń, nadal trzymając Rydrę za ramię.

- Niech ktoś każe im się cofnąć!

Rydra rozpoznała głos Lizzy. Ktoś jeszcze odsunął się, by mogła zobaczyć, co się dzieje. Dzieciaki z obsługi napędu oczyściły z gości powierzchnię o przekątnej kilku metrów i strzegły jej jak młodociana policja. Lizzy przycupnęła tam z trójką chłopców, którzy - sądząc z ubrania - należeli

do miejscowej szlachty Armsedge. - Musicie pojąć - tłumaczyła im - że wszystko zależy od ruchu nadgarstka. - Pstryknęła kulkę paznokciem kciuka: kulka uderzyła w inną, potem w drugą, a na końcu jedna z uderzonych trafiła w trzecią.

- Hej, zrób to jeszcze raz!

Lizy ujęła następną kulkę.

- Opierasz się o podłogę tylko jedną kostką, żeby można było obrócić rękę. Ale najważniejszy jest nadgarstek.

Kulka wyprysła, stuk, stuk, stuk. Pięć albo sześć osób zaczęło bić brawo. Rydra była jedną z nich.

Baronowa dotknęła swej piersi.

- Wspaniały strzał! Wspaniały! - Przypomniała sobie coś i obróciła się. - Musisz to zobaczyć, Sam. W końcu jesteś ekspertem od balistyki. - Z uprzejmym zakłopotaniem wróciła na miejsce i obróciła się do Rydry, gdy szły dalej. - Tak. Bardzo się cieszę, że mogę dziś gościć panią i pani załogę. Wnosicie coś tak nowego i przyjemnego, tak świeżego, tak ciekawego.

- Mówi pani o nas, jakbyśmy byli sałatką - roześmiała się Rydra. W przypadku baronowej „apetyt” nie był niczym groźnym.

- Ośmielę się twierdzić, że gdybyście zostali tu wystarczająco długo, pożarlibyśmy was, gdybyście tylko nam pozwolili. Przywieźliście coś, na co mamy ogromny apetyt.

- Co takiego?

Podeszły do baru, po czym obróciły się z drinkami w dłoniach. Na twarzy baronowej pojawiła się jakaś hardość.

- Cóż, przylecieliście tu... i natychmiast zaczęliśmy uczyć się nowych rzeczy, związanych z wami, a ostatecznie - z nami samymi.

- Nie rozumiem.

- Weźmy na przykład waszego nawigatora. Lubi duże drinki i zakąski, z wyjątkiem sardeli. To więcej informacji na temat preferencji niż mamy o kimkolwiek znajdującym się w tej sali. Dajesz im szkocką, piją szkocką. Dajesz im tequilę, piją tequilę litrami. A właśnie chwilę temu odkryłam - potrzaskała głową - że najważniejszy jest nadgarstek. Przedtem o tym nie wiedziałam.

- Lubimy ze sobą rozmawiać.

- Tak, ale mówicie o ważnych rzeczach. O tym, co lubicie, czego nie lubicie, co wolicie. Naprawdę mam panią przedstawiać tym wszystkim sztywniakom, którzy zajmują się zabijaniem?

- Niekoniecznie.

- Tak też myślałam. I nie chce mi się tego robić. Och, są tu ze trzy albo cztery osoby, które się pani spodobały. Przedstawię je, zanim pani odleci. - Ruszyła w tłum.

Przyływy, pomyślała Rydra. Oceany. Prądy hiperstazy. Albo ruchy ludzi w dużym pomieszczeniu. Odpłynęła z najbardziej obiecującym nurtem, który urwał się, gdy ktoś się oddalił, by się komuś przedstawić, by wziąć drinka, by z kimś porozmawiać.

W rogu sali zobaczyła spiralną klatkę schodową. Ruszyła po schodach, zatrzymując się po każdym okrążeniu, by spojrzeć na tłum w dole. Na górze były podwójne otwarte drzwi; poczuła wiatr. Wyszła na zewnątrz.

Fiolet zastąpiła misterna, upstrzona chmurami purpura. Chromokopuła planetoidy wkrótce zacznie symulować noc. Z poręczy zwisały wilgotne rośliny. Na końcu balkonu pnącza całkowicie pokryły biały kamień.

- Pani kapitan?

W kącie balkonu siedział Ron, obejmując kolana rękami, prawie całkowicie zasłonięty liśćmi.

Wcale nie ma srebrnej skóry, pomyślała, ale ilekroć go widzę tak zwiniętego, przychodzi mi na myśl węzeł z białego metalu. Uniósł spoczywającą na kolanach brodę i oparł się plecami o bujny zielony żywopłot, a w jego przypominających wąsy kukurydzy włosach pojawiły się liście.

- Co tu robisz?

- Za dużo tam ludzi.

Skinęła głową, patrząc, jak opuszcza ramiona, jak jego triceps podskakuje na kości, aż wreszcie nieruchomieje. Każdy ruch tego poskręcane go młodego ciała śpiewał jej pieśń. Słuchała tej melodii przez prawie pół minuty, a on na nią patrzył, siedząc nieruchomo, ale zawsze pełen drobnych zachwyków. Gdy już posłuchała muzyki mięśni, spytała:

- Jakiś problem między tobą, Mollyą i Callim?

- Nie. To znaczy... tylko...

- Tylko co? - Uśmiechnęła się i przechyliła przez balustradę balkonu.

Znow oparł podbródek na kolanach.

- Oni sobie chyba radzą. Tylko ja jestem najmłodszy... i... - Ramiona nagle powędrowały w górę. - Jak, u licha, miałyby pani to zrozumieć! Pewnie, pani wie o różnych rzeczach, ale to nie jest prawdziwa wiedza. To opisywanie tego, co się widzi, a nie, co się samemu robi. - Brzmiało to jak eksplozja wyszeptana półgłosem. Słyszała słowa i patrzyła, jak mięśnie jego szyi skaczą, strzelają i wynurzają się, mała bestia we wnętrzu policzka. - Zboczeńcy - powiedział. - Wy, celnicy, naprawdę tak o nas myślicie. Baron i baronowa, ci wszyscy ludzie gapiący się na nas, którzy nie potrafią zrozumieć, że można chcieć mieć więcej niż jednego kochanka. I pani też tego nie rozumie.

- Ron?

Zacisnął zęby na liściu i odgryzł go od łodygi.

- Pięć lat temu, Ron... byłem częścią Trójki.

Zwrócił twarz w jej stronę, jakby musiał stawić opór sprężynie, po czym znow się odwrócił. Wypluł liść.

- Pani jest celnikiem, pani kapitan. Kręci się pani po Transporcie, ale tylko na tyle, żeby mogli pożerać panią wzrokiem. Gdy pani przechodzi, oni obracają się i patrzą. Tak, jest pani królową. Ale królową celników. Nie należy pani do Transportu.

- Ron, jestem osobą publiczną. Dlatego tak na mnie patrzą. Piszę książki. Celnicy je czytają, owszem, ale patrzą na mnie, bo chcą się dowiedzieć, kto, u licha, je napisał. Celnicy ich nie napisali. Rozmawiam z celnikami, a celnicy patrzą na mnie i mówią: „Pani jest transportowcem”. - Wzruszyła ramionami. - A nim też nie jestem. Ale jeśli nawet tak, to byłem w Trójce. Wiem, jak to jest.

- Celnicy nie tworzą Trójek.

- Dwóch facetów i ja. Jeśli kiedykolwiek mi się to przydarzy, wolę układ z dziewczyną i facetem. Sądzę, że dla mnie byłoby łatwiej. Byłam w Trójce przez trzy lata. Dwa razy dłużej niż ty.

- W takim razie nie Ignęliście do siebie. My Ignęliśmy. Przynajmniej ja i Cathy.

- Jeden został zabity - powiedziała Rydra. - Drugi tkwi w stanie spowolnienia w Szpitalu Hipokratesa i czeka na lekarstwo na chorobę Cauldera. Nie przypuszczam, żeby zostało odkryte za mojego życia, choć gdyby tak było... - Obrócił się do niej w milczeniu. - O co chodzi? - spytała.

- Kim byli?

- Celnikami czy transportowcami? - Wzruszyła ramionami. - Podobnie jak ja, tak naprawdę ani jednym, ani drugim. Fobo Lombs był kapitanem transportu międzygwiazdowego; to on mnie wszystkiego nauczył i załatwił mi papiery kapitana. Pracował także na planetach przy badaniach nad hydroponiką, chciał opracować metody składowania dla skoków hiperstatycznych. Jaki był? Był smukłym blondynem, bardzo uczuciowym, czasem za dużo pił, lubił wracać z rejsu i pić, bić się i

trafić do więzienia, a my musieliśmy płacić za niego kaucję - no, to się zdarzyło zaledwie dwa razy. Ale przez rok się z nim droczyliśmy, przypominając mu o tym. I nie lubił spać na środku łóżka, bo zawsze chciał, żeby jedna ręka zwisała mu na podłogę.

Ron zaśmiał się, a jego ręce, którymi trzymał się za ramiona, opadły do nadgarstków.

- Zginął, gdy zawaliła się skała w katakumbach na Ganimedesie, podczas drugiego lata naszej wspólnej pracy w Służbie Geologicznej Jowisza.

- Jak Cathy - powiedział po chwili Ron.

- Muels Aranlyde był...

- *Gwiazda Imperium?* - spytał Ron, otwierając szeroko oczy. - I reszta książek o Komecie Jo?

Była pani w Trójce z Muelsem Aranlyde?

Skinęła głową.

- Zabawne te jego książki, prawda?

- Pewnie, przeczytałem je wszystkie. - Ron przestał ścisnąć kolana. - Jaki on był? Taki jak Kometa Jo?

- Tak naprawdę Kometa Jo to Fobo. Fobo w coś się wplątywał, ja się martwiłam, a Muels zaczął pisać kolejną książkę.

- Chce pani powiedzieć... że te historie są prawdziwe?

Potrząsnęła głową.

- Większość z tych książek to fantazje na temat tego, co mogłoby się stać - czy raczej, czego się obawialiśmy. Sam Muels? W książkach zawsze przedstawiał siebie jako komputer. Miał ciemne włosy, był zwykle zamyślony, niewiarygodnie cierpliwy i niewiarygodnie uprzejmy. Pokazywał mi wszystkie zdania i akapity - czy wiesz, że jednostką emocjonalną w pisaniu jest akapit? - i jak oddzielać to, co chcesz powiedzieć, od tego, co chcesz zasugerować, i kiedy robić tak, a kiedy inaczej. - Zamilkła. - Dawał mi tekst i mówił: „A teraz powiedz mi, co jest nie tak z tymi słowami”. I zawsze byłam tylko w stanie stwierdzić, że jest ich za dużo. To było zaraz po tym, jak Fobo zginął, a ja zajęłam się poważnie poezją. Muels mawiał, że jeśli kiedykolwiek zacznę, będę świetna, bo już na starcie tak dużo o niej wiem. A ja musiałam się czymś zająć, bo Fobo... Ale o tym już przecież wiesz. Muels zachorował na chorobę Cauldera jakieś cztery miesiące później. Żaden z nich nigdy nie zobaczył mojej pierwszej książki, choć czytali większość z moich wierszy. Może kiedyś Muels je przeczyta. Może nawet napisze jeszcze o następnych przygodach Jo Komety. Może pójdzie do Kostnicy, wywoła mój wzorzec i zagai: „A teraz powiedz mi, co jest nie tak z tymi słowami”. A może ja będę w stanie powiedzieć mu coś więcej, o wiele więcej. Ale nie zostanie już nic ze świadomości... - Poczula, że dryfuje w kierunku niebezpiecznych emocji; dopuszcza je tak blisko, jak tylko się da. Niebezpieczne czy nie, minęły już trzy lata od czasu, kiedy przerażały ją na tyle, że nie mogła się im przyglądać. - O wiele więcej.

Ron siedział teraz po turecku, z przedramionami na kolanach i zwisającymi dłońmi.

- *Gwiazda Imperium* i *Jo Kometa*; tyle mieliśmy zabawy z tymi opowieściami, kłóciliśmy się o różne rzeczy nad kawą po nocach, robiliśmy korekty albo zakradliśmy się do księgarń i wystawialiśmy je przed inne książki.

- Też tak robiłem - odparł. - Bo je lubiłem.

- Nawet kłócenie się o to, kto ma spać w środku, nas bawiło.

To zdanie stało się sygnałem. Ron zaczął się zbierać, jego kolana powędrowały w górę, ramiona owinięły się wokół nich, podbródek opadł.

- Ja mam oboje - powiedział. - Powiniennem się cieszyć.

- Może powinienes. A może nie. Kochają cię?

- Tak mówią.

- Kochasz ich?

- Jezu, pewnie. Rozmawiam z Mollyą, a ona próbuje mi coś wytłumaczyć, i choć nadal za dobrze nie mówi, nagle pojmuję, co chce powiedzieć...

Wyprostował się, jakby słowo, którego szukał, było gdzieś wysoko.

- To cudownie - podsunęła.

- Tak, to... - Spojrzał na nią. - To cudowne.

- A ty i Calli?

- Calli jest jak wielki stary niedźwiedź, a ja mogę się z nim droczyć i bawić. Ale problem to on i Mollya. On jej ciągle za dobrze nie rozumie. A że ja jestem najmłodszy, on uważa, że powinien się szybciej uczyć. Tak nie jest, więc trzyma się od nas z daleka. Jak wpada w dziwny nastrój, ja sobie zawsze z nim poradzę. Ale ona jest nowa i myśli, że on się na nią złości.

- Chcesz wiedzieć, co robić? - spytała Rydra po chwili.

- A wie pani?

Skinęła głową.

- To boli bardziej, jeśli między nimi dzieje się coś złego, a ty myślisz, że nie da się nic zrobić. Ale łatwo to naprawić.

- Dlaczego?

- Bo oni cię kochają.

Czekał.

- Calli wpada w dziwny nastrój, a Mollya nie wie, jak sobie z tym poradzić.

Skinął głową.

- Mollya mówi innym językiem, a Calli nie umie sobie z tym poradzić.

Znów skinęła.

- Potrafisz się porozumiewać z obojgiem. Nie możesz robić za pośrednika, to się nigdy nie sprawdzi. Ale możesz nauczyć ich oboje tego, co już umiesz.

- Nauczyć?

- Co robisz z Callim, kiedy wpada w ten swój nastrój?

- Ciągnę go za uszy - odparł Ron. - On mi mówi, żebym przestał, aż w końcu zaczyna się śmiać, a potem tarzamy się po podłodze.

Rydra skrzywiła się.

- Nie jest to standardowe rozwiązanie, ale jeśli działa, to świetnie. Pokaż Mollyi, jak to zrobić. Jest wysportowana. Niech poćwiczy na tobie, jeśli będzie trzeba.

- Nie lubię, jak ktoś ciągnie mnie za uszy - odparł.

- Czasem trzeba się trochę poświęcić.

Próbowała się nie uśmiechnąć, ale nie udało się.

Ron potarł płatek ucha opuszką kciuka.

- Pewnie tak.

- A ty musisz nauczyć Callego różnych słów, za pomocą których będzie mógł porozumieć się z Mollyą.

- Tylko że ja czasem sam nie znam słów. Po prostu zgadywanie idzie mi lepiej niż jemu.

- A gdyby znał słowa, pomogłoby mu to?

- Na pewno.

- Mam w kajucie podręczniki do kiswahili. Możesz je zabrać, jak wrócimy na statek.

- Tak, to by się przydało. - Zamilkł i znów schował się w liściach. - Ale Calli w ogóle dużo nie

czyta.

- Pomożesz mi.

- Mam go uczyć?

- Tak.

- I sądzi pani, że to zrobi?

- Żeby zbliżyć się do Mollyi? Jak myślisz?

- Pewnie tak. - Ron nagle wstał, jakby rozplątał się metalowy węzeł. - Zrobi.

- Idziesz do środka? Za parę minut kolacja.

Obrócił się w stronę balustrady i spojrzał w jaskrawe niebo.

- Ładną tu mają tarczę.

- Żeby się chronić przed spalaniem przez Bellatrix.

- Więc nie muszą się zastanawiać nad tym, co robią.

Brwi Rydry powędrowały w górę. Nadal się martwi o to, co jest dobre, a co złe, nawet w samym środku nieporozumienia wśród załogi.

- Nad tym też - odparła i zaczęła myśleć o wojnie.

Napięcie jego mięśni powiedziało jej, że przyjdzie później, bo chce jeszcze pomyśleć. Ruszyła w stronę podwójnych drzwi, a następnie klatkę schodową w dół.

- Widziałem, jak pani wychodziła, i pomyślałem, że poczekam tu na pani powrót.

Déjà vu, pomyślała. Ale nie mogła nigdzie spotkać tego człowieka. Błękitnoczarne włosy na twarzy pobruźdzonej, ale należącej do kogoś, kto nie miał jeszcze trzydziestu lat. Odsunął się, by zrobić jej miejsce na schodach, z niewiarygodną oszczędnością ruchów. Patrzyła to na jego rękę, to na twarz, oczekując jakiegoś ruchu, który coś zdradzi. Odwzajemnił spojrzenie, nie zdradzając się żadnym gestem, po czym obrócił się i skinął w kierunku tłumu poniżej. Wskazał na barona, który stał samotnie pośrodku sali.

- Ale ten Kassjusz ma głodne wejrzenieⁱⁱⁱ.

- Ciekawe, jak bardzo jest głodny? - odparła Rydra, czując się dziwnie.

Baronowa przedzierała się przez tłum w stronę męża, pewnie po to, by spytać, czy powinni siadać do stołu, czy też poczekać jeszcze pięć minut, albo może zasięgnąć jego rady w sprawie jakiejś równie ważkiej decyzji.

- Ciekawe, jak wygląda małżeństwo między parą takich ludzi? - rzekł nieznajomy z ascetycznie protekcyjnym rozbawieniem.

- Pewnie stosunkowo nieskomplikowanie - rzekła Rydra. - Nie mają nic lepszego do roboty poza martwieniem się o siebie.

Uprzejme, lecz badawcze spojrzenie. Nie zamierzała tego objaśniać, więc nieznajomy zwrócił się znów w stronę tłumu.

- Robią takie śmieszne miny, kiedy patrzą w górę, żeby zobaczyć, czy to pani, pani Wong.

- Łypią - rzekła krótko.

- Jamraje. Wyglądają jak stado jamrajów.

- Ciekawa jestem, czy to z powodu sztucznego nieba wyglądają tak niezdrowo?

Czuła, jak wycieka z niej kontrolowana wrogość.

Zaśmiała się.

- Jamraje z talasemią!

- W rzeczy samej. Pan nie jest ze Stoczni? - Jego cera miała barwę, która zbladłaby pod sztucznym niebem.

- W istocie to jestem, droga pani.

Zaskoczona, już miała wypytywać go o szczegóły, ale z głośników nagle padło:

- Panie i panowie, podano do stołu.

Towarzyszył jej podczas drogi w dół, ale gdy od zanurzenia się w tłum dzieliły ją dwa albo trzy kroki, zauważyła, że znikł. Ruszyła do sali jadalnej sama.

Baron i baronowa czekali na nią w sklepionym przejściu. Baronowa ujęła ją za ramię, a orkiestra kameralna na podeście sięgnęła po instrumenty.

- Proszę tędy.

Maszerowała obok pulchnej matrony przez tłum ludzi kłębiących się bezładnie przy stole o kształcie węża, który sam wił się i wyginał.

- Tam siedzimy.

Wiadomość po baskijsku: pani kapitan, na pani transkryberze na statku coś się pojawiło.

Mała eksplozja w umyśle zatrzymała ją.

- Babel-17!

Baron zwrócił się do niej.

- Tak, pani kapitan?

Patrzyła, jak na jego twarzy pojawiają się zmarszczki oznaczające niepewność.

- Czy w Stoczni jest jakieś miejsce, w którym przechowywane są szczególnie ważne materiały albo prowadzone są badania, a które może być teraz niepilnowane?

- To się odbywa automatycznie. A czemu pani pyta?

- Panie baronie, zaraz dojdzie do aktu sabotażu, albo to się już stało.

- Ale skąd pani...

- Nie mogę teraz wytłumaczyć, proszę się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Napięcie powróciło.

Baronowa dotknęła ramienia męża i rzekła z nagłym chłodem:

- Feliksie, tam jest twoje miejsce.

Baron odsunął krzesło, usiadł i bezceremonialnie odstawił na bok nakrycie. Pod serwetą był panel sterowania. Gdy ludzie siadali do stołu, Rydra zauważyła o parę metrów od siebie Mosiądzę, który zawisł na specjalnym hamaku przygotowanym pod jego wielkie, błyszczące cielsko.

- Proszę tu usiąść. Przyjęcie będzie trwać, jakby nic się nie stało. Tak chyba jest najlepiej.

Rydra usiadła przy baronie, a baronowa ostrożnie opadła na krzesło po lewej. Baron szeptał coś do laryngofonu. Na ekranie o dwudziestocentymetrowej przekątnej, który był ustawiony pod takim kątem, że nie mogła za wiele zobaczyć, pojawiły się jakieś obrazy. Baron wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę, po czym powiedział:

- Jak dotąd nic, pani kapitan.

- Proszę się nie przejmować tym, co on robi - rzekła baronowa. - To, co się tu dzieje, jest o wiele ciekawsze.

Na jej kolanach pojawiła się mała konsola, która zwisała z brzegu stołu.

- Pożyteczne cacko. - Baronowa rozejrzała się dookoła. - Chyba jesteśmy gotowi. Jazda! - Jej pulchny palec wskazujący opadł na jeden z guzików i światła w sali przygasły. - Steruję całym przyjęciem, przyciskając je. Proszę popatrzeć! - Wcisnęła następny.

Na środku stołu, w subtelnym świetle, rozsunęły się panele i przed gośćmi pojawiły się talerze z owocami, kandyzowanymi jabłkami i winogronami w cukrze, przekrojonymi na pół melonami z orzechami w miodzie.

- I wino! - rzekła baronowa, znów sięgając do konsoli.

Wzdłuż stołu o długości setek metrów pojawiły się misy. Włączył się mechanizm fontanny i

brzegi otoczyła błyszcząca piana. Popłynął spieniony płyn.

- Nalej sobie, kochana. Pij - zachęcała baronowa, podstawiając kieliszek pod dyszę. Purpura chlapnęła na kryształ.

Baron siedzący po jej prawej stronie mówił:

- W arsenale wszystko w porządku. Włączam alarm dla projektów specjalnych. Jest pani pewna, że ten akt sabotażu ma nastąpić teraz?

- Albo teraz - odparła - albo za jakieś dwie czy trzy minuty. To może być wybuch, ale może też być awaria jakiegoś ważnego elementu wyposażenia.

- Nie mam za dużo czasu, żeby coś zrobić. Nasz system łączności wykrył Babel-17. Ostrzeżono mnie, że to może być sygnał do ataku.

- Spróbuj tego. - Baronowa podała jej ćwiartkę mango, które - jak stwierdziła Rydra, spróbował - było marynowane w wiśniówce.

Prawie wszyscy goście już siedzieli. Patrzyła, jak chłopiec z plutonu, imieniem Mike, szuka wizytówki ze swoim imieniem gdzieś w połowie sali. A daleko od siebie dostrzegła nieznanego, który zatrzymał ją na schodach: pędził wzdłuż rzędu usadowionych gości.

- Wino nie jest z winogron, lecz ze śliwek - wyjaśniła baronowa. - Trochę ciężkie jak na początek, ale pasuje do owoców. Jestem bardzo dumna z truskawek. Jagody to koszmar w uprawie hydroponicznej, ale w tym roku naprawdę się udały.

Mike znalazł swoje miejsce i sięgnął obiema rękami do misy z owocami. Nieznajomy pokonał ostatni zakręt stołu. Calli trzymał kielichy z winem w obu rękach i patrzył to na jeden, to na drugi. Próbował określić, w którym jest więcej?

- Jak myślisz, moja droga - zwróciła się do Rydry baronowa - mam sobie zażartować i podać najpierw sorbet, czy jednak portugalską zieloną zupę? Robimy bardzo lekką. Nigdy nie wiem...

Nieznajomy dotarł do barona, pochylił się nad nim, by rzucić okiem na ekran, i coś mu szepnął. Baron odwrócił się do niego. Obracał się wolno, trzymając obie ręce na stole... i upadł! Po twarzy spływała mu strużka krwi.

Rydra cofnęła się gwałtownie. Mozaika układała się w jej głowie, by wreszcie obwieścić: morderstwo! Zerwała się z krzesła.

Baronowa sapnęła chrapliwie i wstała, przewracając krzesło. Machała histerycznie rękami nad mężem i potrzasała głową.

Rydra obróciła się gwałtownie i zobaczyła, jak nieznanomy wyciąga spod marynarki wibropistolet. Odepchnęła baronową na bok. Strzał padł nisko i trafił w konsolę.

Wprawiona w ruch baronowa przypadła do swego męża i objęła go. Jej chrapliwe jęczenie przeszło w wycie. Potężne cielsko, jak kurczący się sterowiec, opadło i zwlokło ciało Feliksa Ver Dorco ze stołu: klęczała na podłodze, trzymając go w ramionach, kołysząc delikatnie i krzycząc.

Goście wstawali, a szum rozmów przeszedł w ryk.

Konsola została strzaskana; na całym stole misy z owocami były spychane przez wynurzające się od spodu pawie, upieczone, przybrane i udekorowane cukrowymi głowami, z powiewającymi piórami ogonów. Mechanizmy sprzątające przestały działać. Wazy z zieloną zupą napierały na fontanny z winem, aż i jedne, i drugie przewracały się, rozchlapując zawartość na stół. Owoce spadały na podłogę.

Przez szum głosów przebił się syk wibropistoletu: z lewej strony, znów z lewej, potem z prawej. Ludzie uciekali od stołu, zasłaniając widok. Usłyszała ponowne syknięcie pistoletu i zobaczyła, jak doktor Crane zgina się w pół, a jasne włosy opadają jej na twarz.

Baranina z różną zaczynała wypierać pawie. Pióra opadały na podłogę. Wino z fontann chlapało

na przypieczoną rumianą skórę, która syczała i parowała. Jedzenie wpadało z powrotem do otworu, na rozżarzone spirale grzejne. Rydra poczuła dym.

Pobiegła, złapała za rękę tłustego mężczyznę z czarną brodą.

- Ślimaku, zabierz stąd dzieciaki!

- A jak pani myśli, co robię?

Odbiegła, podeszła do stołu i przeskoczyła przez dymiącą otchłań. Gdy skakała, właśnie wynurzał się skomplikowany egzotyczny deser: smażone banany, najpierw zanurzone w miodzie, a potem rzucone na kruszony lód. Połyskujące ciastka wyskakiwały i spadały na podłogę, miód krystalizował się na błyszczących kolcach. Wpadały między gości, trzaskały pod butami na podłodze. Ludzie ślizgali się, przewracali, upadali.

- Odlotowy sposób pośliznięcia się na bananie, prawda, pani kapitan? - zauważył Calli. - Co się dzieje?

- Zabierz Mollyę i Rona na statek!

Teraz wynurzyły się termosy, wypierały dekorację z różnami, przewróciły się i zaczęła się wylewać wrząca kawa. Jakaś kobieta wrzasnęła, trzymając się za oparzone ramię.

- Koniec imprezy - rzekł Calli. - Zabieram ich.

Ruszył, spotykając pędzącego Ślimaka.

- Ślimaku, co to jest jamraj?

Rydra znów złapała go za ramię.

- Złośliwe małe zwierzę. Chyba torbacz. A czemu pytasz?

- Zgadza się. Teraz sobie przypomniałam. A talasemia?

- Też sobie znalazłaś moment na takie pytania. Jakiś rodzaj anemii.

- Wiem. A dokładnie? Ty jesteś lekarzem pokładowym.

- Poczekaj. - Zamknął oczy. - Miałem to kiedyś na hipnokursie. Tak, pamiętam. Jest dziedziczna, to odpowiednik anemii sierpowatej u rasy białej, czerwone krwinki rozpadają się z powodu rozkładu haptoglobiny...

- ...a hemoglobina wycieka i komórki zostaną zmiażdżone przez ciśnienie osmotyczne. Już rozumiem. Uciekajmy stąd.

Zdziwiony Ślimak ruszył w stronę przejścia.

Rydra pobiegła za nim, pośliznęła się na sorbecie w winie i oparła na Mosiądzu, który pojawił się przy niej.

- Tylko s'okojnie, 'ani ka'itan!

- Spadamy stąd, mały - oznajmiła. - I to szybko.

- Na barana? - Uśmiechnął się, uniósł łapy na wysokość bioder, a Rydra wspięła mu się na ramiona, ściskając boki kolanami i trzymając się ramion. Potężne mięśnie, które pokonały Srebrnego Smoka, zbiły się pod nią. Skoczył, zrzucając wszystko ze stołu i lądując na czterech łapach. Goście pierzchali na widok złocistej bestii z pazurami. Popędzili do przejścia.

5.

Owładnęło ją histeryczne wyczerpanie.

Przebiła się przez nie, dotarła do kajuty „Rimbauda” i wcisnęła klawisz interkomu.

- Ślimaku, czy wszyscy...

- Wszyscy obecni i policzeni, pani kapitan.

- A bezcieleśni...

- Bezpieczni na pokładzie, cała trójka.

Dyszący Mosiądz wypełnił sobą właz za nią.

Przełączyła się na inny kanał i pomieszczenie rozbrzmiało czymś, co przypominało muzykę.

- Dobrze. Nadal nadają.

- To jest to? - spytał Mosiądz.

Skinęła głową.

- Babel-17. Jest automatycznie transkrybowany, żebym mogła się temu później przyjrzeć. Tak czy inaczej, tu niczego nie ma.

Pstryknęła przełącznikiem.

- Co robisz?

- Nagrałam wcześniej parę wiadomości i teraz je wyślę. Może się uda. - Zatrzymała pierwszą taśmę i uruchomiła drugą. - Nie znam go jeszcze za dobrze. Tylko trochę. Czuję się jak ktoś, kto na przedstawieniu Szekspira wywołuje aktorów łamaną angielszczyzną.

Zapaliła się lampka linii zewnętrznej.

- Pani kapitan, tu Albert Ver Dorco. - W głosie rozmówcy pobrzmiwało zdenerwowanie. - Mieliśmy tu straszny wypadek i nadal panuje chaos. Nie znalazłem pani u mojego brata, ale kontrola lotów powiadomiła mnie, że prosicie o pozwolenie na natychmiastowy skok do hiperstazy.

- O nic takiego nie prosiłam. Chciałam tylko wydostać stąd moją załogę. Czy już wiadomo, co się stało?

- Pani kapitan, powiedziano mi, że przygotowujecie się do startu. Macie najwyższy priorytet, więc nawet nie mogę się sprzeciwić pani rozkazom, ale chciałem prosić, żeby pani została, dopóki wszystko się nie wyjaśni, chyba że ma pani jakieś informacje, które...

- My nie startujemy! - odparła Rydra.

- Le'iej nie startujemy - wtrącił Mosiądz - bo jeszcze nie jestem 'od'ięty do statku.

- Najwyraźniej waszemu automatycznego Jamesowi Bondowi odbiła szajba - zwróciła się do Ver Dorco Rydra.

- ... Bondowi?

- To takie nawiązanie do mitologii. Proszę mi wybaczyć. TW-55 wpadł w szal.

- Och, tak. Wiem. Zabił mojego brata i cztery inne ważne osoby. Nie wybierałby kluczowych osobistości, gdyby nie zostało to zaplanowane.

- Zostało. Dokonano sabotażu TW-55. Nie, nie wiem jak. Powinien pan skontaktować się z generałem Foresterem w...

- Pani kapitan, kontrola lotu sygnalizuje, że zaraz startujecie! Nie mam tu oficjalnych uprawnień, ale musi pani...

- Ślimaku! Czy my startujemy?

- No pewnie. Przecież wydała pani rozkaz awaryjnego skoku w hiperstazę?

- Mosiądz jeszcze nawet nie jest na stanowisku, ty idioto!

- Przecież dostałem pani zgodę trzydzieści sekund temu. Oczywiście, że jest przypięty. Właśnie rozmawiałem z...

Mosiądz skoczył i zawył do mikrofonu:

- Stoję tu 'rzy niej, ty kretynie! Dokąd zamierzasz lecieć, zanurkować w sam środek Bellatrix? Czy rzucić się 'rosto w jakąś supernową? Dryfujący statek zmierza w kierunku ciała o największej masie!

- Ale ty właśnie...

Gdzieś pod nimi rozległ się zgrzyt. Poczuli nagły skok.

- Pani kapitan! - krzyczał z głośnika Albert Ver Dorco.

Rydra znów wrzasnęła.

- Idioci, wyłączcie generatory stazy...!

Ale świst generatorów już przebijał się przez szum.

Znów skok; poczuła szarpnięcie, schwyciła się rękami biurka i zobaczyła, jak Mosiądz młóci pazurami powietrze. I...

CZEŚĆ TRZECIA

JEBEL TARIK

Prawdziwy, brudny i wygnany, wymyka się nam.
Pokazałabym wam jego książki i mosty.
Stworzyłabym język, którym moglibyśmy mówić wszyscy.
Bez fantazji blond
Matka posłała, by dręczyć nas wiosną,
On ma swoje koszmary, potrzebuje pracy, upija się.
Może nawet nie chce być piękny.

Nawigatorzy

Narzuciłeś mi traktat milczenia.

Pieśń Liadana

1.

Abstrakcyjne myśli w błękitnym pokoju: mianownik, dopełniacz, elatyw, biernik pierwszy, biernik drugi, ablatyw, partytyw, illatyw, instruktyw, abessyw, adessyw, inessyw, essyw, allatyw, translatyw, komitatyw. Szesnaście przypadków w fińskim. Dziwne, niektóre języki radzą sobie mając do dyspozycji tylko liczbę pojedynczą i mnogą. Języki Indian północnoamerykańskich nie rozróżniają nawet liczby. Z wyjątkiem języka sju, w którym liczba mnoga istnieje, ale tylko dla rzeczowników ożywionych. Błękitny pokój był pełen ciepła i gładkości. Po francusku nie da się powiedzieć, że coś jest ciepłe. Jest albo gorące, albo chłodne. Jeśli nie ma słowa, które by to oznaczało, jak o tym myśleć? A jeśli nie ma właściwej formy, nie ma jak, nawet jeśli są na to słowa. Wyobraźcie sobie, że w hiszpańskim wszystko ma rodzaj: pies, stół, drzewo, otwieracz do puszek. Wyobraźcie sobie, że w węgierskim nic nie ma rodzaju: ona, on, ono to to samo słowo. Jesteście moim przyjacielem, panie, ale tyś jest moim królem: rozróżnienie w elżbietańskim angielskim. Ale w przypadku niektórych języków orientalnych, które obywają się bez rodzaju i liczby, ty jesteś moim przyjacielem, *ty* jesteś moim rodzicem, *TY* jesteś moim kapłanem, i *TY* jesteś moim królem, i *Ty* jesteś moim sługą, i *Ty* jesteś moim sługą, którego zamierzam jutro zwolnić, i *TY* jesteś moim królem, z którego polityką całkowicie się nie zgadzam, i *TY* masz w głowie sieczkę zamiast mózgu, **WASZA** wysokość, i *TY* możesz być moim przyjacielem, ale walnę **CIEBIE** w głowę, jeśli *TY* to jeszcze raz powiesz, a tak w ogóle, u licha, to kim ty jesteś?

Jak się nazywasz, pomyślała w okrągłym, niebieskim, ciepłym pokoju.

Myśli bez imienia czy nazwy w błękitnym pokoju: Ursula, Priscilla, Barbara, Mary, Mona, Natica: i odpowiednio: Niedźwiedzica, Stara Pani, Szczebotka, Zgorzkniała, Małpa i Pośladek. Imię. Imiona? Co tkwi ukryte w imieniu? Jakie ja noszę imię? W kraju mojego ojca nazwisko występuje jako pierwsze, Wong Rydra. W kraju Mollyi nie miałabym nazwiska ojca, ale matki. Słowa to nazwy rzeczy. W czasach Platona rzeczy były nazwami idei - czyż może istnieć lepszy opis platońskiego ideału? Czy jednak słowa były nazwami rzeczy, czy było to po prostu semantyczne nieporozumienie? Słowa były symbolami całych kategorii rzeczy, nazwę zaś przypisywano określone przedmiotowi: nazwa użyta na określenie czegoś, co wymaga symbolu, zgrzyta i śmiesz. Symbol na określenie czegoś, co wymaga nazwy, także zgrzyta: pamięć, która zachowała obraz rozdartej zasłony, jego oddechu przesyconego wódką, jej oburzenia, zmiętego ubrania wciśniętego koło porysowanego, taniego stolika nocnego, „No dobrze, kobieto, chodź tu!”, a ona wyszeptala, z rękami zaciśniętymi aż do bólu na mosiężnym pręcie, „Mam na imię Rydra!”. Odrębny byt, wyodrębniony ze środowiska, odrębny od wszystkich rzeczy składających się na środowisko; odrębny byt był czymś, dla czego symbole były nieodpowiednie, więc wymyślono imiona. Wymyślono mnie. Nie jestem okrągłym, ciepłym, błękitnym pokojem. Jestem kimś w tym pokoju; jestem...

Czuła, jak półprzymknięte powieki opierają się na gałkach ocznych. Otworzyła je i natrafiła na siatkę zabezpieczającą. Z zapartym tchem cofnęła się i obróciła, by popatrzeć na pokój.

Nie.

Nie popatrzyła na pokój.

„Cośnęła” na „coś”. Pierwsze coś było małą jednostką języka, która implikowała coś natychmiastowego, ale biernego, wrażenie, które mogło być słuchowe, węchowe, jak i wzrokowe. Drugim czymś były trzy równie małe fonemy, które łączyły się na różnych wysokościach tonów: jeden to wskaźnik, który ustalał rozmiar pomieszczenia na niecałe trzy czwarte metra sześciennego,

drugi opisywał kolor i ewentualną substancję, z jakiej wykonano ściany - jakiś błękitny metal - zaś trzeci był obszarem zablokowanym dla cząstek, które powinny opisywać funkcję pokoju, kiedy go odkryła, jakiś rodzaj gramatycznej przywieszki, za pomocą której mogła opisać całe doświadczenie, używając tylko jednego symbolu, gdy go potrzebowała. Wszystkie cztery dźwięki brzmiały na jej języku i w umyśle krócej niż jedno nieporadne „ó” w słowie „pokój”. Babel-17; odczuła to już wcześniej, przy innych językach: otwarcie, rozszerzenie, umysł zmuszony do nagłego rozwoju. Ale teraz przypominało to nagle wyostrenie obiektywu, który latami dawał nieostry obraz.

Usiadła znowu. Funkcja?

Do czego używano tego pomieszczenia? Uniosła się wolno, a sieć oplotła ją dookoła piersi. Jakiś szpital. Spojrzała w dół na... nie na „siatkę”, ale na trzyczęściową różnicę samogłosek, z których każda opisywała jeden nacisk trzyczęściowych więzów, tak że najslabsze punkty w sieci były opisane dźwiękiem, przy którym różnica osiągała najmniejszą wartość. Uświadomiła sobie, że cała sieć się rozwinie, jeśli przetnie się nici w tych trzech punktach. Gdyby jednak próbowała ją rozzerwać, lecz nie nazwała jej w nowym języku, sieć wytrzymałaby bez najmniejszego problemu. Przejście od „zapamiętanego” do „znanego” nastąpiło, gdy była...

Gdzie ona była? Niepokój, ekscytacja, strach! Zmusiła się, by znów myśleć po angielsku. Myślenie w Babel-17 przypominało oglądanie dna studni, o której jeszcze chwilę wcześniej sądziło się, że ma tylko parę metrów głębokości. Poczowała zawrót głowy.

Znalezienie pozostałych poszło błyskawicznie. Mosiądz wisiał w wielkim hamaku na przeciwległej ścianie - dostrzegła żółty pazur wystający z oczka sieci. W dwóch mniejszych hamakach na kolejnej ścianie musiały wisieć dzieciaki z plutonu. Nad jedną krawędzią dostrzegła lśniąca, czarne włosy: śpiący Carlos. Nie widziała, kim jest trzeci. Ciekawość objawiła się w postaci małej, nieprzyjemnej pięści, wbitej w dolną część brzucha i pulsującej natarczywie.

I wtedy ściana zbladła.

Rydra już miała podjąć próbę jakiegoś ustalenia, gdzie się znajduje, jeśli nie w czasie i w przestrzeni, to przynajmniej w obrębie jakiegoś zbioru możliwości. Widząc blednącą ścianę, zaniechała próby. Patrzyła.

Bładość pojawiła się w górnej części ściany, z lewej strony. Rozzarzyła się, potem stała się przezroczysta i w powietrzu uformował się jezior metalu, który łagodnie wysunął się w jej stronę.

Trzej mężczyźni:

Najbliższy, u szczytu rampy, miał twarz jak grubo ciosaną i luźno poskładaną z brązowej skały. Nosił staroświeckie odzienie, jakiś pierwowzór peleryny konturowej. Automatycznie dopasowywało się do kształtu ciała, ale było wykonane z porowatego plastiku i wyglądało raczej jak pancerz. Czarny, wielowarstwowy materiał opadał mu na jedno ramię i rękę. Znoszone sandały były wiązane za pomocą sznurowadeł kończących się wysoko na łydce. Kępki futra pod rzemieniami zapobiegały otarciom. Jediną oznaką operacji kosmetochirurgicznej były sztuczne, srebrne włosy i zaczesane do góry metaliczne brwi. Z rozciągniętego płotka usznego zwisał cienki, srebrny kolczyk. Osobnik dotknął kabury wibropistoletem na brzuchu i patrzył to na jeden hamak, to na drugi.

Drugi mężczyzna stanął z przodu. Był smukły: fantastyczna mieszanka wynalazków kosmetochirurgii, trochę z gryfa, trochę z małpy, trochę konika morskiego: łuski, pióra, pazury i dziób przyczepiony do ciała, które, jak przypuszczała, pierwotnie miało przypominać kota. Przykucnął u boku pierwszego mężczyzny, opierając się na wydłużonych operacyjnie pośladkach i przeciągając kostkami palców po metalowej podłodze. Uniósł wzrok, gdy pierwszy mężczyzna z roztargnieniem sięgnął i podrapał go w głowę.

Rydra czekała, aż przemówią. Słowo pozwoli ich zidentyfikować: Sojusz albo Najeźdźcy. Jej

umysł był gotowy na skok do dowolnego języka, jakim przemówią, wydobyć wszystko, co wiedziała o ich nawykach w myśleniu, tendencjach do logicznych dwuznaczności, braku obecności rygoru słownego, wszelkich dziedzinach, w których mogła zyskać przewagę.

Drugi mężczyzna cofnął się i zobaczyła trzeciego, który nadal trzymał się z tyłu. Był wyższy i bardziej potężnie zbudowany od pozostałych, ubrany w same spodnie. Miał lekko zaokrąglone ramiona. Na nadgarstkach i piętach widniały wszczepione kogucie ostrogi - czasem z czymś takim paradowali transportowcy z półświatka, znajdujący się na dole hierarchii: miały one podobne znaczenie jak kastety albo piracka trupia czaszka. Jego głowę niedawno ogolono i włosy zaczęły odrastać mu z tyłu głowy: ciemna, elektrostatyczna szczotka. Dookoła przypominającego węzeł bicepsa rozciągało się pasmo czerwonego ciała, wyglądającego jak krwisty siniak albo zaogniona blizna. Owo piętno stało się tak powszechne u bohaterów powieści awanturniczych, że prawie już straciło popularność jako godny pożałowania banał. Był to znak skazańców z więziennych jaskiń na Titinie. Miał w sobie coś tak brutalnego, że odwróciła wzrok. A zarazem coś tak wdzięcznego, że spojrzała jeszcze raz.

Dwóch mężczyzn u szczytu rampy zwróciło się do trzeciego. Czekala na słowa, by definiować, ustalać, identyfikować. Spojrzeli na nią, po czym podeszli do ściany. Rampa zaczęła się cofać.

Rydra usiadła.

- Proszę! - zawołała. - Gdzie my jesteśmy?

Srebrnowłosy mężczyzna odparł:

- „Jebel Tarik”.

Ściana znów wyglądała normalnie.

Rydra spojrzała na sieć (która w innym języku była czymś innym); jeden sznur puścił, potem następny. Naprężenie słabło, aż sieć się rozerwała i Rydra zeskoczyła na podłogę. Stojąc, zobaczyła, że drugim dzieciakiem z plutonu jest Kile, który pracował z Lizzy przy naprawach. Mosiądz zaczął się miotać.

- Siedź spokojnie - powiedziała i zaczęła rozplątywać węzły.

- Co on ci ‘owiedział? - dopytywał się Mosiądz. - Czy to było jego imię i nazwisko, czy kazał ci leżeć s’okojnie i zamknąć się?

Wzruszyła ramionami i rozplątała kolejny.

- Jebel oznacza górę w staromauretańskim. Może to Góra Tarika.

Mosiądz usiadł, gdy opadła z niego sieć.

- Skąd wiedziałaś, jak to działa? - spytał. - Szar’alem się z tym ‘rzez dziesięć minut i nic.

- Innym razem ci powiem. Tarik to może być czyjeś imię.

Mosiądz spojrzał znów na rozplątana sieć, podrapał się za szpiczastym uchem, po czym potrząsnął głową w zdumieniu i cofnął się.

- Przynajmniej wiemy, że nie są Najeźdźcami - stwierdziła Rydra.

- A skąd wiemy?

- Po drugiej stronie osi jest tak mało ludzi, że wątpię, by ktoś słyszał o staromauretańskim. Ziemianie, którzy tam wyemigrowali, pochodzili z Ameryki Południowej i Północnej sprzed utworzenia Amerykacji i połknięcia Europy przez Panafrykę. Poza tym więzienne jaskinie na Titinie należą do Cezara.

- Ach, tak - odparł Mosiądz. - Rzeczywiście. Ale to nie znaczy, że tak musi być w ‘rzy’adku ich wychowanków.

Spojrzała w miejsce, gdzie otworzyła się ściana. Uchwycenie sytuacji wydawało się równie beznadziejne jak uchwycenie błękitnego metalu.

- A co się tak na'rawdę stało, u licha?

- Wystartowaliśmy bez pilota - wyjaśniła Rydra. - Przypuszczam, że ktoś, kto potrafi nadawać w Babel-17, umie to robić także po angielsku.

- Chyba jednak nie wystartowaliśmy bez 'ilota. Z kim rozmawiał Ślimak zaraz 'rzed startem? Gdybyśmy nie mieli 'ilota, nie byłoby nas tu. Smażylibyśmy się w najbliższym, największym słońcu.

- Pewnie był to ktoś, kto zniszczył te płytki. - Rydra cofnęła się pamięcią wstecz i powłoka amnezji opadła. - Sabotażysta chyba nie chciał mnie zabić. TW-55 mógł mnie załatwić równie łatwo, jak załatwił barona.

- Ciekawe, czy sz'ieg, którego mamy na statku, też mówi Babel-17?

Rydra pokiwała głową.

- Tak sądzę.

Mosiądz rozejrzał się dookoła.

- Nikogo więcej tu nie ma? Gdzie reszta załogi?

- Proszę pana, pani kapitan...

Obrócili się.

Kolejna dziura w ścianie. Chuda dziewczyna z zieloną szarfą na włosach niosła miskę.

- Pan powiedział, że się obudziliście, więc coś wam przyniosłam. - Miała wielkie i ciemne oczy, a gdy mrugała powiekami, odnosiło się wrażenie, jakby ptak machał skrzydłami. Wysunęła miskę w ich stronę.

Rydra wyczuła w niej otwartość, lecz także strach przed obcymi. Cienkie palce jednak pewnie trzymały brzegi miski.

- To miło z twojej strony.

Dziewczyna skłoniła się lekko i uśmiechnęła.

- Wiem, że się nas boisz - rzekła Rydra. - Niepotrzebnie.

Strach odchodził; chude ramiona odprężyły się.

- Jak się nazywa twój pan? - spytała Rydra.

- Tarik.

Rydra odwróciła się i skinęła do Mosiądza.

- A to jest „Góra Tarika”? - Wzięła miskę od dziewczyny. - Jak się tu dostaliśmy?

- Pan zdążył wyłowić wasz statek ze środka supernowej Łabędź-42, zanim generatory stazy przestały działać po skoku.

Mosiądz zasyczał, co było dla niego namiastką gwizdu.

- Nic dziwnego, że straciliśmy 'rzytomność. Musieliśmy szybko dryfować.

Ta myśl spowodowała wyjęcie zatyczki tkwiącej w żołądku Rydry.

- W takim razie zdryfowaliśmy w region supernowej. Może rzeczywiście nie było żadnego pilota.

Mosiądz zdjął z miski białą serwetkę.

- Częstuj się kurczakiem, ani ka'itan. - Mięso było pieczone i nadal gorące.

- Za chwilę - odparła. - Muszę jeszcze o czymś pomyśleć. - Zwróciła się ponownie do dziewczyny. - W takim razie „Góra Tarika” to statek. I my jesteśmy na jego pokładzie?

Dziewczyna zaplotła ręce na plecach i pokiwała głową.

- To dobry statek.

- Jestem pewna, że nie bierzecie pasażerów. Jaki ładunek wieziecie?

Zadała niewłaściwe pytanie. Znow strach: nie brak zaufania do obcych, tylko coś formalnego i wszechogarniającego.

- Nie wieziemy żadnego ładunku, proszę pani - odparła dziewczyna, po czym wyrzuciła z siebie:
- Nie wolno mi z wami rozmawiać. Musicie porozmawiać z Tarikiem. - Cofnęła się pod ścianę.

- Mosiądz - Rydra obróciła się i podrapała po głowie - nie ma już piratów kosmicznych, prawda?

- 'orwań statków trans'ortowych nie było od siedemdziesięciu lat.

- Tak właśnie myślałam. Gdzie więc jesteście?

- Żebym to ja wiedział. - Gładkie i ciemne płaszczyzny jego policzków mieniły się w błękitnym świetle. Jedwabiste brwi zasłaniały głębokie dyski oczu. - Wyciągnął „Rimbauda” z Łabędzia-42? Chyba już wiem, czemu nazywają go Górą Tarika. Musi być wielki jak okręt bojowy.

- Jeśli to jest okręt bojowy, Tarik nie przypomina mi żadnego gwiazdowca, jakiego w życiu widziałam.

- Do wojska i tak nie 'rzyjmują byłych skazańców. 'ani ka'itan, w co my wde'nęliśmy?

Wyjęła z miski kurzą nogę.

- Chyba musimy poczekać na Tarika. - W którymś hamaku coś się poruszyło. - Mam nadzieję, że dzieciakom nic się nie stało. Dlaczego nie spytałam tej dziewczyny, czy reszta załogi też jest na pokładzie? - Podeszła do hamaka Carlosa. - Jak się czujesz? - spytała radośnie. Po raz pierwszy dostrzegła zapięcia, które mocowały sieć do dolnej części nosidła.

- Moja głowa - odparł Carlos ze złośliwym uśmiechem. - Chyba mam kaca.

- W takim razie nie powinieneś się tak szczerzyć. A tak w ogóle, co ty wiesz o kacu? - Rozpinanie zapięć trwało trzykrotnie dłużej niż rozplątywanie sieci.

- Wino na imprezie - odparł Carlos. - Sporo wypilem. A co się stało?

- Powiem ci, jak się dowiem. Hopla! - Przekręciła hamak i Carlos wylądował na nogach. Odsunął włosy z oczu.

- Gdzie jest reszta?

- Kile jest tam. Więcej nikogo tu nie ma.

Mosiądz uwolnił Kile'a, który przysiadł na brzegu hamaka i próbował wepchnąć sobie kłykie do nosa.

- Hej, mały - odezwał się Carlos. - Nic ci nie jest?

Kile poruszał palcami u nóg tak, że aż drgało mu ścięgno Achillesa, ziewnął i równocześnie powiedział coś niezrozumiałego.

- Nie - powiedział Carlos - bo sprawdziłem, jak tylko wróciliśmy.

Och, pomyślała, zostało jeszcze tyle języków, w których powinnam się doksztalić.

Kile drapał się teraz po łokciu. Nagle wystawił język w kąciku ust i spojrzał w górę.

Rydra zrobiła to samo.

Rampa znów wysuwała się ze ściany. Tym razem dotknęła podłogi.

- Czy pozwoli pani ze mną, pani Wong?

Tarik, z ręką na kaburze i srebrzystymi włosami, stał na tle ciemnego otworu.

- Czy reszcie mojej załogi nic się nie stało? Chciałabym ich zobaczyć.

- Są w innych salach. Jeśli chce pani ich zobaczyć...

- Czy nic im nie jest?

Tarik pokręcił głową.

Rydra poklepała Carlosa w czoło.

- Zobaczymy się później - szepnęła.

Wspólna sala była pełna łuków i balkonów, a jej ściany przypominały skałę. Wielkie

powierzchnie były obwieszane czerwonymi i zielonymi znakami zodiaku oraz obrazami przedstawiającymi bitwy. I gwiazdami - na początku myślała, że upstrzona światłkami przestrzeń to prawdziwy bulaj, ale to była tylko kilkudziesięciometrowa projekcja nocy otaczającej statek.

Ludzie siedzieli przy drewnianych stołach, rozmawiając, albo wylegiwali się pod ścianami. Na dole, gdzie kończyły się szerokie stoły, stała szeroka lada zastawiona jedzeniem i dzbankami. W otworze widniało mnóstwo garnków, brytfanek i talerzy, a dalej aluminium i biała wnęka kuchenna, gdzie mężczyźni i kobiety w fartuchach przygotowywali kolację.

Gdy weszli, obecni zwrócili się w ich stronę. Najbliżsi dotknęli czoła w geście salutu. Rydra szła za Tarikiem po podeście; zmierzali do wyściełanych ław na samej górze.

Podbiegł do nich człowiek gryf.

- Panie, to ona?

Tarik zwrócił się do Rydry, a na jego kamiennej twarzy pojawił się cieplejszy wyraz.

- To jest moja rozrywka, coś, co pozwala mi się oderwać, moje złagodzenie gniewu, pani kapitan. W nich czai się całe poczucie humoru, którego zdaniem otoczenia mi brak. Hej, Klik, skocz tam i wymość nam poduszki przed konferencją.

Upierzona głowa przechyliła się na chwilę, czarne oko błysnęło, i Klik zaczął poprawiać poduszki. Chwilę później Rydra i Tarik zasiedli na nich.

- Jaką trasą leci pański statek? - zwróciła się do Tarika Rydra.

- Jesteśmy w Rozpadlinie Specellego. - Zdjął pelerynę z ramienia z trzema gruzłami. - Jaka była wasza pierwotna pozycja, zanim wpadliście w prąd supernowej?

- Wystartowaliśmy... ze Stoczni Wojennej Sojuszu.

Tarik skinął głową.

- Mieliście szczęście. Większość statków cieni zostawiłoby was, żebyście wynurzyli się w supernowej po wyłączeniu generatorów. To byłoby raczej ostateczne odcięcie.

- Pewnie tak. - Rydra poczuła, jak żołądek kurczy jej się na samą myśl, po czym zapytała: - Statków cieni?

- Tak. Właśnie czymś takim jest „Jebel Tarik”.

- Obawiam się, że nie wiem, czym jest statek cień.

Tarik zaśmiał się: cichy, chropowaty dźwięk gdzieś na dnie gardła.

- Może tak powinno zostać. Mam nadzieję, że nigdy nie będzie pani żałować tego, że pani powiedziałam.

- Proszę mówić. Słucham.

- Rozpadlina Specellego to obszar gęsty pod względem radiowym. Statek, nawet taka góra jak Tarik, na dalekie odległości jest praktycznie niewykrywalny. Poza tym lecimy po stronie stazy Gwiazdozbioru Raka.

- Ta część galaktyki znajduje się w rękach Najeźdźców - rzekła Rydra z lękiem wynikającym z odruchu warunkowego.

- Rozpadlina jest granicą wzdłuż brzegu Gwiazdozbioru Raka. My... patrolujemy jej obszar i dbamy o to, żeby statki Najeźdźców pozostawały... na swoim terenie.

Rydra dostrzegła na jego twarzy wahanie.

- Ale nie oficjalnie?

Znów się roześmiał.

- Jakżebyśmy mogli, pani kapitan. - Pogłaskał pióra rosnące między łopatkami Klika. Błazen wygiął grzbiet. - Nawet oficjalne okręty wojenne nie są w stanie komunikować się przez radio w Rozpadlinie. Więc Kwaterna Główna Sojuszu traktuje nas pobłażliwie. My wykonujemy dobrze swoją

pracę - oni udają, że nie widzą. Nie mogą wydawać nam rozkazów, nie mogą dostarczać nam broni ani zaopatrzenia. Zatem ignorujemy konwencje ratunkowe i przepisy o jeńcach. Gwiazdowcy nazywają nas szabrownikami. - Patrzył, jak Rydra reaguje na jego słowa. - Jesteśmy zagorzałymi obrońcami Sojuszu, pani Wong, ale... - Uniósł dłoń, zwinął ją w pięść i dotknął swojego brzucha. - Ale jeśli jesteśmy głodni, a żaden statek Najeźdźców dawno nie przelatywał - cóż, bierzemy, co się trafi.

- Ach, tak - odparła Rydra. - Jak rozumiem, jesteśmy łupem? - Przypomniała sobie barona, pazerność skrytą w smukłej sylwetce.

Tarik rozluźnił palce.

- Czy ja wyglądam na głodnego?

Rydra posłała mu krzywy uśmiezek.

- Wygląda pan na dobrze nakarmionego.

Skinął głową.

- To był dobry miesiąc. Gdyby tak nie było, nie siedzielibyśmy tu i nie gawędzili sobie tak po przyjacielsku. Na razie jesteście naszymi gośćmi.

- W takim razie pomożecie nam naprawić przepalone generatory?

Tarik uniósł dłoń, dając jej znak, by zamilkła.

- ...na razie - powtórzył.

Rydra pochyliła się w jego stronę, po czym się cofnęła.

Tarik zwrócił się do Klika:

- Przynieś książki.

Błazen odszedł na bok i sięgnął do stojaka przy kanapach.

- Prowadzimy niebezpieczny tryb życia - mówił dalej Tarik. - Może dlatego żyje się nam tak dobrze. Jesteśmy cywilizowani - kiedy mamy czas. Nazwa waszego statku skłoniła mnie, żeby postąpić zgodnie z sugestią Rzeźnika i was wyciągnąć. Tu, na peryferiach, rzadko odwiedzają nas poeci. - Rydra uśmiechnęła się uprzejmie.

Klik wrócił z trzema tomami. Miały czarne okładki i srebrzone brzegi. Tarik uniósł je.

- Ta druga to moja ulubiona. Największe wrażenie zrobiło na mnie długie opowiadanie Wygnańcy we mgle. Mówi pani, że nigdy nie słyszała o statkach cieniach, a jednak zna pani uczucie „oplatającej pętli nocy” - to ten wers, prawda? Muszę przyznać, że nie rozumiem pani trzeciej książki. Pewnie dlatego, że jest tam mnóstwo nawiązań i humorystycznych aluzji do bieżących wydarzeń, a my tu jesteśmy odcięci od głównego nurtu. - Wzruszył ramionami. - Pierwszą... zdobyliśmy z biblioteczki kapitana transportowca Najeźdźców, który zboczył z kursu. Drugą - cóż, była na pokładzie niszczyciela Sojuszu. Na stronie tytułowej ma dedykację: „Dla Joeya na pierwszy lot: tak doskonale wyraża to, co zawsze chciałam powiedzieć. Z wyrazami miłości, Lenia”. - Zamknął książkę. - Wzruszające. Trzecią zdobyłem zaledwie miesiąc temu. Muszę ją przeczytać jeszcze parę razy, zanim będę chciał z panią o niej porozmawiać. Co za niezwykły zbieg okoliczności, który pozwolił nam się spotkać. - Położył książki na kolanach. - Kiedy ukazała się ostatnia?

- Niecały rok temu.

- Będzie czwarta?

Potrząsnęła głową.

- Czy mogę spytać, nad jakim dziełem literackim teraz pani pracuje?

- Nad żadnym. Napisałam kilka niewielkich wierszy i mój wydawca chce je opublikować w jednym zbiorze, ale wołałabym poczekać, aż będę mieć jakieś większe, konkretne dzieło, które je

zrównoważy.

Tarik pokiwał głową.

- Rozumiem. Pani powściągliwość pozbawia nas jednak ogromnej przyjemności. Gdyby naszło panią natchnienie, byłbym zaszczycony. Naszym posiłkom towarzyszy muzyka, przedstawienia dramatyczne lub komiczne, reżyserowane przez naszego zdolnego Klika. Gdyby napisała nam pani jakiś prolog albo epilog, wedle pani uznania, byłbym zaszczycony. - Wyciągnął brązową, twardą rękę. Uznanie nie jest ciepłym uczuciem, pomyślała Rydra, lecz chłodnym; takim, które sprawia, że przestajesz odczuwać napięcie w plecach, kiedy się uśmiechasz. Odwzajemniła uścisk dłoni.

- Dziękuję panu, panie Tarik - odparła.

- To ja pani dziękuję - rzekł. - Skoro wykazuje pani dobrą wolę, wypuszczę pani załogę. Mogą poruszać się po statku tak samo jak moi ludzie. - Wyraz jego brązowej twarzy zmienił się. Puściła jego dłoń.

- Rzeźnik. - Skinął głową, a ona się odwróciła.

Stopień niżej stał skazaniec, który towarzyszył mu na rampie.

- Co to była ta plamka pędząca w stronę Rigel? - spytał Tarik.

- Uciekający statek Sojuzsu i śledzący go Najeźdźcy.

Tarik zmarszczył czoło, potem się odprężył.

- Nie, zostawmy ich w spokoju. W tym miesiącu mamy dość jedzenia. Po co stawiać naszych gości w niezręcznej sytuacji z powodu aktów przemocy? To jest Rydra.

Rzeźnik walnął prawą pięścią w lewą dłoń. Ludzie poniżej odwrócili się w ich stronę. Rydra podskoczyła na dźwięk tego odgłosu i usiłowała odczytać cokolwiek z ruchów tych lekko drżących mięśni nieruchomej twarzy o pełnych wargach: wyraźna, ale niewysłowiona wrogość; nieruchoma wściekłość, spowolniony strach, bezpieczeństwo w ciszy rozszalałej ruchem...

Tarik znów się odezwał, niskim, chropowatym głosem. Mówił powoli.

- Masz rację. Ale ten sam człowiek nie może w jednej chwili mieć dwóch różnych zdań, prawda, pani kapitan? - Wstał. - Rzeźniku, zbliźmy się do ich trajektorii. Są godzinę od nas? Dobrze. Popatrzmy trochę, a potem spuścimy baty - przerwał i spojrzał na Rydrę - Najeźdźcom.

Rzeźnik puścił pięść i Rydra dostrzegła na jego twarzy ulgę. Znów oddychał.

- Przygotuj „Jebel”, a ja odprowadzę panią Wong do miejsca, gdzie będzie mogła wszystko oglądać.

Rzeźnik nie odpowiedział, tylko ruszył schodami w dół. Siedzący najbliżej podsłuchali, wieść zaczęła się roznosić. Ludzie wstawali z ław. Ktoś przewrócił róg z napojem. Rydra zauważyła, że dziewczyna, która obsługiwała ich w izbie chorych, podbiegła ze ścierką, by to wytrzeć.

Z galerii na szczycie schodów spojrzała na wspólną salę, przechylając się przez balustradę: pomieszczenie opustoszało.

- Proszę za mną. - Tarik poprowadził ją między kolumnami w kierunku ciemności i gwiazd. - Statek Sojuzsu to ten. - Wskazał błękitną chmurkę. - Mamy sprzęt, który pozwoli nam się przebić przez tę mgłę, ale wątpię, czy statek Sojuzsu zdaje sobie sprawę z tego, że jest namierzany przez Najeźdźców. - Podeszedł do pulpitu i nacisnął wystający dysk. We mgle rozbłysły dwa punkty światła. - Czerwony to Najeźdźcy - wyjaśnił Tarik - a niebieski to Sojusz. Nasze statki pająki będą żółte. Przebieg potyczki może pani obserwować tutaj. Wszystkie nasze ewaluacje sensoryczne odbywają się na pokładzie „Jebel”; tu są perceptorzy czuciowi i nawigatorzy, a całą strategią kierujemy zdalnie, co pozwoli formacjom zachować spójność. W ograniczonym zasięgu jednak każdy statek pająk walczy sam. To świetny sport dla mężczyzn.

- Jakiego rodzaju są statki, na które polujecie? - zapytała Rydra, rozbawiona lekko archaicznym tonem obecnym w mowie Tarika i zaczynającym już wpływać na jej własną.

- Statek Sojuszu to wojskowy transportowiec z zaopatrzeniem. Najeźdźcy namierzają go małym niszczycielem.

- W jakiej są odległości?

- Potyczka powinna zacząć się za jakieś dwadzieścia minut.

- A pan chce czekać sześćdziesiąt minut, zanim... spuści pan baty Najeźdźcom?

Tarik uśmiechnął się.

- Statek z zaopatrzeniem nie na dużych szans przy niszczycielu.

- Wiem. - Widziała, co się kryje pod jego uśmiechem: czekał na jej protest. Poszukiwała w sobie chęci zaprotestowania, ale zablokował ją skrzep malutkich, śpiewnych dźwięków, które na jej języku zajmowały powierzchnię mniejszą od monety: Babel-17. Definiowały koncepcję rygorystycznie niezbędnej, doraźnej ciekawości, która w każdym innym języku stałaby się nieporadnym ciągiem wielosylab. - Nigdy nie oglądałam międzygwiazdnej potyczki.

- Zaprosiłbym panią na pokład mojego flagowego statku, ale choć niebezpieczeństwo jest niewielkie, nadal istnieje. Zresztą stąd będzie pani wyraźnie widzieć całą bitwę.

Poczuła podniecenie.

- Chciałabym polecieć z panem - rzekła, mając nadzieję, że Tarik zmieni zdanie.

- Proszę zostać - odparł. - Tym razem Rzeźnik leci ze mną. Gdyby pani wolała obserwować prądy stazy, tu ma pani hełm. Ale kiedy w ruch idzie broń, powstaje tyle elektromagnetycznego szumu, że - jak przypuszczam - nawet redukcja nie pomoże. - Przez ekran przesunął się ciąg światełek. - Proszę mi wybaczyć. Muszę poprowadzić odprawę i sprawdzić mój krążownik. - Ukłonił się lekko. - Pani załoga obudziła się. Zostanie tu przyprowadzona, a pani będzie mogła objaśnić jej wasz status gości w sposób, jaki uzna pani za stosowny.

Tarik podszedł do schodów, a ona spojrzała na połyskujący ekran i kilka chwil później pomyślała: co za niesamowity cmentarz muszą mieć na pokładzie; żeby dokonywać odczytów czuciowych dla Tarika i jego statków pajaków, musi tu być pięćdziesięciu bezcielesnych - znów w baskijskim. Odwróciła się i zobaczyła półprzejrzyste kształty Oka, Ucha i Nosa po drugiej stronie galerii.

- Cieszę się, że was widzę - rzekła. - Nie wiedziałam, czy Tarik ma urządzenia do komunikacji z bezcielesnymi!

- I to jakie! - padła odpowiedź w baskijskim. - Pani kapitan, zabierzemy panią w podróż po krainie cieni. Traktują nas tu jak panów Hadesu.

Z głośnika rozległ się głos Tarika.

- Proszę o uwagę. Strategia: Wariatkowo. Wariatkowo. Po raz trzeci: Wariatkowo. Pacjenci gromadzą się, żeby stawić czoło Cezarowi. Psychotocy czekają przy bramie K. Neurotocy zbierają się przed bramą R. Psychopaci przygotowują się do inwazji na osi bramy T. W porządku, zrzućcie kaftany bezpieczeństwa.

Na dole ekranu o długości stu metrów pojawiły się trzy grupy żółtych światełek - trzy grupy statków pajaków, które miały zaatakować statek Najeźdźców po przejściu przez niego statku zaopatrzeniowego Sojuszu. - Neurotocy, naprzód. Utrzymujcie kontakt, żeby uniknąć niepokoju spowodowanego rozdzieleniem. - Środkowa grupa przesunęła się do przodu. W dolnych głośnikach rozległy się ciche, przerywane szumem głosy ludzi zgłaszających się do nawigatorów na pokładzie „Jebel”:

Kippi, trzymaj nas na kursie, nie pozwól nam odpaść.

Jasne. Jastrzęb, dostanę twoje raporty na czas?

Spokojnie. Mój moduł przechwytywania ma usterkę.

Kto ci kazał odlatywać bez przeglądu?

Drogie panie, dajcie spokój, bądźcie dla nas miłe choć raz.

Hej, Racica, chcesz być wystrzelony wysoko czy nisko?

Nisko, mocno i szybko. Nie chcę do góry.

Tylko odeślij raporty, słonko.

W głównym głośniku odezwał się Tarik.

- Myśliwy i zwierzyna rozpoczęły potyczkę.

Na ekranie zaczęło migać czerwone i niebieskie światło. Ze schodów zeszli tymczasem Calli, Ron i Mollya.

- Co się dzieje? - zaczął Calli, ale Rydra uciszyła go gestem.

- To czerwone światelko to statek Najeźdźców. Za parę minut go zaatakujemy. My to te żółte światelka na dole. - I na tym zakończyła wyjaśnienia.

- Powodzenia, my - rzekła Mollya sucho.

Pięć minut później zostało tylko czerwone światelko. Na schodach pojawił się Mosiądz i dołączył do pozostałych.

- Myśliwy stał się zwierzyną - ogłosił Tarik. - Psychopaci, wyschizujcie go. - Żółta grupa ruszyła do przodu, rozproszyła się.

Jastrzębiu, statek Najeźdźców wygląda na duży.

Nie martw się. Zaraz tam będziemy.

Do licha. Nie lubię ciężkiej roboty. Masz już moje raporty?

Mam. Racica, przestań zakłócać wiązkę Biedronki!

Dobrze, dobrze, dobrze. Ktoś sprawdził traktor dziewięć i dziesięć?

O wszystkim pomyślisz we właściwym momencie, nie?

Tylko jestem ciekaw. Czy ta spirala nie wygląda ładnie?

- Neurotycy, do boju z manią wielkości. Napoleon Bonaparte przejmuje prowadzenie. Jezus Chrystus zabezpiecza tyły. - Statki z prawej utworzyły formację w kształcie rombu. - Stymulować ciężką depresję, niekomunikatywną, z tłumioną wrogością.

Z tyłu usłyszała dziecięce głosy. Ślimak prowadził pluton po schodach. Gdy podeszli, zamilkli na widok olbrzymiego obrazu nocy. Zaczęły szeptać, wyjaśniając sobie, co się dzieje w bitwie.

- Pierwszy epizod psychotyczny, do boju. - Żółte światła popędziły w mrok.

Statek Najeźdźców musiał w końcu ich zauważyć, bo zaczął się oddalać. Wielka bryła nie była jednak w stanie uciec pająkom, chyba że skoczyłaby w prąd. A nie miała wystarczającej swobody manewru. Trzy grupy światelek - uporządkowana, nieuporządkowana i rozproszona - zbliżyły się. Po trzech minutach statek Najeźdźców zastopował. Na ekranie pojawiła się istna fontanna czerwonych światelek. Wypuścił własne krążowniki, które także podzieliły się na trzy standardowe grupy atakujące.

- Cel życiowy uległ rozproszeniu - oznajmił Tarik. - Nie zniechęcajcie się.

Dalej, dalej, maleństwa, spróbujcie nas złapać!

Pamiętaj, Kippi, nisko, szybko i mocno!

Jeśli wystraszymy ich tak, że ruszą do ofensywy, mamy ich!

- Przygotować się do penetracji wrogich mechanizmów obronnych. Dobrze. Podać lekarstwo!

Formacja krążowników Najeźdźców nie była wcale ofensywna. Jedna grupa żeglowała poziomo na tle gwiazd, druga przeczesywała tory lotu pod kątem sześćdziesięciu stopni, a trzecia wykonała kolejny obrót o sześćdziesiąt stopni, by utworzyć potrójną siatkę obronną przed statkiem matką. Czerwone krążowniki zawróciły na końcu toru lotu i przeleciały znów, wypełniając przestrzeń przed statkiem Najeźdźców małymi stateczkami.

- Uwaga. Wróg wzmocnił mechanizmy obronne.

A co to za nowa formacja?

Przebijemy się. Martwiłeś się...

Szum na jednym kanale.

Do licha, trafili Racicę!

Zabierz mnie stąd, Kippi. Dobrze. Racica?

Widziałeś, jak go dorwali? Hej, dalej.

- Zastosować aktywną terapię z prawej. Bądźcie tak ukierunkowani, jak tylko się da. Niech środek zakosztuje zasady przyjemności. A lewa strona niech wisi luźno.

Rydra patrzyła z fascynacją, jak żółte światła ścigają czerwone, które pełzną hipnotycznie po swojej sieci...

Sieć! Obraz pojawił się w jej umyśle, a po drugiej stronie wyłoniły się wszystkie brakujące linie. Ta sieć była taka sama jak trzypunktowa siatka w hamaku, którą rozerwała parę godzin temu, z dodanym czynnikiem czasu, gdyż liniami były tory lotu, nie sznurki; ale zasada działania była taka sama. Rydra szarpnęła za mikrofon.

- Tarik! - Wydobyć z gardła głosek, od tylnozębowej po podniebienną, wydawało się trwać wieki w porównaniu z dźwiękami, jakie tańczyły w jej mózgu. Warknęła na nawigatorów: - Calli, Mollya, Ron, przeprowadźcie dla mnie koordynację pola bitwy.

- Co? - spytał Calli. - No dobrze.

Zaczął regulować pokrętło gwiazdometru na ręce. Zwolnione tempo, pomyślała. Wszyscy poruszają się w zwolnionym tempie. Wiedziała, co należy zrobić, co powinno się zrobić, i obserwowała, jak zmienia się sytuacja.

- Rydro Wong, Tarik jest zajęty - rozległ się ponury głos Rzeźnika.

- Współrzędne 3-B, 41-F i 9-K - zawołał Calli. - Szybko, nie?

Miała wrażenie, że zadała mu to pytanie godzinę temu.

- Rzeźniku, zapisałeś te współrzędne? Teraz popatrz... za dwadzieścia siedem sekund przeleci krążownik... - Podała mu trzy liczby oznaczające lokalizację. - Uderzcie w niego najbliższą grupą neurotyków. - Czekala na reakcję, dostrzegła, gdzie powinno zostać skierowane następne uderzenie. - Za czterdzieści sekund, zaczynam: osiem, dziewięć, dziesięć, teraz, przeleci krążownik Najeźdźców... - Kolejna lokalizacja. - Przywalcie mu tym, co tam macie najbliżej. Czy pierwszy statek wypadł z boju?

- Tak, pani kapitan.

Poczuła zdumienie i ulgę. Przynajmniej Rzeźnik słuchał, co do niego mówiła; podała mu współrzędne trzech następnych statków w sieci.

- A teraz przywalcie im i możecie patrzeć, jak wszystko się rozpada.

Odłożyła mikrofon. Rozległ się głos Tarika.

- Do terapii grupowej wystąp!

Żółte statki pająki skoczyły znów w ciemność. Tam, gdzie powinni byli być Najeźdźcy, były dziury; tam, gdzie miały być posiłki, panował chaos. Czerwone krążowniki uciekały na swoje pozycje: najpierw jeden, potem drugi.

Żółte światełka przebiły się. Żar wibrowybuchu zdmuchnął czerwoną poświatę statku Najeźdźców.

Ratt podskoczył, trzymając za rękę Carlosa i Flopa.

- Hej, wygraliśmy! - krzyknął malutki inżynier rekonwersji. - Wygraliśmy!

Dzieci zaszepotały. Rydra czuła się dziwnie, jakby oddalona. Mówili tak wolno, tak dużo czasu zajmowało im wyartykułowanie myśli, które można by oddać tak zgrabnie za pomocą paru...

- Nic ci nie jest? - Mosiądz położył żółtą łapę na jej ramieniu.

Próbowała coś powiedzieć, ale udało jej się tylko odchrząknąć. Oparła się o niego.

Ślimak obrócił się w ich stronę.

- Dobrze się czujesz?

- Mmmmm. - Uświadomiła sobie, że nie wie, jak to powiedzieć w Babel-17. Jej usta i język znowu przybrały taki kształt, że mogła wyrazić się po angielsku. - Mam mdłości. Jezu, ale mam mdłości.

Gdy to powiedziała, uczucie minęło.

- Może powinnaś się położyć - zaproponował Ślimak.

Potrząsnęła głową. Napięcie ramion i pleców wracało, mdłości ustępowały.

- Nie. Nic mi nie jest. Chyba się tylko za bardzo przejęłam.

- Usiądź na chwilę. - Mosiądz dał jej znak, by oparła się o biurko, ale wyprostowała się.

- Naprawdę nic mi nie jest. - Wzięła głęboki oddech. - Widzicie? - Odsunęła ramię Mosiądza. - Chyba się trochę przejdę. Już mi lepiej. - Ruszyła niepewnym krokiem. Czuła, że nie chce, żeby się oddalała, ale wołała być gdzie indziej. Przemierzyła galerię.

Jej oddech wyrównał się, gdy dotarła na górne piętro. Stamtąd korytarze rozchodziły się w sześciu kierunkach, łącząc się z rampami prowadzącymi na górne poziomy. Zatrzymała się, nie wiedząc, w którą stronę się udać, a następnie odwróciła się, słysząc jakiś dźwięk.

Korytarzem maszerowała załoga Tarika. Rzeźnik zatrzymał się, oparł o futrynę drzwi. Uśmiechnął się do niej, a widząc jej zmieszanie, wskazał jej prawą stronę. Nie miała ochoty się odzywać, więc tylko uśmiechnęła się i dotknęła czoła, udając salut. Ruszyła rampą po prawej stronie i dopiero wtedy dotarło do niej, co oznaczał ten uśmiech: dumę ze wspólnego osiągnięcia (co pozwoliło jej milczeć), ale też bezpośrednią przyjemność z zaoferowania jej pomocy bez słów. I to wszystko. Nie było tam rozbawienia kimś, kto zgubił drogę. Obecność tego uczucia nie rozżłościłaby jej. Ale jego nieobecność oczarowała. Pasowała do kościstej brutalności, której świadkiem była przedtem, i jego zwierzęcego uroku.

Nadal się uśmiechała, gdy dotarła do części wspólnej.

2.

Przechyliła się przez poręcz, by patrzeć, co się dzieje w zakrzywiającej się w dole ładowni.

- Ślimaku, weź dzieci i pomóżcie przy wyciągarkach. Tarik mówił, że przydałaby się im pomoc. Ślimak poprowadził pluton do wyciągu krzeselkowego, który opadał w dół ładowni „Jebel”.

- ...dobrze, a jak dotrzecie na dół, idźcie do faceta w czerwonej koszuli, żeby wam dał coś do roboty. Tak, do roboty. Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. Kile, przypnij się. Na dół jest prawie sto metrów i gdybyś spadł, to mógłbyś się solidnie potłuc w główkę. Hej, wy dwaj, przestańcie. Wiem, że on zaczął. Jedźcie na dół i postarajcie się do czegoś przydać...

Rydra patrzyła na maszyny i zapasy organiczne z dwóch statków - Sojuszu i Najeźdźców - przewożone przez zespoły demontujące, które pracowały przy obu wrakach i licznych zniszczonych krążownikach. Sterty skrzyń stały w całej ładowni.

- Zaraz wyrzucamy za burtę krążowniki. Obawiam się, że „Rimbaud” poleci z nimi. Czy jest coś, co chciałaby pani zabrać z pokładu, pani kapitan? - Odwróciła się, słysząc głos Tarika.

- Jest tam trochę ważnych papierów i nagrań. Zostawię tu pluton i wezmę oficerów ze sobą.

- Doskonale. - Tarik stanął obok niej przy poręczy. - Jak tylko tu skończmy, wyślę załogę, żeby przeniosła ciężkie rzeczy.

- To nie będzie... - zaczęła. - Och, rozumiem. Potrzebujecie paliwa.

Tarik skinął głową.

- I elementów układu stazy, i części zapasowych do statków pajaków. Ale nie dotkniemy „Rimbauda”, dopóki wy z nim nie skończycie.

- Rozumiem. Chyba tak będzie najlepiej.

- Jestem pod wrażeniem - zmienił temat Tarik - tego, jak poradziła sobie pani z rozplątaniem sieci Najeźdźców. Ta formacja zawsze sprawiała mi dużo kłopotu. Rzeźnik mówi, że rozplątała ją pani w pięć minut, a straciliśmy tylko jednego pajaka. To rekord. Nie wiedziałem, że jest pani równie dobrym strategiem jak poetką. Ma pani wiele talentów. Co za szczęście, że Rzeźnik odebrał tę wiadomość. Ja nie jestem aż tak dobry, żebym był w stanie wypełniać pani polecenia w tym zamieszaniu. Gdyby wyniki nie były tak godne pochwały, musiałbym go zbesztać. Ale, z drugiej strony, jego decyzje zawsze przynosiły mi korzyści. - Popatrzył w otchłań.

Na zawieszanej platformie w środku rozsiadł się były więzień, w milczeniu nadzorując całą operację.

- To ciekawy człowiek - rzekła Rydra. - Za co siedział?

- Nigdy go nie pytałem - odparł Tarik, unosząc podbródek - a on mi nie powiedział. Na pokładzie „Jebel” jest mnóstwo ciekawych ludzi. A prywatność jest bardzo ważna na małej przestrzeni. Och, tak. Za jakiś miesiąc dowie się pani, jak mała jest „Góra”.

- Przepraszam - spieszyła się Rydra. - Nie powinnam była pytać.

Całą część przednią spalonego krążownika Najeźdźców wieziono korytarzem na długim na siedem metrów przenośniku. Demontujący uwijali się dookoła z przebijaakami i laserowymi nożami. Suwnice złapały olbrzymi kadłub i zaczęły go wolno obracać.

Robotnik pracujący przy bulaju krzyknął nagle i odskoczył. Jego narzędzia rozsypały się przy grodzi. Bulaj odskoczył i w otworze pojawiła się postać w srebrzystym skafandrze; spadła osiem metrów w dół, na taśmę przenośnika, przetoczyła się, by uniknąć wypustów, stanęła, zeskoczyła trzy metry w dół na podłogę i zaczęła biec. Kaptur spadł jej z głowy, ukazując brązowe włosy, które powiewały szaleńczo, gdy zmieniała kierunek, usiłując uniknąć przesuwających się płóz. Poruszała

się szybko, ale z jakąś nieporadnością. Rydra spostrzegła, że to, co brała za otyłość, jest co najmniej siedmiomiesięczną ciążą. Mechanik rzucił w kobietę kluczem, ale uchyliła się i trafił ją w udo. Biegła w stronę otwartej przestrzeni między nagromadzonymi skrzynkami.

Powietrze przeszył syk: zatrzymała się, po czym opadła na podłogę, siadając ciężko. Syk powtórzył się; upadła na bok, kopiąc jedną nogą; znów kopnęła.

Na wieży Rzeźnik włożył wibropistolet do kabury.

- To nie było konieczne - powiedział dziwnie cicho Tarik.

- Czy nie mogliśmy... - Wydawało się, że nie da się niczego zaproponować. Na twarzy Tarika malowały się ból i ciekawość. Nie był to, uświadomiła sobie, ból wywołany podwójną śmiercią, jaka właśnie dokonała się na dole, ale rozgoryczenie dżentelmena przyłapanego na czymś nieładnym. Ciekawość zaś dotyczyła jej reakcji. Rydra wiedziała, że gdyby zareagowała na skurcz żołądka, mogłoby ją to kosztować życie. Wiedziała też, co Tarik chce powiedzieć, więc powiedziała to za niego: - Często zatrudniają ciężarne kobiety na pilotów okrętów bojowych, bo mają szybszy refleks. - Patrzyła, czy się odpręży, i rzeczywiście jego napięcie zelżało.

Rzeźnik właśnie schodził z wyciągu krzeselkowego na chodnik. Podeszedł do nich, z niecierpliwością waląc się pięścią po prążkowanym udzie.

- Powinni prześwietlać, zanim zaczną demontować. Nie słuchają. Drugi raz w ciągu dwóch miesięcy! - prychnął.

Poniżej pluton z ludźmi z „Jebel” uwijał się przy kadłubie.

- Następnym razem prześwietlą. - Głos Tarika był nadal cichy i chłodny. - Rzeźniku, najwyraźniej wzbudziłeś ciekawość kapitan Wong. Zastanawiała się, jakim jesteś człowiekiem, a ja naprawdę nie byłam w stanie jej powiedzieć. Może ty jej wyjaśnisz, dlaczego...

- Drogi panie - przerwała mu Rydra. Spojrzała na niego, po czym jej wzrok natrafił na ciemne spojrzenie Rzeźnika. - Chciałabym iść na mój statek i zabrać wszystko, zanim zaczniecie szaber.

Tarik wypuścił resztę powietrza, które trzymał w płucach od chwili, gdy wibropistolet syknął.

- Oczywiście.

- Nie, nie jest potworny, Mosiádz. - Otworzyła drzwi do kajuty kapitańskiej „Rimbauda” i weszła do środka. - Tylko... pragmatyczny. To po prostu...

Powiedziała mu jeszcze wiele więcej innych rzeczy, aż w końcu na jego obliczu ozdobionym kłami pojawił się uśmiezek. Potrząsnął głową.

- ‘o angielsku ‘roszę, ani ka’itan. Nie rozumiem.

Wzięła z konsoli słownik i położyła go na tabelach.

- Przykro mi - odparła. - To jest paskudne. Ale kiedy się go nauczysz, wyrażanie czegokolwiek wyda ci się łatwe. Wyjmij te taśmy z odtwarzacza. Muszę je jeszcze raz przesłuchać.

- Co to jest? - Mosiádz przyniósł taśmy.

- Transkrypcje ostatnich dialogów w Babel-17, tych ze Stoczni Wojennej, bezpośrednio poprzedzających nasz start. - Włożyła jedną do odtwarzacza i włączyła go.

W pomieszczeniu rozległ się melodyjny zaśpiew podzielony na dziesięcio- i dwudziestosekundowe fragmenty, które była w stanie zrozumieć. Spisek, mający na celu przejęcie TW-55, był opisany z halucynacyjną wyrazistością. Kiedy dotarła do miejsca, którego nie rozszyfrowała, stanęła rozdygotana przed ścianą niezrozumienia. Gdy słuchała i pojmowała, poruszała się w psychodelicznych wyobrażeniach. Gdy zrozumienie ją opuszczało, oddech w szoku opuszczał też jej płuca i musiała zamrugać, potrząsnąć głową, znów przez przypadek ugryźć się w język, zanim ponownie była w stanie zrozumieć.

- Pani kapitan?

To Ron. Odwróciła nieco bolącą już głowę, by spojrzeć na niego.

- Pani kapitan, nie chciałem przeszkadzać.

- Nie szkodzi - odparła. - Co się stało?

- Znalazłem to w Melinie Pilota. - Podał jej małą szpulę z taśmą.

Mosiądz nadal stał przy drzwiach.

- Co ona robiła w mojej części statku?

Rysy twarzy Rona walczyły ze sobą o przybranie jakiegoś wyrazu.

- Właśnie ją włączyłem, razem ze Ślimakiem. To jest prośba kapitan Wong - albo kogoś innego

- do kontroli lotów Stoczni Wojennej o zgodę na start i sygnał pełnej gotowości do startu dla Ślimaka.

- Rozumiem - odparła Rydra i wzięła taśmę. Zmarszczyła brwi. - To jest szpula z mojej kajuty.

Używam szpul z trzema listkami, przywiezionych z uniwersytetu. Wszystkie inne maszyny na statku wymagają takich z czterema. Ta taśma musi pochodzić z mojej maszyny.

- A więc - rzekł Mosiądz - ktoś się tu 'rzedostał i nagrał ją, jak cię nie było.

- Kiedy mnie tu nie było, kajuta była zamknięta tak szczelnie, że nawet odcieleśniona pchła nie przedostałaby się pod drzwiami. - Potrząsnęła głową. - Nie podoba mi się to. Nie wiem, kiedy następnym razem ktoś pokrzykuje mi plany. Cóż - wstała - przynajmniej wiem, co teraz muszę zrobić z Babel-17.

- Co takiego? - spytał Mosiądz. Ślimak podszedł do drzwi i patrzył znad ukwieconego ramienia Rona.

Rydra spojrzała na nich. Niepewność czy nieufność, co było gorsze?

- Przecież nie mogę wam teraz powiedzieć, prawda? - rzekła. - To takie proste. - Podeszła do drzwi. - Naprawdę bym chciała. Tylko że po tej całej aferze to byłoby raczej głupie.

- Ale ja muszę rozmawiać z Tarikiem!

Klik nastroszył pióra i wzruszył ramionami.

- Droga pani, chciałbym móc przedkładać pani życzenie ponad życzenia wszystkich innych na „Górze”, z wyjątkiem życzenia Tarika. I to właśnie zgodnie z życzeniem Tarika muszę teraz postąpić. A on życzy sobie, żeby mu nie przeszkadzano. Planuje trasę „Jebel” w następnym cyklu czasowym. Musi uważnie ocenić prądy, biorąc pod uwagę nawet masy otaczających nas gwiazd. To pracochłonne zadanie...

- W takim razie gdzie jest Rzeźnik? Zapytam go, ale wolałabym rozmawiać bezpośrednio z...

Błazen wskazał coś zielonym pazurem.

- Jest w sali biologicznej. Proszę iść do wspólnej sali, a potem pojechać pierwszą windą na poziom dwunasty. Zaraz po pani lewej stronie.

- Dziękuję. - Ruszyła w stronę stopni galerii.

Po wyjściu z windy znalazła wielkie drzwi działające jak migawka irysowa i nacisnęła płytkę przy wejściu. Listki zwinęły się. Zamrugła na widok zielonego światła.

Jego okrągła głowa i lekko pochylone ramiona rysowały się na tle bulgoczącego zbiornika, w którym unosiło się malutkie ciało. Strumień bąbelków rozpryskiwał się o stópki, opływał zagięte małe ręce jak snop iskier, pienił się przy zgiętej głowie i bulgotał wokół włosków, które tworzyły malutkie prądy.

Rzeźnik odwrócił się i powiedział:

- Umarło. - Pokiwał głową z energicznym zapałem. - Jeszcze pięć minut temu żyło. Siedem i pół

miesiąca! Powinno żyć. - Uderzył lewą pięścią o prawą otwartą dłoń, tak jak kiedyś we wspólnej sali. Dygot mięśni ustał. Wskazał kciukiem stół sekcyjny, na którym leżało rozcięte ciało Najeźdźcyńi. - Było bardzo poranione przy wyciąganiu. Duże obrażenia organów wewnętrznych. Rany całego brzucha. - Obrócił się tak, że kciuk wskazywał teraz unoszącego się w cieczy homunkulusa, a gest, który wydawał się prostacki, zyskał jakiś oszczędny wdzięk. - Ale i tak powinno przeżyć.

Wyłączył światło w zbiorniku i bąbelki przestały płynąć. Cofnął się od stołu.

- Czego pani życzy?

- Tarik planuje trasę „Jebel” na następnych kilka miesięcy. Czy mógłbyś go zapytać... -

Zamilkła, po czym spytała: - Dlaczego?

Pomyślała, że mięśnie Rona są żywymi sznurami, które wywarkują i wyśpiewują swoje komunikaty. U tego mężczyzny mięśnie były tarczami, które utrzymywały cały świat z daleka, a jego w środku. I w tym środku coś podskakiwało, uderzając w tarczę od wewnątrz. Karbowany brzuch przemieścił się, pierś zapadła, by zaraz wpuścić powietrze, czoło wygładziło, potem znów zmarszczyło.

- Dlaczego? - powtórzyła. - Dlaczego próbowałaś uratować dziecko?

W odpowiedzi skrzywił się i objął lewą ręką piętno skazańca na prawym bicepsie, jakby go zapiekło. Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

- Umarło. Nic z niego nie będzie. Czego chce?

Coś, co w nim podskakiwało, cofnęło się. Ona zrobiła to samo.

- Chciałabym wiedzieć, czy Tarik mógłby odstawić mnie do Kwatery Głównej Sojuszu. Muszę tam dostarczyć bardzo ważne informacje dotyczące Inwazji. Mój pilot mówi, że Rozpadlina Specellego rozciąga się na dziesięć jednostek hiperstazy, więc nawet statek pająk może tam dolecieć, a „Jebel” mógłby pozostać w przestrzeni tłumiącej fale radiowe. Gdyby Tarik mógł eskortować mnie do Kwatery Głównej Sojuszu, zagwarantuję mu ochronę i bezpieczny powrót do gęstej części Rozpadliny.

Wpatrywał się w nią.

- Aż do Smoczego Języka?

- Tak. Mosiądz mi powiedział, że tak nazywa się koniec Rozpadliny.

- Z gwarancją ochrony?

- Zgadza się. Mogę pokazać moje poświadczenia od generała Forestera z Sojuszu, jeśli tylko...

Machnął ręką, by zamilkła.

- Tarik - zwrócił się do ściennego interkomu.

Głośnik był kierunkowy, więc nie słyszała odpowiedzi.

- „Jebel” leci do Smoczego Języka w pierwszym cyklu.

Padło jakieś pytanie lub sprzeciw.

- Leci do Języka i jest dobrze.

Pokiwał głową, wyszeptał coś niezrozumiałego, po czym rzekł:

- Umarło - i rozłączył się. - Dobrze. Tarik poleci „Jebel” do Kwatery.

Zdumienie zastąpiło niedowierzanie. Takie niedowierzanie odczułaby już wcześniej, gdy tak łatwo zgodził się na jej plan rozbicia obrony Najeźdźców, ale Babel-17 wykluczał takie uczucie.

- Cóż, dziękuję - zaczęła - ale nawet mnie nie zapytałeś... - I doszła do wniosku, że spróbuje to ująć jakoś inaczej.

Rzeźnik zwinął dłoń w pięść.

- Wie, jakie statki mają być zniszczone, i są. - Walnął pięścią w pierś. - Poleci do Smoczego

Języka. Aż do Smoczego Języka. - Znów uderzył się pięścią.

Chciała zadać pytanie, ale spojrzała na martwy płód pływając w ciemnej cieczy za nim i powiedziała:

- Dziękuję, Rzeźniku.

Gdy przechodziła przez drzwi, rozmyślała nad tym, co jej powiedział, próbując jakoś wyjaśnić jego działania. Nawet jego niezgrabny sposób wyrażania się...

Jego słowa!

Uderzyło ją to od razu i pobięła korytarzem.

3.

Mosiądzu, on nie zna pojęcia „ja”!

Pochyliła się nad stołem, czując, jak ciekawość wypiera podniecenie.

Pilot zanurzył kły w pucharze biesiadnym. Drewniane stoły we wspólnej sali przygotowywano do wieczornego posiłku.

- Ja, mnie, moje, mój. Tego też nie potrafi powiedzieć. Ani pomyśleć. Zastanawiam się, skąd on jest, u licha.

- Znasz jakiś język, w którym nie ma słowa „ja”?

- Znam kilka, gdzie nie jest za często używane, ale żadnego, w którym nie występowałaby sama idea, choćby nawet tylko jako końcówka czasownika.

- I co to oznacza?

- Dziwny człowiek o dziwnym sposobie myślenia. Nie wiem dlaczego, ale sprzymierzył się ze mną, jakby był na tym statku moim sojusznikiem, pośrednikiem między mną a Tankiem. Chciałabym to zrozumieć, ale nie chcę go urazić.

Rozejrzała się po wspólnej sali, w której toczyły się pełną parą przygotowania. Dziewczyna, która przyniosła im kurczaki, patrzyła teraz na nią, zadumana i wystraszona, ale strach powoli zmieniał się w ciekawość; podeszła dwa stoliki bliżej, a wtedy ciekawość rozpląnęła się w obojętności i dziewczyna ruszyła w stronę ściany, by wyjąć łyżki z szuflady w ścianie.

Rydra zastanawiała się, co by się stało, gdyby przetłumaczyła swoje postrzeżenie ruchów ludzi i tików nerwowych na Babel-17. Teraz rozumiała już, że nie jest to tylko język, ale elastyczna macierz możliwości analitycznych, gdzie to samo „słowo” definiuje naciski w splotach bandaży i formację obronną okrętów bojowych. Co by się stało, gdyby zastosować go do opisu naprężeń i rozluźnień ludzkiej twarzy? Może mrugnięcie powiek i drgnięcie palców stałoby się matematyką, pozbawioną znaczenia. Czy może... Gdy tak rozmyślała, jej umysł przestawił się na niezwykłą zwięzłość Babel-17. Rozejrzała się dookoła: głosy.

Rozszerzając i definiując jeden przez drugi, nie same głosy, ale umysły, które je generowały, splatając jeden z drugim, teraz wiedziała, że mężczyzna, który właśnie wkroczył do hallu, jest pogrążonym w żałobie bratem Racycy, a dziewczyna, która ich obsługiwała, jest zakochana w młodym zmarłym z sektora bezcielesnych, on zaś łaskocze ją w jej snach, wzbudzając niesprecyzowany głód; widziała brzuchatą bestię z zębami w jednym człowieku, spokojne jezioro w drugim i - w tej chwili - znajome młodzieńcze zamieszanie, gdy wkroczył pluton „Rimbauda”, rozdając sobie kuksańce, prowadzony przez bardzo zatroskanego Ślimaka, a dalej, pośród żywiołowości, głodu i miłości, strach! Rozbrzmiewał gongiem w hallu, wcinał się czerwonymi błyskami w przyływ barwy indygo, a ona szukała Tarika i Rzeźnika, bo to ich imiona były w tym strachu, ale nie znalazła żadnego z nich w pomieszczeniu; był za to chudy facet nazwiskiem Geoffry Cord, w którego mózgu skrzyżowane druty strzelały iskrami i trzeszczały Zadać śmierć nożem ukrytym w nogawce oraz Moim stalowym językiem wyrąbię sobie drogę na bocianie gniazdo na „Jebel”, a umysły dookoła niego szukały po omacku, umierały z głodu, mamrotały o humorze i przykrościach, kochając trochę i usiłując znaleźć coś więcej, wszystkie zakreskowane oczekiwaniem na zbliżający się posiłek, a niektóre wyczekujące, jakie też ciekawe przedstawienie zaproponuje im dziś sprytny Klik, umysły aktorów pantomimy były skoncentrowane na przedstawieniu, ale wyszukiwali w tłumie ludzi, z którymi wcześniej pracowali i spali, jeden starszy nawigator z kwadratową głową podbiegł, by dać dziewczynie, która w sztuce miała grać zakochaną, srebrną

sprzączkę, którą sam zrobił i ozdobił napisem, by przekonać się, czy będzie odgrywała miłość dla niego, ale przez cały czas jej umysł powracał do alarmującego Geoffry'ego Corda. Muszę to zrobić dziś wieczorem, gdy zbiorą się aktorzy, lecz nie była w stanie skupić się na niczym poza tą nagłą sytuacją, patrzyła, jak się wije i miota w swoich knowaniach, by podbiec, gdy zacznie się pantomima, jakby po prostu chciał lepiej widzieć, prześlizgnąć się za stołem, przy którym miał zasiąść Tarik, a następnie zatopić ostrze pod jego żebrami węzowym ciosem, żłobkowany metal pokryty paralizująca trucizną, a potem schrupać wydrażony ząb, wypełniony hipnotycznym narkotykiem, więc kiedy go pojma, pomyśla, że działał pod czyimś wpływem, a on opowie jakąś szaloną historię, zaszczerpioną na hipnotycznym poziomie świadomości przez wiele bolesnych godzin spędzonych w osobofiksie; powie, że działał zmuszony przez Rzeźnika, a potem zaaranżuje wszystko tak, by zostać z Rzeźnikiem sam na sam i ugryzie go w rękę lub w nogę, wstrzykując mu ten sam narkotyk, którym zatrul siebie, a olbrzymi skazaniec stanie się bezbronny i on będzie mógł nad nim

*Świadomość ta błyskawicznie zasłoniła
wszystko inne, ale potem znów przybrała
właściwe rozmiary, gdyż ona wiedziała, że
nie może pozwolić Cordowi, by
uniemożliwił jej dotarcie do Kwatery
Sojuszu, więc wstała i podeszła do sceny, a
idąc, wyciągnęła z umysłu Corda
śmiertelne ostrze, idealnie dopasowane do
pęknięć w Geoffrym Cordzie.*

panować, a kiedy Rzeźnik ostatecznie zostanie panem „Jebel” po zamordowaniu Tarika, Geoffry Cord będzie porucznikiem Rzeźnika, tak jak Rzeźnik był porucznikiem Tarika, a „Jebel Tarik” stanie się „Jebel Rzeźnik”, Geoffry będzie sterować Rzeźnikiem tak samo, jak pewnie Rzeźnik steruje Tarikiem, i zapanują rządy silnej ręki, a wszyscy obcy zostaną zrzuceni z góry, wyrzuceni w próżnię, a oni zaatakują wszystkie statki w Rozpadlinie, Najeźdźców, Sojusz, statki cienie, a Rydra oddarła swój umysł od jego umysłu, prześlizgnęła się

*Jej strach wyrwał ją z potężnego obrazu
statku, i wyczuwała jego schizmatyczne
zakresy, i przetrwała to, i odkryła, że jego
strach jest porowaty, porowaty jak gąbka*

szybko po powierzchni umysłu Tarika i Rzeźnika, i nie dostrzegła żadnej hipnozy, ale także zauważyła, że nic nie wiedzą o zdradzie i jej własnym opóźnionym strachu, uwalniając ją od tego, co czuła, od osuwania się i pluskania w podwojonych i przepołowionych głosach i nie-tak, mogła, nawet gdy kroczyła, wybierając słowa i obrazy, które miały dać jej pęd i pchnąć ją w jego stronę, w stronę jego zdrady, i nie-tak, nagle poraził ją jego strach i rykoszet, cofnęła się do pojedynczego wiersza, który przebijał poprzez percepcję i działanie, mowę i komunikację, nie-tak, teraz stały się jednym, wybierając dźwięki, które miały kusić z celowością wydłużonego czasu, i dotarła do podium przed potężną bestią, Klikiem, i wspięła się na nie, wsłuchując się w głosy, które śpiewały w panującej w hallu ciszy, i rzuciła słowa z procy swego wibrującego głosu, aby zawisły poza nią, a ona patrzyła na nich i patrzyła, jak on patrzy: rytm, który dla większości zebranych w hallu był niedostrzegalny, dla niego był bolesny gdyż był zsynchronizowany z procesami jego

Dobra, Cord, aby zostać panem tych czarnych koszar, należących do Tarika, musiałbyś mieć coś więcej niż pieśń szakala, albo brzuch pełen morderstwa czy kolana z galarety. Otwórz usta i ręce. Aby zrozumieć potęgę, użyj, proszę, swego sprytu. Ambicja jak płynny rubin płami ci mózg zrodzona z chęci zabijania. Kołyszysz się pod łukiem śmierci, mówisz, żeś ofiara, za każdym razem, gdy napełniasz puchar z czaszki morderstwem. To ona kieruje ruchami twoich palców w stronę ostrza, od dawna skrytego w skórzanym pochwie, by wybrać plan, zrodzony z twoich blednących palców; byłeś bezpieczny w zaginionych światach zadziwienia, pod gwałtownym sykiem osobofiksu, zapisując fałszywe wspomnienia, by paplały gdy rozlegnie się grzmot zmiany Tarika. Wbijasz szpilki w brzośkwinię, wtykasz swoje dziwne ostrze z nacinanymi zębami, a długie i silne wiersze moich znaczeń zmuszają cię, byś zmienił zdanie z błyszczącego na ciemne. Teraz słyszysz pieśń jak przetarty kord, a ona rozkazuje ci: wystap, zabójco.

ciała,
by
uderzyć
w
niego
i
wstrząsnąć
nim...
i
była
zaskoczona,
że
opierał
się
tak
długo.

Spojrzała prosto na Geoffry'ego Corda. Cord spojrzał prosto na nią i wrzasnął.

Pod wpływem krzyku coś pękło. Przedtem myślała w Babel-17 i wybierała w nim angielskie słowa. Teraz znów myślała po angielsku.

Geoffry Cord gwałtownie rzucił głowę na boki, jego czarne włosy podrygiwały, przewrócił stół i biegł, oszalały, w jej stronę. Zatruty nóż, który dotąd widziała tylko w myślach, tkwił w jego dłoni, wycelowany w jej brzuch.

Odskoczyła, próbowała kopnąć go w nadgarstek, gdy wskakiwał na podest, ale trafiła w twarz. Upadł na plecy i potoczył się po podłodze.

Złoto, srebro, bursztyn. Mosiądz nadbiegał z boku. Srebrnowłosy Tarik nadchodził z drugiej strony, jego płaszcz wydał się. A Rzeźnik był już przy niej, między nią a Cordem, który usiłował wstać.

- Co to znaczy? - spytał Tarik.

Cord klęczał na jednym kolanie, z nożem nadal uniesionym. Wodził czarnym oczami od wylotu lufy wibropistoletu do wylotu lufy wibropistoletu, potem spojrzał na obnażone kły Mosiądza. Zastygł.

- Nie lubię, jak ktoś atakuje moich gości.

- Ten nóż był przeznaczony dla ciebie, Tarik - wydyszała. - Sprawdź zapisy w osobofiksie „Jebel”. Miał zamiar cię zabić, a potem podporządkować hipnotycznie Rzeźnika i przejąć „Jebel”.

- Och - odparł Tarik. - Więc to tak. - Zwrócił się do Rzeźnika. - Najwyższy czas był, prawda? Co pół roku się jakiś pojawia. Jestem pani bardzo wdzięczny, pani kapitan.

Rzeźnik podszedł i wyjął nóż z dłoni Corda, który wyglądał, jakby jego ciało zastygło, a oczy nadal tańczyły. Jedynym odgłosem przerywającym ciszę był jego oddech. Rzeźnik trzymał nóż tuż przy ostrzu i uważnie go oglądał. Samo ostrze w tych ciężkich dłoniach wyglądało jak zdobiona stal. Dwudziestocentymetrowa kościana rękojeść była żłobiona i barwiona sokiem z orzechów.

Rzeźnik złapał Corda drugą ręką za czarne włosy, po czym, niezbyt szybko, wepchnął rękojeść noża w jego prawe oko aż po ostrze.

Krzyk przeszedł w bulgot. Młójące powietrze ręce, które próbowały dosięgnąć ramion Rzeźnika, opadły. Siedzący najbliżej wstali.

Serce Rydry uderzyło dwukrotnie tak mocno, że o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

- Ale nawet nie sprawdziłeś... A gdybym się myliła... Może chodziło o coś więcej...

Jej język wił się w bezsensownym sprzeciwie, miała wrażenie, że jej serce przestaje bić.

Rzeźnik, z obiema rękami we krwi, obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

- Rzucił się z nożem na „Jebel”, na Tarika i damę. Umrze. Prawą pięścią bezgłośnie tarł o wnętrze lewej dłoni, pokryte czerwonym smarem.

- Panno Wong - odezwał się Tarik - to, co zobaczyłem, pozwoliło mi bez większych wątpliwości wnioskować, że Cord był niebezpieczny. Przydała się nam pani. Jestem wysoce zobowiązany. Mam nadzieję, że podróż do Smoczego Języka przebiegnie pomyślnie. Rzeźnik właśnie poinformował mnie, że życzy sobie pani, by tam się udać.

- Dziękuję, ale... - Jej serce znów biło mocno. Usiłowała sformułować jakieś wyrażenie, które można by zawiesić na tym „ale”; tkwiło niezdecydowane w jej ustach. Poczowała mdłości, rzuciła się do przodu, na wpół ślepa. Rzeźnik chwycił ją zakrwawionymi rękami.

Znów okrągłe, ciepłe, błękitne pomieszczenie. Była tu sama i przynajmniej mogła myśleć o tym, co się stało we wspólnej sali. Było to coś zupełnie innego niż to, co wielokrotnie próbowała opisać Mocky'emu; coś, przy czym Mocky tak się upierał: telepatia. Najwyraźniej jednak telepatia stanowiła połączenie starej umiejętności z nowym sposobem myślenia. Była bramą do światów postrzegania, działania. Dlaczego więc Rydra miała wrażenie, że jest chora? Przypomniała sobie, jak czas zwalniał, gdy pracowała w Babel-17; jak przyspieszały jej procesy myślowe. Jeśli jej funkcje fizjologiczne również ulegały przyspieszeniu, ciało mogło nie wytrzymać takiego obciążenia.

Taśmy znalezione na pokładzie „Rimbauda” dostarczyły jej informacji o miejscu, w którym wydarzy się kolejny akt „sabotażu”: Kwatera Główna Sojuszu. Chciała tam dotrzeć, przekazać im ten język, słownik i gramatykę, i wycofać się. Była nieomal gotowa, by przekazać komuś poszukiwania tajemniczych użytkowników tego języka. Jednak nie, niezupełnie, pozostawało coś jeszcze, coś, co miała usłyszeć, powiedzieć...

Czuła mdłości, spadała, chwyciła zakrwawione palce Rzeźnika, obudziła się, wzdrygając. Bezosobowa brutalność Rzeźnika, linearnie wykuta przez coś, czego Rydra nie знаła, była, co przerażające, nadal ludzka. Nawet z zakrwawionymi dłońmi był bardziej bezpieczny niż precyzja lingwistycznie ulepszonego świata. Co można powiedzieć komuś, kto nie zna pojęcia „ja”? Co on

mógł jej powiedzieć? Okrucieństwo i życzliwość Tarika istniały w wyartykułowanych granicach cywilizacji. Ale to krwawe bestialstwo - fascynowało ją!

4.

Wstała z hamaka, tym razem rozpinając bandaż. Czowała się lepiej już od godziny, ale wolała leżeć i rozmyślać. Rampa otworzyła się i opadła do jej stóp.

Ściana izby chorych zestaliła się za nią; Rydra zatrzymała się w korytarzu. Powietrze pulsowało jak oddech. Półprzejryste spodnie ocierały o górne części jej nagich stóp. Dekolt czarnej jedwabnej bluzki opadał jej luźno na ramiona.

Odpoczywała tak długo, że na pokładzie „Jebel” od dawna panowała pora nocna. W okresie wzmożonej aktywności załoga sypiała krótko, ale kiedy po prostu przemieszczali się z miejsca na miejsce, w niektórych porach spali prawie wszyscy.

Zamiast udać się w stronę wspólnej sali, Rydra skręciła w jakiś nieznaną jej pochyły tunel. Z podłogi sączyło się białe światło, które po jakichś piętnastu metrach przybierało bursztynową barwę, a następnie przechodziło w pomarańcz - zatrzymała się i spojrzała na swoje dłonie w pomarańczowym świetle - a po kolejnych dziesięciu metrach świeciło na czerwono. A dalej: błękit.

Wokół niej otworzyła się przestrzeń, ściany cofnęły się, a sufit uniósł tak wysoko w ciemność, że stał się niewidoczny. Powietrze mrugało i połyskiwało od iluzji, jakie powstawały pod powiekami wskutek zmian w kolorze. Bezcielesna mgiełka, nieprzywykły wzrok: musiała się obrócić, żeby się zorientować, gdzie jest.

Na tle czerwonego wejścia do sali widać było sylwetkę mężczyzny.

- Rzeźnik?

Podszedł do niej. W błękitnym świetle nie było widać jego rysów, gdy się zbliżał. Zatrzymał się i skinął głową.

- Pomyślałam, że skoro czuję się lepiej, to trochę się przejdę - wyjaśniła. - Co to za część statku?

- Kwatera bezcielesnych.

- Mogłam się domyślić. - Zbliżyli się jeszcze o krok. - Ty też sobie spacerujesz?

Potrząsnął ciężką głową.

- Obcy statek przelatuje obok „Jebel” i Tarik chce znać jego wektory czuciowe.

- Statek Sojuszu czy Najeźdźców?

Rzeźnik wzruszył ramionami.

- Wiadomo tylko, że to nie ludzki statek.

Siedem galaktyk, zbadanych dzięki podróżom międzygwiazdowym, zamieszkiwało dziewięć ras. Trzy z nich zjednoczyły się w ramach Sojuszu. Cztery wzięły stronę Najeźdźców. Dwie zachowały neutralność.

Dotarli tak daleko w głąb sektora bezcielesnych, że wszystko wydawało się niematerialne. Ściany były wykonane z błękitnej mgły, bez kątów. Trzeszczące echa energii transferu prezentowały się jako odległe błyskawice, a oczy Rydry były pełne częściowo zapomnianych zjaw, które zawsze przechodziły chwilę wcześniej, a mimo to nigdy nie były obecne w teraźniejszości.

- Jak daleko idziemy? - spytała, uznawszy, że trochę się z nim przejdzie, a idąc rozmyślała: skoro nie zna pojęcia „ja”, czy zrozumie koncepcję „my”?

Zrozumiał lub nie, ale odpowiedział:

- Niedaleko. - Potem spojrzał głęboko w jej oczy z ciemnymi, ciężkimi tęczęwkami i spytał: - Po co?

Ton jego głosu brzmiał tak odmiennie, że wiedziała od razu: nie odnosił się do niczego, o czym

rozmawiali przez ostatnich kilka minut. Szukała w pamięci, co takiego mogła zrobić, że wprawilo go to w taką konsternację.

- Po co? - powtórzył.

- Co po co, Rzeźniku?

- Po co ratować Tarika przed Cordem?

W tym pytaniu nie było zarzutu, jedynie etyczna ciekawość.

- Bo go lubię, bo jest mi potrzebny, żeby się dostać do Kwatery Głównej, bo czułabym się dziwnie, gdybym... - zamilkła. - Czy ty wiesz, czym jest „ja”?

Potrząsnął głową.

- Rzeźniku, skąd pochodzisz? Na jakiej planecie się urodziłeś?

Wzruszył ramionami.

- Głowa - powiedział po chwili. - Mówili, że coś nie tak z mózgiem.

- Kto?

- Doktorzy.

Błękitna mgła przepłynęła między nimi.

- Doktorzy na Titinie? - zaryzykowała.

Rzeźnik skinął głową.

- W takim razie dlaczego wsadzili cię do więzienia, a nie do szpitala?

- Mówili, że mózg nie szalony. Ta ręka - uniósł lewą dłoń - zabiła czterech ludzi w trzy dni. Ta ręka - podniósł drugą - zabiła siedmiu. Wysadziła cztery budynki termitem. Ta noga - poklepał się po lewym udzie - kopnęła w głowę strażnika Telechron Banku. Tam jest dużo pieniędzy, za dużo, żeby unieść. Unieść można ze cztery tysiące kredytów. Więcej nie.

- Obrabowałeś Telechron Bank na cztery tysiące kredytów!

- Trzy dni, jedenastu ludzi, cztery budynki, a wszystko za cztery tysiące kredytów. Ale Titin... - skrzywił się. - Tam nie zabawnie.

- Tak przypuszczam. Jak długo trwało, zanim cię złapali?

- Sześć miesięcy.

Rydra zagwizdała.

- Czapki z głów! Potrafiłeś się tak długo ukrywać po napadzie na bank? I znasz się na biotyce na tyle, że umiesz wykonać trudne cesarskie cięcie i utrzymać płód przy życiu. W tej głowie coś jest.

- Doktorzy mówią mózg niegłupi.

- Posłuchaj, to ty i ja sobie pogadamy. Ale najpierw muszę cię - przerwała - muszę mózg czegoś nauczyć.

- Czego?

- Tego, co to jest „ty” i „ja”. Pewnie słyszałeś te słowa setki razy. Nie zastanawiałeś się nigdy, co one znaczą?

- Po co? Większość rzeczy ma sens bez nich.

- Hej, a umiesz mówić w języku, w którym się wychowałeś?

- Nie.

- Dlaczego? Chciałam sprawdzić, czy choć trochę go znam.

- Lekarze mówią z mózgiem coś nie w porządku.

- Dobrze. A mówią, co nie w porządku?

- Afazja, aleksja, amnezja.

- To miałeś nieźle namieszane. - Zmarszczyła czoło. - Czy to się stało przed napadem na bank, czy po?

- Przed.

Spróbowała uporządkować sobie to, czego się dowiedziała.

- Stało się coś, co pozbawiło cię pamięci i umiejętności mówienia czy czytania, więc pierwszą rzeczą, jaką zrobiłeś, było obrabowanie Telechron Banku. Gdzie był ten bank?

- Na Rhei IV.

- Ach, taki mały. Tak czy inaczej, udało ci się pozostać na wolności przez sześć miesięcy. A wiesz cokolwiek na temat tego, co się stało, zanim straciłeś pamięć?

Rzeźnik wzruszył ramionami.

- Pewnie sprawdzili wszelkie opcje, w tym tę, czy pod wpływem hipnozy nie pracowałeś dla kogoś innego. Nie wiesz, jakim językiem mówiłeś, zanim straciłeś pamięć? Cóż, twoje obecne wzorce mowy muszą jakoś opierać się na twoim dawnym języku, w przeciwnym razie nauczyłbyś się, co to jest „ty” i „ja”, ucząc się nowych słów.

- Dlaczego te słowa muszą coś znaczyć?

- Bo właśnie zadałeś pytanie, na które nie będę mogła odpowiedzieć, dopóki ich nie zrozumiesz.

- Nie. - Na jego twarzy pojawił się niepokój. - Nie. Jest odpowiedź. Słowa odpowiedzi muszą być prostsze i tyle.

- Rzeźniku, istnieją pewne pojęcia i słowa na ich określenie. Jeśli ty nie będziesz znać słów, to nie będziesz znać pojęć. A jeśli ty nie będziesz znać pojęcia, nie dostaniesz odpowiedzi.

- Ty i ty, wszystko jasne, a „ty” nic nie znaczy.

Westchnęła.

- To dlatego, że użyłam tego słowa fatycznie, rytualnie, nie miało dosłownego znaczenia... to taka figura retoryczna. Posłuchaj, zadałam ci pytanie, na które nie potrafisz odpowiedzieć.

Rzeźnik zmarszczył czoło.

- Musisz wiedzieć, co one oznaczają, żeby zrozumieć, co powiedziałam. Najlepszą metodą uczenia się języka jest przysłuchiwanie się. Kiedy ty - wskazała na niego - powiedziałeś mnie - wskazała na siebie: - „Wie, jakie statki mają być zniszczone, i są. Poleci do Smoczego Języka. Aż do Smoczego Języka”, dwa razy uderzyłeś się pięścią w pierś. - Dotknęła jego lewej dłoni, a następnie ujęła ją i położyła mu na piersi. Jego skóra w jej dłoni była chłodna i gładka. - Pięść próbowała coś powiedzieć. A gdybyś użył pierwszej osoby, nie musiałbyś użyć pięści. Chciałeś powiedzieć: „Wiem, jakie statki mają być zniszczone, i są. Polecę do Smoczego Języka. Aż do Smoczego Języka.”

Rzeźnik zmarszczył czoło.

- Tak, pięść coś mówi.

- Rozumiesz? Czasem chcesz coś powiedzieć i brakuje ci jakiegoś pojęcia. Brakuje też słowa, żeby poznać to pojęcie. Na początku było słowo. Właśnie tak ktoś próbował to kiedyś wyjaśnić. Dopóki coś nie zostanie nazwane, nie istnieje. I jest to coś, czego istnienia mózg potrzebuje, inaczej nie musiałbyś się walić pięścią w pierś albo w dłoń. Mózg chce, żeby to istniało. Nauczę cię tego.

Grymas stał się jeszcze głębszy.

Otoczająca ich mgła odpłynęła. W upstrzonej gwiazdami przestrzeni dryfowało coś lekkiego i migoczącego. Doszli do bulaja czuciowego, ale nadawał na częstotliwościach zbliżonych do światła widzialnego.

- Tam - powiedział Rzeźnik. - Tam obcy statek.

- Z Çiribii IV - rzekła Rydra. - Sprzyjają Sojuszowi.

Rzeźnik był zaskoczony, że go rozpoznała.

- Bardzo dziwny statek.

- Rzeczywiście wygląda śmiesznie, prawda?

- Tarik nie wiedział skąd. - Potrząsnął głową.

- Nie widziałam takiego, odkąd byłam dzieckiem. Musieliśmy zabawiać delegatów z Çiribii przybywających do Trybunału Planet Zewnętrznych. Moja matka była tam tłumaczem. - Oparła się o poręcz i spojrzała na statek. - Nigdy bym nie przypuszczała, że coś tak delikatnego i rozdygotanego może latać albo dokonywać skoków w stazę. A przecież to robi.

- Oni znają „ja”?

- Tak, nawet trzy formy: „ja-poniżej-temperatury-sześciustopni-Celsjusza”, „ja-w-temperaturze-od-sześciu-do-dziewięćdziesięciu-trzech-stopni-Celsjusza” i „ja-w-temperaturze-powyżej-dziewięćdziesięciu-trzech-stopni-Celsjusza”.

Rzeźnik wyglądał na zdezorientowanego.

- To jest związane z ich procesem rozrodu - wyjaśniła Rydra. - W temperaturze poniżej sześciu stopni są bezpłodni. Do zapłodnienia może dojść tylko w temperaturze od sześciu do dziewięćdziesięciu trzech stopni Celsjusza, ale poród może nastąpić tylko w temperaturze powyżej dziewięćdziesięciu trzech stopni Celsjusza.

Çiribiański statek płynął po ekranie jak kulka z pierza.

- Może powinnam wyjaśnić to tak: mamy pięć przemierzających galaktyki ras, z których każda jest tak często spotykana jak nasza, każda równie rozwinięta pod względem technicznym, każda ma równie skomplikowaną gospodarkę; siedem z nich toczy tę samą wojnę co my, a mimo to trudno nam spotkać ich przedstawicieli; trafiamy na siebie tak rzadko, że nawet tak doświadczony podróżnik kosmiczny jak Tarik ma problem z rozpoznaniem ich statku, kiedy na niego trafia. Zastanawiałeś się kiedyś dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo wskaźniki zgodności w komunikacji są niewiarygodnie niskie. Weźmy na przykład Çiribian, którzy mają wiedzę na tyle szeroką, że żeglują od gwiazdy do gwiazdy swoimi statkami przypominającymi jajko w koszulce z trzema żółtkami: nie mają słowa oznaczającego „dom” ani „mieszkanie”. „Musimy chronić nasze domy i nasze rodziny”: kiedy przygotowaliśmy traktat między Çiribianami a nami przed Trybunałem Planet Zewnętrznych, przetłumaczenie tego zdania na çiribiański trwało czterdzieści pięć minut. Ich cała kultura opiera się na ciepłe i zmianach temperatur. Mamy szczęście, że wiedzą, co to jest „rodzina”, bo są jedyną rasą poza ludźmi, która zna to pojęcie. W przypadku słowa „dom” skończyło się na opisie: „wydzielone miejsce zapewniające różnicę temperatur w stosunku do środowiska zewnętrznego, rzędu tyłu i tyłu stopni, w celu utrzymania temperatury komfortu dla istot stałocieplnych o temperaturze ciała trzydzieści sześć przecinek sześć; to wydzielone miejsce ponadto jest w stanie obniżyć temperaturę podczas pory ciepłej i podnieść ją w czasie pory zimnej; zapewnia także możliwość składowania materii organicznej, która wymaga przechowywania w chłodnym miejscu, jak również podgrzewania tej materii powyżej temperatury wrzenia w celu zaspokojenia zmysłu smaku rdzennych mieszkańców, którzy z powodu zwyczajów pielęgnowanych od milionów lat stale dążyli do stworzenia takiego urządzenia do zmieniania temperatury...”, i tak dalej, i tym podobne. I na końcu mieli jakieś pojęcie, co to jest dom i dlaczego należy go chronić. Gdyby zaś pokazać im schemat systemu klimatyzacyjnego i centralnego ogrzewania, sprawy szybko ruszyłyby z miejsca. Wyobraź sobie, że jest tam wielka instalacja do przetwarzania energii słonecznej, która zaopatruje Trybunał w energię elektryczną. Komponenty służące do wzmacniania i redukcji ciepła zajmują powierzchnię większą niż „Jebel”. Jeden Çiribianin może obejrzeć szybko tę instalację i opisać ją innemu Çiribianinowi, który nigdy jej nie widział, tak że ten drugi zbuduje idealną kopię, identyczną nawet pod względem koloru, na jaki pomalowano ściany - i coś takiego w rzeczywistości się wydarzyło, bo myśleli, że zrobiliśmy coś

pomysłowego z jednym z obwodów i chcieli sami to wypróbować - wszystko, gdzie jest umieszczony każdy element, jakich jest rozmiarów, krótko mówiąc, pełen opis instalacji w dziewięciu słowach. Dziewięciu krótkich słowach.

Rzeźnik potrząsnął głową.

- Nie. System przetwarzania energii jest zbyt skomplikowany. Te ręce taki rozmontowały, całkiem niedawno. Za duży. Nie...

- Tak, Rzeźniku, w dziewięciu słowach. W angielskim wymagałoby to kilku tomów wypełnionych schematami, projektami elektrycznymi i architektonicznymi. Oni mają na to dziewięć właściwych słów. My nie.

- Niemożliwe.

- To też. - Wskazała çiribiański statek. - A jednak jest tu i leci. - Patrzyła, jak mózg, tak inteligentny, choć uszkodzony, pracuje. - Znając właściwe słowa, możesz zaoszczędzić mnóstwo czasu i ułatwić sobie życie.

- Co to jest „ja”? - spytał po chwili.

Uśmiechnęła się.

- Przede wszystkim to coś bardzo ważnego. O wiele ważniejszego niż wszystko inne. Mózg może pozwolić różnym rzeczom zejść na psy, jeśli tylko „ja” pozostanie przy życiu. A dzieje się tak dlatego, że mózg jest częścią „ja”. Posłuchaj. Książka jest, statek jest, Tarik jest, kosmos jest, ale, jak pewnie już zauważyłeś, ja jestem.

Rzeźnik skinął głową.

- Tak. Ale co ja jestem?

Bulaj zasnęła mgłą, przysłaniając gwiazdy i çiribiański statek.

- Na to pytanie tylko ty możesz odpowiedzieć.

- Ty też ważne - zastanawiał się - bo mózg posłuchał, że tak jest.

- Doskonale!

Nagle położył jej rękę na policzku. Kogucia ostroga dotknęła lekko jej dolnej wargi.

- Ty i ja - powiedział. Przysunął twarz bliżej jej twarzy. - Nikogo innego tu nie ma. Ale kto jest kto?

Skinęła głową; jej policzek przesunął się pod jego palcami.

- Zaczynasz rozumieć. - Miał chłodną pierś, lecz ciepłą dłoń. Położyła na niej swoją. - Czasem mnie przerażasz.

- Ja i mnie - powiedział Rzeźnik. - To różnica gramatyczna, tak? Mózg to już wymyślił. Dlaczego czasem cię przerażasz?

- Przerażam. Poprawka gramatyczna. Przerażasz mnie, bo obrabowujesz banki i wbijasz ludziom noże w gałkę oczną, Rzeźniku.

- Tak? - Nie był już zdziwiony. - Tak, tak, prawda. Zapomniałaś.

- Nie zapomniałam - odparła Rydra.

- Dlaczego to przeraża ja?... Poprawka, mnie. To też słyszał.

- Bo jest to coś, czego nigdy nie robiłam, nigdy nie chciałam robić, nigdy nie mogłam robić. I lubię cię, lubię, jak trzymasz rękę na moim policzku, więc gdybyś nagle uznał, że chcesz wetknąć rękojęć noża do oka mnie, to...

- Och. Ty nigdy by nie włożył noża do mojego oka - rzekł Rzeźnik. - Nie musisz się martwić.

- Mógłbyś zmienić zdanie.

- Nie mógłbyś. - Spojrzał na nią uważnie.

- Nie sądzę, żebyś rzeczywiście chciał mnie zabić. Ty o tym wiesz. Ja o tym wiem. To coś

innego. A może ci opowiem o czymś innym, co mnie kiedyś przeraziło? Może dostrzeżesz jakąś prawidłowość i zrozumiesz. Mózg nie jest głupi.

Jego ręka przesunęła się do jej szyi i w zdumionych oczach pojawiła się troska. Widziała już taki wyraz jego oczu: kiedy w sali biologicznej odwrócił się od martwego płodu.

- Kiedyś - zaczęła wolno - był sobie ptak.

- Ptak przeraża mnie?

- Nie. Ale ten przeraził. Byłam wtedy dzieckiem. Nie pamiętasz, jak byłeś dzieckiem, prawda?

Dla większości ludzi to, jak wyglądało ich dzieciństwo, w dużym stopniu decyduje o tym, czym są teraz.

- I czym ja jest teraz?

- Tak, ja też. Mój lekarz zdobył skądś ptaka, który miał być prezentem dla mnie. To był gwarek, ptak, który mówi. Ale nie wie, co mówi. Tylko powtarza jak magnetofon. Ale ja o tym nie wiedziałam. Przeważnie wiem, co ludzie próbują mi powiedzieć, Rzeźniku. Przedtem tego nie rozumiałam, ale tu, na „Jebel”, uświadomiłam sobie, że to jednak telepatia. Tak czy inaczej, gwarka uczono mowy, karmiąc go dżdżownicami, kiedy powiedział to, co miał powiedzieć. Wiesz, jak duża może być dżdżownica?

- Taka?

- Tak. Niektóre są nawet o parę centymetrów dłuższe. A gwarek ma jakieś dwadzieścia albo dwadzieścia parę centymetrów długości. Inaczej mówiąc, długość dżdżownicy może wynosić jakieś pięć szóstych długości gwarka, i to jest istotne. Ptaka nauczono mówić „Dzień dobry, Rydro, ładna dziś pogoda, bardzo się cieszę”. Tylko że w umyśle ptaka była to kombinacja wrażeń wzrokowych i węchowych, które można z grubsza przetłumaczyć jako „Zaraz dostanę następną dżdżownicę”. Kiedy więc poszłam do szklarni i przywitałam się z nim, a on odpowiedział: „Dzień dobry, Rydro, ładna dziś pogoda, bardzo się cieszę”, od razu wiedziałam, że kłamie. Chodziło o następną dżdżownicę, którą widziałam i czułam, która była gruba, jej długość wynosiła pięć szóstych mojego wzrostu. I ja miałam ją zjeść. Wpadłam w histerię. Nie powiedziałam mojemu lekarzowi, co się stało, bo dopiero teraz to rozumiałam. Ale nadal dostaję dreszczy, gdy sobie to przypominę.

Rzeźnik skinął głową.

- Kiedy odleciałeś z Rhei z pieniędzmi, ukryłeś się w lodowej jaskini na Dis. Atakowały cię robale, takie czterometrowe. Wypalały skałę kwaśnym śluzem, który wydzielają. Bałeś się, ale pozabijałeś je. Zrobiłeś prowizoryczną sieć i podłączyłeś ją do źródła zasilania skoko-sań. Pozabijałeś je, a kiedy zrozumiałeś, że możesz je pokonać, przestałeś się bać. Nie zjadłeś ich, bo się bałeś, że z powodu kwasu ich mięso może być trujące. Ale nie jadłeś niczego przez trzy dni.

- Nie jadłeś? To znaczy... nie jadłem?

- Nie boisz się tego, czego ja się boję, a ja się nie boję tego co ty. To chyba dobrze, prawda?

- Pewnie tak.

Delikatnie oparł twarz o jej twarz, po czym odsunął się, szukając w jej wzroku odpowiedzi.

- Czego się boisz? - spytała.

Potrząsnął głową, ale nie była to oznaka przeczenia, lecz niepewności. Patrzyła, jak szuka właściwych słów.

- To dziecko, dziecko umarło - rzekł. - Mózg się boi, że ty będzie sam.

- Bardzo się boisz, że zostaniesz sam, Rzeźniku?

Znów potrząsnął głową.

- Samotność nie jest dobra.

Przytaknęła.

- Mózg o tym wie. Długo nie wiedział, ale nauczył się. Ty był samotny na Rhei, samotny, choć miał pieniądze. Samotny na Dis, samotny na Titinie, nawet z innymi więźniami, był najbardziej samotny ze wszystkich. Nikt nie rozumiał ty, kiedy ty do nich mówił. Ty ich naprawdę nie rozumiał. Może dlatego, że oni mówili dużo ty i ja, a teraz ty się dopiero uczysz, jak ważne jest ty i ja.

- Chciałeś sam wychować dziecko, żeby dorosło, mówiąc takim językiem jak ty? Albo przynajmniej mówiło po angielsku tak jak ty?

- Wtedy oboje nie samotni.

- Rozumiem.

- Umarło - powiedział Rzeźnik i odchrząknął. - Ale ty nie jest całkiem sam. Ja uczę ty trochę rozumieć innych. Ty nie jest głupi i szybko się uczysz. - Obrócił się całkiem w jej stronę, oparł jej pięści na ramionach i rzekł ponuro: - Ty lubi ja. Kiedy ja pojawiła się na „Jebel Tarik”, ja lubiła coś w ty. Ja widziała, jak ty robi złe rzeczy, ale ty lubiła ja. Ja powiedziała ty, jak zniszczyć sieć Najeźdźców, i ty ją zniszczył dla ja. Ja powiedziała ty, że ja chciała lecieć na koniec Smoczego Języka, i ty powiedziała, że tam ja zabierze. Ty zrobi wszystko, o co ja poprosi. Ja musi to wiedzieć, to ważne.

- Dziękuję, Rzeźniku - rzekła z zadumą.

- Jeśli ty kiedyś obrabuje bank, da ja wszystkie pieniądze.

Rydra zaśmiała się.

- Dzięki. Nikt nigdy nie chciał niczego takiego dla mnie zrobić. Ale mam nadzieję, że nie będziesz musiał...

- Ty zabije każdego, kto będzie próbował zrobić krzywdę ja, zabije ich o wiele gorzej, niż dotąd ty kogoś zabił.

- Ale nie będziesz musiał...

- Ty zabije wszystkich z „Jebel”, jeśli spróbują rozdzielić ty i ja.

- Och, Rzeźniku. - Odwróciła się i przyłożyła pięść do ust. - Niezłą jestem nauczycielką! Nic nie rozumiesz z tego, co mówię.

- Ja nie rozumie ty, ty myśli. - Zdumiony, cichy głos.

Zwróciła się znów do niego.

- Ale ja rozumiem, Rzeźniku. Rozumiem cię. Proszę, zaufaj mi. Ale uwierz, proszę, jeszcze musisz się czegoś nauczyć.

- Ty ufa ja - rzekł stanowczo.

- Więc posłuchaj. Teraz spotkaliśmy się w połowie drogi. Nie nauczyłam cię, co to jest „ty” i „ja”. Stworzyliśmy własny język i tym językiem mówimy.

- Ale...

- Posłuchaj. Za każdym razem, kiedy w ciągu ostatnich dziesięciu minut użyłeś słowa „ty”, powinieneś być użył słowa „ja”. Za każdym razem, kiedy używałeś słowa „ja”, miałeś na myśli „ty”.

Opuścił wzrok na podłogę, po czym znów spojrział na nią, ale milczał.

- Ja mówię o sobie jako ja, ty mówisz o sobie jako ty - i odwrotnie, rozumiesz?

- To nie są te same słowa na tę samą rzecz? Nie są wymienne?

- Nie, to po prostu... Tak, w pewnym sensie oznaczają to samo. W pewnym sensie są tym samym.

- W takim razie ty i ja jesteśmy tym samym.

Rzykując nieporozumienie, skinęła głową.

- Ja przypuszcza. Ale ty - wskazał na nią - musi nauczyć ja - wskazał na siebie.

- I dlatego właśnie nie możesz tak sobie zabijać ludzi. A przynajmniej powinieneś się dobrze

zastanowić, zanim to zrobisz. Kiedy rozmawiasz z Tarikiem, ja i ty nadal istnieją. Kiedy patrzysz na kogoś na pokładzie tego statku, albo nawet na ekranie, ja i ty nadal tu są.

- Mózg musi o tym pomyśleć.

- Ty musisz o tym pomyśleć i użyć nie tylko mózgu.

- Jeśli ja musi, ja pomyśli. Ale my to jedno, bardziej niż inni. - Znow dotknął jej twarzy. - Bo ty mnie nauczyła. Bo z ja ty nie musi się bać. Ja się uczy i może się mylić z innymi ludźmi, dla ja zabić ty bez poważnego zastanowienia to błąd, tak? Czy teraz ja używa dobrze słów?

Skinęła głową.

- Ja nie robi żadnych błędów z ty. To byłoby straszne. Ja robi jak najmniej błędów. A kiedyś wszystkiego się nauczy. - Uśmiechnął się. - Żeby tylko nikt nie zrobił żadnych błędów z ja. Smutno mi będzie, jak zrobią, bo wtedy ja robi szybko błąd, bez zastanowienia.

- To chyba uczciwe - rzekła Rydra. Objęła jego dłonie. - Cieszę się, że ty i ja jesteśmy razem, Rzeźniku. - Jego dłonie powędrowały wyżej i objęły ją; przytuliła twarz do jego ramienia.

- Ja dziękuje ty - wyszeptał. - Ja dziękuje i dziękuje.

- Jesteś ciepły - wymruczała w jego ramię. - Nie odchodź jeszcze przez chwilę.

Gdy się odsunął, spojrzała na jego twarz w błękitnej mgle i poczuła chłód.

- Rzeźniku, co się stało?

Ujął jej twarz w dłonie i pochylił się, aż bursztynowe włosy dotknęły jej czoła.

- Rzeźniku, pamiętasz, jak ci mówiłam, że wiem, co ludzie myślą? Więc teraz wiem, że coś jest nie tak. Powiedziałeś, że nie muszę się ciebie bać, ale teraz mnie przerażasz.

Uniosła twarz. Miała w oczach łzy.

- Posłuchaj, tak samo jak coś złego we mnie może cię przerażać, ja się boję od dawna, że z tobą jest coś nie tak. Powiedz mi, co to takiego.

- Ja nie może - odparł ochryplym głosem. - Ja nie może powiedzieć tobie.

Natychmiast zrozumiała tylko, że to najstraszniejsza rzecz, jaką potrafił ogarnąć swoją nową wiedzą.

Patrzyła, jak zmagają się ze sobą.

- Może będę mogła ci pomóc. Rzeźniku! Mogę się dostać do twojej głowy i dowiedzieć, o co chodzi.

Cofnął się i potrząsnął głową.

- Ty nie wolno. Nie wolno tego robić. Proszę.

- Rzeźniku, nie zrobię tego. - Była dezorientowana. - W... w t... takim razie nie będę. - Dezorientacja sprawiała jej ból. - N... nie b... będę. - Jej nastoletnie jękanie kłębiło się w jej ustach.

- Ja... - zaczął, oddychając ciężko, ale mówiąc spokojnie. - Ja był samotny i nie był ja przez długi czas. Musi być jeszcze trochę sam.

- R... rozumiem. - Podejrzenie, na początku niewyraźne, takie, z którym łatwo sobie poradzić, załęgło się w jej myślach. Kiedy się cofnął, wypełniło przestrzeń między nimi. Ale to też było czymś ludzkim.

- Rzeźniku, potrafisz czytać w moich myślach?

Wyglądał na zaskoczonego.

- Nie. Nie rozumiem, jak ty czytasz moje.

- Dobrze. Myślałam, że może w mojej głowie jest coś, co odbierasz, a co sprawia, że się mnie boisz.

Potrząsnął głową.

- To dobrze. Do licha, nie chciałabym, żeby ktoś mi grzebał po głowie. Chyba rozumiem.

- Ja powie teraz - rzekł, znów zbliżając się do niej. - Ja i ty to jedno, ale ja i ty bardzo się różnią. Ja widział dużo rzeczy, których ty nigdy nie zobaczy. Ty wie o rzeczach, jakich ja nigdy nie zobaczy. Ty zrobiła, że ja mniej sam. W mózgu jest dużo, w moim mózgu, o bólu, uciekaniu, walce, a nawet, jak byłem na Titinie, o zwycięstwie. Jeśli ty kiedyś jest w niebezpieczeństwie, ale w prawdziwym niebezpieczeństwie, gdzie ktoś może zrobić błąd, ty wejdzie do mózgu i zobaczy, co tam jest. Użyje tego zawsze, kiedy potrzebuje, tylko ja prosi, poczeka, dopóki nie wypróbuję, czy można inaczej.

- Poczekam, Rzeźniku - rzekła.

Wyciągnął rękę.

- Chodź.

Ujęła jego dłoń, starając się nie dotykać koguciej ostrogi.

- Nie musimy oglądać prądów stazy obcego statku, jeśli sprzyja Sojuszowi. Ty i ja zostaną jeszcze chwilę razem.

Ruszyła, trzymając go pod ramię.

- Przyjaciel czy wróg - rzekła, gdy kroczyli w mroku ciężkim od duchów. - Ta cała Inwazja... czasem wydaje mi się tak głupia. Tam, skąd pochodzę, nie pozwalają nawet myśleć w ten sposób. Tu, na „Jebel Tarik”, można jakoś unikać tego pytania. Zazdroszczę ci tego.

- Ty chce lecieć do Kwatery Głównej Sojuszu z powodu Inwazji, tak?

- Tak. Ale jeśli tam polecę, nie zdziewię, jeśli wrócę. - Po kilku krokach uniosła wzrok. - To jest kolejna rzecz, którą chciałabym mieć w głowie. Najeźdźcy zabili moich rodziców, a drugie embargo o mało nie zabiło mnie. Dwóch moich nawigatorów straciło pierwszą żonę z powodu Najeźdźców. A mimo to Ron zastanawiał się nad racją bytu Stoczni Wojennej. Nikt nie jest zachwycony Inwazją, ale przechodzi się nad nią do porządku dziennego. To coś tak wielkiego, że nigdy nie pomyślałam, że dałoby się od tego uciec. Zabawnie się ogląda, jak cały tłum ludzi w jakiś dziwny, zapewne destrukcyjny sposób zajmuje się tylko tym. Może nie powinnam sobie zawracać głowy lataniem do Kwatery Głównej, tylko powiedzieć Tarikowi, żeby zawrócił, i polecieć w najgłębsze otchłanie rozpadliny.

- Najeźdźcy - rzekł Rzeźnik nieomal marzycielsko. - Zrobili krzywdę wielu ludziom, tobie, mnie. Mnie też zrobili krzywdę.

- Tobie?

- Ja mówił, że mózg chory. To oni to zrobili.

- Co ci zrobili?

Rzeźnik wzruszył ramionami.

- Pierwsza rzecz, jaką ja pamięta, to ucieczka z Nueva-nueva Jorku.

- To ten duży terminal w gromadzie Raka?

- Tak.

- Najeźdźcy cię schwytyli?

Skinął głową.

- Coś zrobili. Może eksperyment, może tortura. - Wzruszył ramionami. - Bez znaczenia. Ja nie pamięta. Kiedy ja uciekł, uciekł bez pamięci, bez głosu, bez słów, bez imienia.

- Może byłeś jeńcem wojennym, a może nawet kimś ważnym, zanim cię pojмали... - Pochylił się i dotknął policzkiem jej ust, żeby zamilkła. Kiedy się wyprostował, uśmiechnął się. Zauważyła, że to smutny uśmiech.

- Są różne rzeczy, których mózg może nie wie, ale może zgadnąć: ja zawsze był złodziej, morderca, przestępca. I ja był nie ja. Najeźdźcy mnie złapali. Ja uciekł. Sojusz złapał mnie potem na

Titinie. Ja uciekł...

- Uciekłeś z Titina?!

Skinął głową.

- Pewnie znowu złapią, bo tak to już jest z przestępcami w tym wszechświecie. I może jeszcze raz uciekniesz. - Wzruszył ramionami. - A może nie złapią. - Spojrzał na nią, zaskoczony, ale nie z jej powodu, tylko z powodu czegoś, co odnalazł w sobie. - Ja wcześniej nie był ja, ale teraz ja ma powód, żeby być wolny. Już nie złapią. Jest powód.

- Jaki, Rzeźniku?

- Bo ja jestem - rzekł cicho - i ty jest.

5.

Kończysz swój słownik? - spytał Mosiądz.

- Skończyłam wczoraj. To jest wiersz. - Zamknęła notes. - Niedługo powinniśmy dotrzeć na koniec Smoczego Języka. Rzeźnik powiedział mi dziś rano, że Çiribianie dotrzymują nam towarzystwa od czterech dni. Mosiądzu, masz pomysł, o co może...

W głośnikach rozległ się głos Tarika:

- Przygotować statek do natychmiastowych działań obronnych. Powtarzam, natychmiastowe działania obronne.

- Co się dzieje, u licha? - spytała Rydra. Dookoła nich we wspólnej sali zaczął się ruch. - Łap załogę i zagoń ją do bramy wyrzutowej.

- To tam, skąd wylatują statki 'ająki?

- Tak. - Rydra wstała.

- Zamierzamy się w to 'akować, ani ka'itan?

- Jeśli będziemy musieli - odparł Rydra i ruszyła.

Zjawiała się przy bramie wyrzutowej minutę przed załogą i zastała tam Rzeźnika. Załoga bojowa „Jebel” pędziła korytarzem w kontrolowanym zamieszaniu.

- Co się dzieje? Çiribianie nas zaatakowali?

Potrząsnął głową.

- Najeźdźcy dwanaście stopni od centrum galaktyki.

- Tak blisko Kwatery Sojuszu?

- Tak. I jeśli „Jebel Tarik” nie zaatakuje pierwszy, nie ma szans. Są więksi, a „Jebel” leci prosto na nich.

- Tarik będzie atakował?

- Tak.

- No to jazda, do ataku.

- Ty leci ze mną?

- Nie pamiętasz, że jestem mistrzem strategii?

- „Jebel” w niebezpieczeństwie - rzekł Rzeźnik. - To będzie największa bitwa, jaką dotąd widziała.

- Tym lepiej, będę mogła zaprezentować moje talenty. Czy na twoim statku zmieści się pełna załoga?

- Tak. Ale można użyć danych nawigacyjnych i czuciowych z „Jebel” zdalnie.

- W takim razie i tak zabieramy załogę, na wypadek gdybyśmy w trakcie chcieli zmienić strategię. Tarik leci teraz z tobą?

- Nie.

W korytarzu za rogiem pojawił się Ślimak, za nim Mosiądz, nawigatorzy, niematerialne postaci bezcielesnej trójcy i pluton.

Rzeźnik spojrział na nich i przeniósł wzrok na Rydrę.

- Dobrze. Do środka. Wchodzić!

Pocałowała go w ramię, bo nie mogła sięgnąć policzka; Rzeźnik otworzył włącznik i ponaglił ich gestem.

Allegra stanęła na drabinie i chwyciła Rydrę za rękę.

- Pani kapitan, będziemy tym razem walczyć? - Na jej piegowatej twarzy malowało się podniecenie.

- Najprawdopodobniej tak. Boisz się?

- Taaa... - odparła Allegra, nadal się uśmiechając, i popędziła ciemnym tunelem. Rydra i Rzeźnik szli z tyłu.

- Nie będzie żadnego problemu ze sprzętem, jeśli przełączą się ze zdalnego sterowania na ręczne?

- Statek pająk jest o trzy metry krótszy od „Rimbauda”. W sektorze bezcielesnych jest trochę ciasno, ale wszystko inne jest takie samo.

W głowie Rydry pojawiło się: przerobiliśmy dane czuciowe w trzydziestometrowej pętli z jednym generatorem; to pestka, pani kapitan - po baskijsku.

- Kajuta kapitańska jest inna - dodał. - To tam jest pulpity do sterowania bronią. Możemy zrobić trochę błędów.

- Moralizować będziesz później - rzekła. - A teraz będziemy walczyć jak szaleni za „Jebel Tarik”. Gdyby jednak szalona walka nic nie dała, chcę spróbować się stąd wydostać. Bez względu na to, co się stanie, muszę dolecieć do Kwatery Głównej.

- Tarik chciał się dowiedzieć, czy Çiribianie zamierzają walczyć po naszej stronie. Dalej wiszą na osi T.

- Pewnie będą patrzeć na cały ten cyrk, nie rozumiejąc, co się dzieje, chyba że zostaną bezpośrednio zaatakowani. Jeśli tak się stanie, to sobie poradzą, ale nie przypuszczam, żeby chcieli stanąć w naszej obronie.

- To niedobrze - rzekł Rzeźnik - Potrzebujemy pomocy.

- Warsztat Strategiczny. Warsztat Strategiczny - rozległ się w głośniku głos Tarika. - Powtarzam, Warsztat Strategiczny.

Tam, gdzie w jej kajucie wisiały tabele, na ścianie pojawił się ekran, pomniejszona kopia trzydziestometrowego, który znajdował się w galerii „Jebel”. Tam, gdzie w jej kajucie była konsola, tu widniały urządzenia sterujące wyrzutniami bomb czy wibrobroni.

- Nieokrzesa, niecywilizowana broń - skomentowała, siadając na jednej z zakrzywionych ławek przeciwprzeciążeniowych w miejscu, gdzie w jej kajucie był bąbelkowy fotel. - Ale diabelnie skuteczna, jak przypuszczam, jeśli tylko człowiek wie, co robi.

- Co takiego? - spytał Rzeźnik, przypinając się obok niej.

- To tylko niedokładny cytat ze świętej pamięci Mistrza Broni z Armsedge.

Rzeźnik pokiwał głową.

- Ty dopilnuje załogi. Ja sprawdzę wszystko z listą.

Włączyła interkom.

- Mosiądz, jesteś podpięty?

- Tak.

- Oko, Ucho, Nos?

- Pełno tu kurzu, pani kapitan. Kiedy ostatnio zmiatali na tym cementarzu?

- Kurz mnie nie obchodzi. Wszystko działa?

- Och, wszystko działa doskonale... - Zdanie urwało się, zakończone kichnięciem.

- *Gesundheit*. Ślimaku, co się dzieje?

- Wszystko gra, pani kapitan. - Po chwili doleciało stłumione: - Zostaw te kulki, Lizzy!

- Nawigacja?

- Radzimy sobie. Mollya uczy Calliego judo. Ale ja jestem na miejscu i zagonię ich, jak tylko

coś znacznie się dziać.

- Trzymaj rękę na pulsie.

Rzeźnik nachylił się w jej stronę, pogładził ją po włosach i zaśmiał się.

- Ja też ich lubię - powiedziała. - Mam tylko nadzieję, że nie będę musiała z nich skorzystać. Jedno z nich jest zdrajcą, który już dwa razy próbował mnie dopaść. Wolałabym nie dawać mu trzeciej szansy. Choć jeśli będę musiała, to sobie poradzę.

- Stolarze, ustawić się przodem, trzydzieści dwa stopnie od centrum galaktyki. - Tarik znów przemówił przez głośnik. - Piły do metalu przy bramie w osi K. Piły wzdłużne, przygotować się przy bramie w osi R. Piły poprzeczne, przygotować się przy bramie w osi T.

Wyrzutnie pstryknęły i otworzyły się. W kabinie zrobiło się ciemno i ekran rozjarzył się od gwiazd i dalekich chmur gazów. Kontrolki migały na czerwono i na żółto na całej konsoli. W głośniku słychać było pogawędki załogi w dziale nawigacji „Jebel”.

Nie będzie łatwo. Widzisz go, Jehosaphat?

Jest tuż przede mną. Spory.

Miejmy nadzieję, że jeszcze nas nie widzą. Spokojnie, Kippi.

- Wiertarki, piły taśmowe i tokarki: sprawdźcie, czy jesteście naoliwione i podłączone do prądu.

- To my - oznajmił Rzeźnik. Jego ręce tańczyły na konsoli.

Co to jest, trzy piłeczki pingpongowe w moskitierze?

Tarik mówi, że to çiribiański statek.

Dopóki jest po naszej stronie, nic do niego nie mam.

- Elektronarzędzia, rozpocząć operację. Narzędzia ręczne, przygotujcie się do prac wykończeniowych.

- Zero - szepnął Rzeźnik. Rydra poczuła, jak statek skacze. Gwiazdy zaczęły się poruszać. Dziesięć sekund później zobaczyła, jak statek o tępym dziobie, należący do Najeźdźców, obraca się w ich stronę.

- Brzydki, nie? - spytała.

- „Jebel” jest podobnych rozmiarów, trochę mniejszy. A kiedy my wrócą do domu, będzie piękny. Nie da się poprosić Çiribian o pomoc? Tarik będzie musiał atakować bezpośrednio wyrzutnie i rozwalić, ile się da, a to nie będzie dużo. Oni zaatakują, a ich statków pajaków będzie więcej niż „Jebel” i jeśli Tarik nie będzie miał dużo szczęścia... - Uderzył pięścią we wnętrze dłoni.

- Nie możemy w nich walnąć wielką, niecywilizowaną bombą atomową?

- Mają deflektory. Wybuchnie prosto na nas.

- W takim razie cieszę się, że wzięłam załogę. Może nam się uda szybko uciec w stronę Kwatery Głównej.

- Jeśli nam pozwolą - mruknął ponuro. - Jakie strategie zwycięstwa?

- Powiem ci, jak tylko rozpocznie się atak. Mam pewien pomysł, ale jeśli przesadzę z jego użyciem, koszty będą za duże. - Przypomniała sobie, jak źle się czuła po incydencie z Geoffrym Cordem.

Tarik rozstawiał formację, załoga gadała z nawigatorami, a statki pajaki pędziły przez mrok.

Zaczął się tak szybko, że o mało tego nie przegapiła. Pięć pił do metalu podeszło na jakieś pięćset metrów do statku Najeźdźców. Równocześnie wypaliły w wyrzutnie, a czerwone robaczki wysypały się z burt w czarnej mgle. Otwarcie wszystkich dwudziestu siedmiu wyrzutni i wystrzelenie pierwszej baterii krążowników trwało cztery i pół sekundy. Ale Rydra już myślała w Babel-17.

Dzięki rozciągnięciu czasu dostrzegła, że potrzebują pomocy. A wyrażenie ich potrzeby było

zarazem odpowiedział.

- Rzeźniku, zmieniamy strategię. Leć za mną z dziesięcioma statkami. Moja załoga przejmuje stery.

To doprowadzające do szaleństwa poczucie, że wypowiedzenie angielskich słów trwa tak długo! Rozkaz Rzeźnika „Kippi, umieść piły do metalu na torze i tam je zostaw!” brzmiał, jakby dochodził z taśmy odtwarzanej z jedną czwartą prędkości. Jej załoga jednak była już u sterów statku pająka. Rydra wysyczała trajektorię do mikrofonu.

Mosiądz ustawił ich pod właściwym kątem w stosunku do fali i przez chwilę widziała za nimi piły do metalu. Teraz ciasny skręt i pędzili za pierwszą linią krążowników Najeźdźców.

- Podgrzejcie im tyłki!

Rzeźnik zawahał się z dłonią na spuście.

- Pogonić ich w stronę „Jebel”?

- Do licha, jasne. Ognia, kochany!

Wystrzelił, a piły do metalu utworzyły formację.

Po dziesięciu sekundach było jasne, że miała rację. „Jebel” leżał w osi R. Przed nimi były jajka w koszulkach, moskitiera, eteryczny, pierzasty statek Çiribian. Çiribia należała do Sojuszu i co najmniej jeden z Najeźdźców o tym wiedział, bo wystrzelił w stronę dziwacznej konstrukcji na niebie. Rydra dostrzegła, jak działo Najeźdźcy wypluwa zielony ogień, ale salwa nie dotarła do statku Çiribian. Krążownik Najeźdźców zmienił się w chmurę białego dymu, która poczerniała i znikła. Ten sam los spotkał kolejny; potem trzy następne, a potem jeszcze trzy.

- Spadamy stąd, Mosiádz! - Wykonali zwrot i oddalali się.

- Co to...? - zaczął Rzeźnik.

- Çiribiański promień cieplny. Nie używają go, dopóki nie zostaną zaatakowani. Tak stanowi traktat podpisany przez Trybunałem w czterdziestym siódmym. Więc zmusiliśmy Najeźdźców do ataku. Zrobimy to jeszcze raz?

Głos Mosiádz w głośnikach:

- Już się robi, ‘ani ka’itan.

Znów myślała po angielsku, czekając, jak zaatakują ją mdłości, ale podekscytowanie im zapobiegało.

- Rzeźniku - to głos Tarika - co wy robicie?

- To działa, nie?

- Tak. Ale w formacjach obronnych zostawiliście dziurę szeroką na kilometry.

- Powiedz mu, że zaraz ją załatamy, jak tylko przegonimy następną partię.

Tarik musiał ją usłyszeć.

- Droga pani, a co będziemy robić przez następne sześćdziesiąt sekund?

- Walczyć jak szaleni.

Następna partia stłoczonych w stado krążowników Najeźdźców znikła w promieniu cieplnym Çiribian. W głośniku rozległo się:

Hej, Rzeźniku, pędzą do ciebie.

Domyślili się, że to twoja robota.

Rzeźniku, masz sześciu na ogonie. Zrzuć ich.

- ‘ani ka’itan, mogę się łatwo uchylić! - zawołał Mosiádz. - Wszyscy lecą na zdalnym sterowaniu. My mamy większą swobodę.

- Jeszcze raz i naprawdę możemy przechylić szalę zwycięstwa na stronę Tarika.

- Tarik już wygrywa - dodał Rzeźnik. - Teraz tylko strząsnąć łupiny. - Zawołał do mikrofonu: -

Piły do metalu, rozproszyć się i rozbić te krążowniki!

Zrobi się. Łapiemy się za ręce, chłopaki.

Hej, Rzeźniku, jeden z nich jest uparty.

- Dzięki, że piły do metalu wróciły - odezwał się Tarik - ale z tym, co tam jest, będziecie musieli sobie poradzić, walcząc wręcz.

Rydra rzuciła Rzeźnikowi pytające spojrzenie.

- Bohaterowie - mruknął z niesmakiem. - Dostaną się na pokład i będą walczyć.

- Nie z dzieciakami na pokładzie! Mosiądzu, zawróć i wpadnij między nich, albo przeleć na tyle blisko, żeby wzięli nas za stukniętych.

- Może trzeba będzie złamać arę żeber...

Statek wykonał ostry skręt; szarpnęli się w upręży ławek przeciwprzeciążeniowych.

W głośniku rozległ się jęk któregoś z młodzików.

Krążownik Najeźdźców wykonał gwałtowny skręt.

- Mogą złapać nas na hak - mruknął Rzeźnik. - Nie wiedzą, że na pokładzie jest pełna załoga. Mają tylko dwa...

- Uwaga, 'ani ka'itan.

Krążownik Najeźdźców wypełnił ekran. Przez kościec statku pająka przebiegło drżenie.

Rzeźnik szarpnął się w pasach ławki przeciwprzeciążeniowej i uśmiechnął.

- No to będzie walka wręcz. A ty dokąd?

- Z tobą.

- Masz wibropistolet? - Przypiął sobie kaburę w pasie.

- Pewnie. - Odsunęła połą luźnej bluzki. - I coś takiego. Drut wanadowy, piętnaście centymetrów. Straszna rzecz.

- Chodź.

Przełączył dźwignię induktora grawitacji na pełną moc.

- A to po co?

- Walka w skafandrze nie ma sensu. Sztuczne pole grawitacyjne dookoła obu statków utrzyma nadającą się do oddychania atmosferę w promieniu jakichś siedmiu metrów od powierzchni i zachowa ciepło... tak mniej więcej.

- Mniej czy więcej? - Pobiegła za nim do windy.

- Na zewnątrz jest jakieś minus dziesięć. - Od chwili, gdy spotkali się na cmentarzu Tarika, pozbył się nawet bryczesów i miał na sobie tylko kaburę.

- Chyba nie będziemy tam na tyle długo, żebyśmy potrzebowali płaszczy.

- Obiecuję, że ten, kto tam się znajdzie, zaraz będzie martwy, i to nie z powodu zimna. - Głos nagle mu się obniżył, gdy zanurkowali pod klapą. - Jeśli ty nie wie, co robi, niech się trzyma z daleka. - Pochylił się, dotykając jej policzka kosmykiem bursztynowych włosów. - Ale ty wie i ja wie. Musi to zrobić dobrze.

Takim samym ruchem, jakim uniósł głowę, otworzył klapę. Otoczyło ich zimno, ale ona go nie czuła. Zwiększone tempo przemiany materii, jakie towarzyszyło używaniu Babel-17, owinęło ją tarczą fizycznej obojętności. Coś przeleciało im nad głowami. Wiedzieli, co zrobić, i oboje to zrobili: zanurkowali. To coś eksplodowało - zidentyfikowali to jako granat, który nie trafił we właz - i twarz Rzeźnika zalśniła białym światłem. Podskoczył i poświata przesunęła się na dolne partie jego ciała.

Imitowała jego ruchy, czując się pewnie dzięki spowolnieniu czasu, jaki zapewniał Babel-17. Zawirowała, skacząc. Ktoś zanurkował pod trzymetrowym występem odsadni. Strzeliła do niego, a

spowolnienie czasu pozwoliło jej dokładnie wymierzyć. Nie wiedziała, czy trafiła, ale odwracała się dalej. Rzeźnik ruszył w stronę szerokiej na trzy metry kolumny haka Najeźdźców.

Statek wroga sterczał pod kątem w ciemności jak krab z trzema szczypcami. Oś K wznosiła się spłaszczoną spiralą w stronę ojczyściej galaktyki. Cienie wyglądały jak fragmenty czarnej kalki na gładkim kadłubie. Od strony osi K nikt nie mógł jej zauważyć, chyba że jej ruchy zasłoniłyby jakąś zabłąkaną gwiazdę albo pojawiłyby się na tle światła samego ramienia Rozpadliny Specellego.

Skoczyła na powierzchnię krążownika Najeźdźców. Przez moment poczuła chłód. Potem uderzyła tuż przy podstawie haka i opadła na kolana, bo ktoś z dołu rzucił kolejnym granatem w stronę kłapy. Nie wiedzieli, że ona i Rzeźnik wyszli już na zewnątrz. Dobrze. Wystrzeliła. Kolejny syczący dźwięk rozległ się w miejscu, gdzie musiał być Rzeźnik.

W ciemności poniżej poruszały się sylwetki. Nagle wibrouderzenie sieknęło metal tuż pod jej dłonią. Strzelał ktoś stojący w klapie jej statku i zmarnowała pół dźwięku na rozpatrzenie i odrzucenie hipotezy, że szpieg wystraszył się załogi i dołączył do Najeźdźców. To raczej początkowa taktyka Najeźdźców zakładała, żeby nie pozwolić im opuścić statku i zastrzelić ich przy klapie. Kiedy zawiodła, skryli się pod klapą i strzelali stamtąd. Znowu wystrzeliła, i jeszcze raz. Z kryjówki za drugim hakiem Rzeźnik także strzelał.

Część obrzeża kłapy zaczęła się żarzyć od wielokrotnych trafień. I zabrzmiał znajomy głos:

- Starczy, starczy! Załatwiła ich 'ani, 'ani ka'itan!

Rydra popęzła po haku, a Mosiądz włączył światło przy klapie i stał, oświetlony promieniem padającym z grodzi. Rzeźnik z opuszczonym pistoletem wyszedł z kryjówki.

Poświata podkreślała demoniczne rysy Mosiądza. W obu łapach trzymał zwiotczałe ciała.

- Ten jest mój. - Potrząsnął prawą łapą. - 'róbował 'ełznąć do szybu, więc nade'nałem mu na głowę. - Cisnął wiotkimi ciałami o płyty kadłuba. - Nie wiem jak wam, ale mnie jest zimno. A 'rzyszedłem tu głównie 'o to, żeby wam 'owiedzieć, że jak znajdziecie czas na 'rzerwę na kawę, to Diavalo wygrzebał trochę irlandzkiej whiskey. Chyba że wolicie gorący rum z masłem? No chodźcie, chodźcie! Jesteście sini z zimna!

Przy windzie jej umysł przestawił się z powrotem na angielski i zaczęła drżeć. Szron na włosach Rzeźnika topił się i spływał małymi kropelkami wzdłuż linii włosów. Ręka ją zaboląła: dopiero teraz zauważyła oparzenie.

- Hej - rzekła, gdy weszli do korytarza - Mosiądz, jeśli ty tu jesteś, to kto pilnuje interesu?

- Kippi. Przeszliśmy na zdalne sterowanie.

- Rum - powiedział Rzeźnik. - Bez masła. Zimny. Tylko rum.

- Swój chłó' - pokiwał głową Mosiądz. Otoczył jednym ramieniem Rydrę, drugim Rzeźnika, i zauważył, że praktycznie musi nieść ich oboje.

Coś stuknęło w statku. Pilot spojrzał na sufit.

- Konserwacja odcięła haki. - Zawłókł ich do kabiny kapitana. Opadli na ławki przeciwprzyspieszeniowe, a on wrzasnął do interkomu: - Diavalo, migiem, chodź i 'rzynieś im coś do 'icia! Zasłużyli na to.

- Mosiądz! - Chwyciła go za rękę, gdy się cofnął. - Możesz nas stąd zabrać do Kwatery Głównej Sojuszu?

Podrapał się za uchem.

- Jesteśmy na samym koniuszku Języka. Środek roz'adliny znam tylko z ma'. Ale czuciowcy mówią, że jesteśmy dokładnie w czymś, co musi być 'oczątkiem 'rądu Natal-beta. Wiem, że wy'ływa z Roz'aliny, a 'otem jesteśmy w Atlas-run i lądujemy 'rawie 'od drzwiami Kwatery. Jakieś osiemnaście do dwudziestu godzin.

- Lecimy.

Spojrzała na Rzeźnika. Nie zgłaszał sprzeciwu.

- Dobry 'omysł - rzekł Mosiądz. - Jakaś 'ołowa załogi „Jebel” uległa... hm, odcieleśnieniu.

- Najeźdźcy wygrali?

- Nieee. Ćiribianie w końcu wzięli się do roboty, usmażyli tego wielkiego świniaka i zwiali. Ale do'iero 'o tym, jak Najeźdźcy wywalili w „Jebel” dziurę wielkości trzech statków 'ajaków, na wylot. Ki''i mówi, że wszyscy, którzy jeszcze żyją, siedzą zamknięci w jednej czwartej statku, ale nie mają zasilania.

- A Tarik? - zapytał Rzeźnik.

- Zginął.

We władze pojawiła się białowłosa głowa Diavalo.

- Proszę.

Mosiądz wziął od niego butelkę i kieliszki.

Głośnik zatrzeszczał.

- Rzeźniku, widzieliśmy, jak przegналиście krążownik Najeźdźców. A więc żyjecie.

Wywołany pochylił się i sięgnął po mikrofon.

- Rzeźnik żyje, szefie.

- Niektórzy to mają szczęście. Pani kapitan, mam nadzieję, że napisze mi pani elegię.

- Tarik? - Usiadła przy Rzeźniku. - Lecimy do Kwatery Głównej Sojuszu. Wrócimy z pomocą.

- Jak wam wygodnie. Tylko wicie, trochę nam tu ciasno.

- Zaraz odlatujemy.

Mosiądz był już przy drzwiach.

- Ślimaku, jak dzieciaki? W porządku?

- Obecne i w stanie gotowości. Pani kapitan, czy pani udzielała zgody na wniesienie petard na pokład?

- Nie przypominam sobie.

- Tak przypuszczałem. Ratt, wracaj tu!

Rydra zaśmiała się.

- Nawigacja?

- W stanie gotowości - odparł Ron.

W tle słyszała głos Mollyi: „*Nilitake kulala, nilale milele.*”

- Nie możecie ciągle spać - rzekła Rydra. - Startujemy!

- Mollya uczy nas wiersza w suahili - wyjaśnił Ron.

- Och. Czuciowcy?

- Psiiiiik! Zawsze mawiałem, pani kapitan, że cmentarz należy utrzymywać w czystości. Kiedyś może się przydać. I „Jebel” jest tego najlepszym dowodem. Jesteśmy gotowi.

- Niech Ślimak wyśle tam kogoś ze ścierką. Wszyscy podłączeni. Mosiądz?

- Wpięty i gotowy, 'ani ka'itan.

Włączyły się generatory stazy i Rydra rozsiadła się wygodnie na ławce przeciwprzeciążeniowej. Jakby coś się zrelaksowało w środku.

- Nie sądziłam, że uda nam się stamtąd wydostać - zwróciła się do Rzeźnika, który siedział na skraju swojej ławki i patrzył na nią. - Wiesz, że jestem nerwowa jak kot. I nie czuję się za dobrze. Och, do licha, znowu się zaczyna. - Złe samopoczucie, które od siebie odsuwała, z uczuciem odprężenia wróciło i zaczęło ją ogarniać. - Przez to wszystko czuję się, jakbym zaraz miała się rozsypać. Wiesz, jak to jest, kiedy wątpisz we wszystko, nie wierzysz żadnym swoim uczuciom.

Wydawało mi się, że już nie jestem sobą. - Oddech boleśnie uwiązał jej w gardle.

- Ja jestem - powiedział cicho - a ty jesteś.

- Nigdy w to nie wątpiłam, Rzeźniku. Choć czasem ja muszę się nad tym zastanawiać. W mojej załodze jest szpieg. Mówiłam ci o tym, prawda? Może to Mosiądz i chce nas wpakować do środka supernowej? - We wnętrzu choroby czaił się bąbel hysterii, który nagle pękł. Wytrąciła Rzeźnikowi z ręki butelkę. - Nie pij tego! D... D... Diawalo może próbować nas otruć! - Wstała niepewnie. Wszystko otaczała czerwona mgła. - Albo ktoś ze zmarłych. Jak... jak można walczyć z d... d... duchem? - Poczowała silny ból brzucha i zwinęła się wpół jak od ciosu. Z bólem nadszedł strach. Na jego twarzy widać było jakieś emocje, ale nie zdołała ich odczytać. - ...żeby nas zabić... - wyszeptała. - ...coś... zabić... to... do ciebie niepodobne... do mnie... niepodobne...

Zrobiła to, by uciec od bólu, który oznaczał niebezpieczeństwo, i od niebezpieczeństwa, które oznaczało ciszę. On powiedział. Jeśli ty kiedyś jest w niebezpieczeństwie... ty wejdzie do mózgu i zobaczy, co tam jest.

W jej umyśle pojawił się obraz bez słów: kiedyś ona, Muels i Fobo wplątali się w bójkę w barze na Tantorze. Zaliczyła cios w szczękę i cofała się w szoku, odwróciła się, a wtedy ktoś zerwał ze ściany wiszące za barem lustro i cisnął je w nią. Jej własna przerażona twarz pędziła, krzycząc, uderzyła w jej wyciągniętą rękę. Gdy patrzyła na twarz Rzeźnika, poprzez ból i Babel-17, to wszystko powróciło.

CZEŚĆ CZWARTA

RZEŹNIK

... włączanie mózgu, by obudzić go
z drutami w oczach, jak zgina stawy
ujmując się pod boki. Budzi się, okablowany,
rozwidlając palce z trzaskiem, dławiąc się językiem.
Budzimy się, włączamy.
Przybity do podłogi,
jego kręgosłup obraca się, pierś pustoszeje,
powietrze w drutach, iskrzy
błysk z okablowanego sufitu, stukanie
jego iskrzące paznokcie. Kaszle, krzyczy.
Bliźniak w jego oczach kaszle, krzyczy.
Mroczny bliźniak podwaja się na podłodze, połyka własny
język.
Rozchlapany na mrocznym biegunie podpiętym
za oczami, mroczny bliźniak z trzaskiem uwalnia kręgosłup,
wali rękami w sufit. Naładowane koraliki latają.
Sufit, spolaryzowany, dręczy jego policzek metalem.
Rozdziera luźną skórę. Rozdziera żebra,
rozdarte mięśnie piersiowe oddzielają się od metalu, wygięte
wargi ma czarne, wysuszone,
rozdarte. Więcej.
Pośladki i łopatki chrzęszczą na podłodze
umazane i zielone od solanki.
Budzą się.
Budzimy się, włączamy.
On dławiąc się krwią, włącza się,
narodzony na wilgotnej podłodze.

Mroczny bliźniak

1.

Właśnie opuściliśmy Rozpadlinę, pani kapitan. Jesteście już pijani?

- Nie. - To głos Rydry.

- Jak wam się 'odoba? Chyba wszystko u was w 'orządku.

- Mózg w porządku. - To znów głos Rydry. - Ciało w porządku.

- Że co? Rzeźniku, nie na'adło jej coś znowu?

- Nie. - To Rzeźnik.

- Oboje s'rawiacie jakieś dziwne wrażenie. Mam wysłać Ślimaka, żeby rzucił na was okiem?

- Nie. - To znów Rzeźnik.

- Dobrze. 'rzed nami 'rosta droga, więc mogę się 'arę godzin 'rzes'ać. Co wy na to?

- Co my na to? - Głos Rzeźnika.

- Może „dzięki”. Wiesz, walczę tak, że o mało mi ogon nie od'ada.

- Dzięki. - Głos Rzeźnika.

- Nie ma za co, jak sędzę. Nie 'rzeszkadzam. 'rzepraszam, jeśli zakłóciłem s'okój.

2.

Rzeźniku, nie wiedziałam! Skąd mogłam wiedzieć!

Pośród echa ich umysły stopiły się w krzyku: nie wiedziałam, nie mogłam. To światło...

Powiedziałam Mosiądzowi, powiedziałam mu, że musisz mówić językiem, który nie zna pojęcia „ja”. I powiedziałam, że żadnego takiego nie znam, ale przecież był taki, zupełnie oczywisty: Babel-17...!

Przystające synapsy zdrząły ze współczuciem, aż obrazy się utrwaliły, i ze środka samej siebie, którą stworzyła, zobaczyła jego -

- w pojedynczej, miniaturowej scenie na Titinie, szponem wydrapał w zielonej farbie na ścianie mapę, zamazując obsceniczne palimpsesty, które tam wypisywali więźniowie przez dwieście lat; mapę, która potem miała posłużyć do śledzenia go i wyprowadzić ich w pole. Patrzyła, jak przechadza się w przestrzeni szerokiej na metr, a po trzech miesiącach jego dwumetrowa postać waży czterdzieści pięć kilogramów i jest bliska śmierci głodowej.

Wspięła się z tej otchłani na sznurze splecionym z trzech nici: dieta, drąg, dziura; zawalić, znaleźć, zebrać; okowy, odmiana, okazja.

Zabrał od kasjera całą swoją wygraną i już miał wyjść z Casino Cosmica, maszerując po kasztanowym dywanie do drzwi, gdy czarny krupier stanął mu na drodze i uśmiechnął się do grubej teczki z pieniędzmi. „Może chciałby pan spróbować jeszcze raz, sir? Z czymś, co będzie wyzwaniem dla gracza o pańskich umiejętnościach?”. Zabrano go przed olbrzymią, trójwymiarową szachownicę z powlekanyymi ceramicznymi figurami. „Gra pan z komputerem kasyna. Za każdą straconą figurę dorzuca pan do stawki tysiąc kredytów. Za każdą figurę przeciwnika kasyno dorzuca tyle samo. Za szach wygrywa pan lub przegrywa pięćset kredytów. Za szach i mat zwycięzca otrzymuje wszystko, co znalazło się w puli, razy sto”. Ta gra miała pozbawić go jego fantastycznych wygranych - bo wygrywał naprawdę fantastycznie. „Idę do domu i zabieram pieniądze” - powiedział krupierowi. Krupier uśmiechnął się i odparł: „Kasyno uprzejmie prosi, żeby pan jednak zagrał”. Patrzyła, zafascynowana, jak Rzeźnik wzrusza ramionami, podchodzi do szachownicy i wygrywa z komputerem w siedmiu ruchach - szewski mat. Dzięki temu wygrał milion kredytów i zanim dotarł do wyjścia kasyna, próbowano go zabić trzy razy. Nie udało im się, ale ta rozgrywka była jeszcze lepsza niż hazard.

Patrzyła, jak działa i reaguje w tych sytuacjach, a jej umysł obijał się wewnątrz jego umysłu, zwijając się z bólu lub przyjemności, dziwnych emocji, które były pozbawione ego i niewyrażone, magiczne, kuszące, mityczne.

Rzeźniku -

Zdołała przerwać szaleńcze kręcenie się w kółko.

- *skoro cały czas rozumiałeś Babel-17, zakłębiły się pytania w jej własnym rozszalałym mózgu, dlaczego używałaś go niepotrzebnie tylko dla samego siebie, grając, okradając bank, a dzień później miałaś wszystko stracić i nie podjęłaś żadnej próby zatrzymania tego dla siebie?*

Jakiego „siebie”? Nie było żadnego „siebie”.

Wkroczyła do jego mózgu z jakąś oszałamiającą, odwróconą seksualnością. Obejmując ją, cierpiał.

Światło - ty zrobiła! Ty zrobiła, krzyczał w przerażeniu.

Rzeźniku, spytała, a była lepsza od niego w układaniu słów związanych z emocjonalnymi zawirowaniami, *jak wygląda mój umysł we wnętrzu twojego?*

Światło, jasny ruch, zawył z analityczną precyzją Babel-17, surowego jak kamień, by wyrazić ich stopienie, tworzenie tyłu wzorców, ponowne ich przekształcanie.

Na tym właśnie polega bycie poetą, wyjaśniła, a obłe zakończenie błyskawicznie odcięło zalew. Po grecku poeta oznacza budowniczego.

Jest! Jest wzorzec. Ach, tak jasny, tak jasny!

Takie proste połączenie semantyczne? Była zaskoczona.

Ale Grecy byli poetami tysiące lat temu, a ty jesteś poetką teraz. Łączysz ze sobą słowa na taką odległość, że ich ślad mnie oślepia. Twoje myśli są ogniem, to kształty, których nie mogę uchwycić. Brzmią jak muzyka, za głęboka, która mną wstrząsa.

To dlatego, że nic dotąd tobą nie wstrząsnęło. Ale miło mi.

Jesteś tak wielka we mnie, że zaraz pęknę. Widzę wzorzec o nazwie „Przestępca i świadomość artystyczna spotykają się w jednej głowie i mówią tym samym językiem..”.

Tak, zaczęłam myśleć coś w stylu...

Otoczają je kształty zwane „Baudelaire” - ach! - i „Villon”.

To byli starożytni francuscy poe...

Za jasne! Za jasne! „Ja” we mnie nie jest na tyle silne, żeby je utrzymać. Rydro, kiedy ja patrzę na noc i gwiazdy, jest to tylko bierne działanie, ale ty jesteś aktywna, gdy patrzysz, i przyćmiewasz gwiazdy bardziej błyszczącym płomieniem.

Rzeźniku, zmieniasz to, co postrzegasz. Ale to ty musisz to postrzegać.

Ja muszę - światło - centralnie, w tobie, widzę stopienie lustra i ruchu, obrazy są splątane, obracają się, a wszystko jest wyborem.

Moje wiersze! To jak wstyd z powodu nagości.

Definicje „ja”, każda wielka i precyzyjna.

Pomyślała: ja/jażń/jagnię, ego, osobowość, mała owca.

On zaczął: ty...

Ty/tył/typ - drugie ja, odwrotna strona, rodzaj.

- rozpalasz moje słowa znaczeniami, które błyskawicznie odchodzą. Co ja otaczam? Czym jestem, otaczając ciebie?

Nadal obserwując, zobaczyła, jak obrabowuje bank, morduje, niszczy, bo semantyczna waga „moje” i „twoje” została zniszczona w grymasie wystrzępionych synaps.

Rzeźniku, słyszałam, jak to dźwięczy w twoich mięśniach, ta samotność, która sprawiła, że zmusiłeś Tarika do wyłowienia „Rimbauda” tylko po to, żeby mieć przy sobie kogoś, kto mówi tym analitycznym językiem, z tego samego powodu, dla którego próbowałeś ocalić dziecko, wyszeptała.

Obrazy zestaliły się w jej mózgu.

Długa trawa szeptała przy tamie. Księżycy Aleppo spowiły wieczór mgłą. Równomobil szumiał cicho, a on z wyważoną niecierpliwością pstrykał końcem lewej ostrogi w rubinowy emblemat na kierownicy. Lill oparła się o niego ze śmiechem.

- Wiesz, Rzeźniku, że Mr Big dostałby szau, gdyby wiedział, że zabrałeś mnie na taki romantyczny spacer? Naprawdę zabierzesz mnie do Paryża, kiedy skończysz robotę?

Nienazwane ciepło walczyło w nim z nienazwaną niecierpliwością. Jej ramię pod jego dłonią było wilgotne, usta czerwone. Założyła sobie za ucho kosmyk włosów koloru szampana. Jej ciało obok niego poruszało się, falując, co dawało jej pretekst, żeby obrócić twarz w jego stronę.

- Z tym Paryżem to tylko tak sobie żartujesz. Powiem Mr Bigowi. Gdybym była mądrą dziewczynką, kazałabym ci poczekać z... zaprzyjaźnieniem się ze mną, dopóki tam nie pojedziemy.

Jej oddech pachniał perfumami pośród złanej potem nocy. Przesunął dłonią po jej ramieniu.

- Rzeźniku, zabierz mnie z tej gorącej, martwej planety. Moczary, jaskinie, deszcze! Boję się Mr Biga, Rzeźniku! Zabierz mnie stąd, zabierz mnie do Paryża. Nie mów, że tylko udajesz. Tak bardzo chcę tam pojechać. - Zaśmiała się samymi wargami. - Chyba... chyba jednak nie jestem mądrą dziewczynką.

Przycisnął usta do jej ust - i skręcił jej kark jednym szarpnięciem dłoni. Opadła, nadal z otwartymi oczami. Strzykawka, którą miał wbić w jej ramię, wypadła mu z dłoni, przetoczyła się po desce rozdzielczej i spadła między pedały. Zaniósł ją do tamy, wrócił ubłocony do połowy uda. Usiadł i pstryknął przełącznikiem.

- Mr Big, już po wszystkim.

- Doskonale. Rano możesz odebrać pieniądze. Głupio z jej strony, że próbowała mnie orznać na pięćdziesiąt tysięcy.

Równomobil toczył się, ciepła bryza suszyła błoto na jego ramionach, długa trawa syczała pod oponami.

Rzeźniku!

Ale to ja, Rydro.

Wiem. Ale ja...

Dwa tygodnie później musiałem zrobić to samo Mr Bigowi.

Co mu obiecałeś? Dokąd miałeś go zabrać?

Do kasyn na Minosie. A raz musiałem się przyczaić...

- choć to było jego ciało, przykucnięte w zielonej poświacie Kreto, oddychające szeroko otwartymi ustami, by stłumić wszelkie dźwięki, niepokój był jej, był strachem, który udało jej się opanować. Ładowacz w czerwonym mundurze zatrzymuje się i przeciera twarz chusteczką. On wyskakuje szybko, klepie go w ramię. Ładowacz odwraca się zaskoczony i wyrzuca ręce spodami dłoni do przodu. Kogucie ostrogi rozszarpują mu brzuch, jelita wylewają się na platformę, a on biegnie, słysząc alarm, przeskakuje worki z piaskiem, łapie cumę i owija ją wokół zaskoczonej twarzy strażnika stojącego po drugiej stronie, który odwrócił się i zobaczył go, z wyciągniętymi rękami -

- wyostałem się na otwartą przestrzeń i uciekłem, wyjaśnił jej. Zacieranie śladów zadziało i Węszyciele nie wytropili mnie wśród rozpadlin pełnych lawy.

Otwieram cię, Rzeźniku. Czy ten cały bieg otwiera mnie?

Czy to boli, czy to pomaga? Nie wiem.

Ale w twoim umyśle nie było słów. Nawet Babel-17 był jak szum mózgu w komputerze wykonującym wyłącznie analizę synaptyczną.

Tak. Teraz zaczynasz rozumieć.

- stoi, drżąc, w wypełnionej rykiem jaskini na Dis, w której łonie przebywał przez dziewięć miesięcy, zjadł całe pożywienie, psa Lonny'ego i samego Lonny'ego, który zamarzył na śmierć próbując wspiąć się na lodowy kopiec - aż nagle planetoida wymknęła się z cienia Cyklopów i rozjarzona Ceres zabłysła na niebie, a po czterdziestu minutach jaskinia wypełniła się wodą sięgającą mu do pasa. Kiedy wreszcie uwolnił swoje skoko-sanie, woda była ciepła, a on lepił się od potu. Popędził z najwyższą prędkością po trzykilometrowej linii terminatora, programując automatycznego pilota na chwilę przed tym, jak stracił przytomność z gorąca, zanim zanurzył się w Götterdämmerung.

Rzeźniku, muszę odnaleźć ciebie w zakamarkach twojej zagubionej pamięci. Kim byłeś, zanim znalazłeś się w Nueva-nueva Jorku?

Obrócił się łagodnie w jej stronę. Boisz się, Rydro? Jak dawniej...

Nie, nie jak dawniej. Uczysz mnie czegoś, czegoś, co podkopuje cały mój obraz świata i mnie samej. Przedtem myślałam, że się boję, bo nie umiałam zrobić tego co ty, Rzeźniku. Biały płomień stał się błękitny, ochronny, i drżał. Ale bałam się, bo mogłam robić te wszystkie rzeczy, z moich własnych powodów, nie z twojego braku powodów, bo ja jestem, a ty jesteś. Jestem o wiele większa, niż mi się wydawało, Rzeźniku, i nie wiem, czy ci za to dziękować, czy cię przeklinać za to, że mi to pokazałeś. Coś wewnątrz krzyczało, jękało się, znieruchomiało. Oddała milczenie, które mu zabrała, ze strachem, i milczenie, w którym coś czekało, aż przemówi, sama, po raz pierwszy.

Spójrz na siebie, Rydro.

Odbita w nim, dostrzegła, jak rośnie w jej świetle, ciemność bez słów - sam szum, rośnie! I krzyczała na jego nazwę i kształt.

Zniszczone płytki! Rzeźniku, te taśmy można było nagrać tylko wtedy, kiedy ja byłam przy mojej konsoli! Oczywiście!

Rydro, możemy nad tym panować, jeśli to nazwiemy.

Jakbyśmy mogli, teraz? Najpierw musimy nazwać sami siebie. A ty nie wiesz, kim jesteś.

Twoje słowa, Rydro, czy nie możemy jakoś użyć twoich słów, żeby się dowiedzieć, kim jestem?

Nie moich słów, Rzeźniku. Ale może twoich. Może Babel-17.

Nie...

Ja jestem, wyszeptala, uwierz mi, Rzeźniku, a ty jesteś.

3.

Kwatera Główna, pani kapitan. Proszę rzucić okiem przez hełm czuciowy. Te sieci radiowe przypominające fajerwerki i korporacyjne dusze mówią mi, że to pachnie jak zapiekanka z peklowanej wołowiny i smażone jajka. Hej, dzięki za posprzątanie. Kiedy żyłem, miałem uczulenie na kurz i nigdy się go nie pozbyłem.

Głos Rydry:

- Załoga opuści statek z kapitanem i Rzeźnikiem. Załoga zabierze ich do generała Forestera i nie pozwoli, żeby ich rozdzielono.

Głos Rzeźnika:

- W kajucie kapitańskiej na konsoli jest taśma zawierająca gramatykę języka Babel-17. Ślimaku, wyślij natychmiast tę taśmę do doktora Markusa T'mwarby na Ziemię, przesyłką specjalną. Potem poinformuj doktora T'mwarbę gwiazdofonem, że taśma została wysłana, o której godzinie i co zawiera.

- Mosiądzu, Ślimaku! Tam się dzieje coś dziwnego! - Ron przerwał transmisję z kajuty kapitańskiej. - Czy kiedyś słyszeliście, żeby tak gadali? Hej, pani kapitan, o co chodzi?

CZEŚĆ PIĄTA
MARKUS T'MWARBA

Starzejąc się schodzę w dół listopada
Asymptotyczne koło roku
Opada aż do teraz. W kryształowych zadumach
Przechodzę pod zestaloną białą linią drzew
gdzie suche liście szemrzą pod stopami i rozpadają się.
Szeleszczą dźwiękiem stłumionym jak strach.
Słyszę tylko liście i wiatr.
Pytam chłodne powietrze: „Jakie słowo mnie uwolni?”
Wiatr odpowiada: „Zmiana”, a białe słońce: „Pamiętanie”.

Elektra

1.

Szpula z taśmą, ważny rozkaz generała Forestera i wściekły dr T'mwarba dotarli do biura Danila D. Applebyego w odstępie trzydziestosekundowym.

Właśnie otwierał płaskie pudełko, kiedy hałas zza przepierzenia zmusił go, by uniósł wzrok.

- Michaelu - rzucił przez interkom - co tam się dzieje?

- Przyszedł jakiś wariat, który podaje się za psychiatrę!

- Nie jestem wariatem! - rzekł głośno T'mwarba. - Ale wiem, jak długo idzie przesyłka z Kwatery Głównej Sojuszu na Ziemię, i powinna była znaleźć się w moim mieszkaniu dziś z poranną pocztą. Nie zjawiała się, co oznacza, że została zatrzymana, a właśnie tu się odbywają takie rzeczy. Proszę mnie wpuścić.

Drzwi uderzyły o ścianę i wszedł.

Michael wyciągnął szyję, żeby coś widzieć.

- Hej, Dan, strasznie przepraszam. Zadzwońię po...

T'mwarba wskazał biurko.

- To moje. Dawać.

- Michaelu, nie trzeba - rzekł celnik, zanim drzwi trzasnęły powtórnie. - Dzień dobry, doktorze T'mwarba. Może pan siądzie? Ta przesyłka jest zaadresowana do pana, prawda? Proszę nie robić takiej zdziwionej miny, przecież pana znam. Zajmuję się integracją psychoindeksów ze względów bezpieczeństwa, więc cały nasz wydział zna pańskie doskonałe prace na temat dyferencjacji schizoidalnej. Cieszę się, że mogę pana poznać osobiście.

- Dlaczego nie mogę dostać mojej paczki?

- Sekundkę, zaraz się dowiem. - Wziął do ręki rozkaz, a dr T'mwarba sięgnął po paczkę i włożył ją do kieszeni.

- Teraz może pan wyjaśniać.

Celnik otworzył list.

- Wygląda na to - rzekł, przyciskając kolano do biurka, by dać upust złości, jaka w nim od pewnego czasu narastała - że może pan zatrzymać tę taśmę pod warunkiem, że dziś wieczorem odleci pan do Kwatery Głównej Sojuszu na pokładzie „Północnego Sokoła” i zabierze ją ze sobą. Bilet został zarezerwowany, dziękujemy za współpracę, z poważaniem generał X. J. Forester.

- Po co?

- Tego nie pisze. Obawiam się, doktorze, że jeśli nie wyrazi pan zgody, nie będzie pan mógł tego zatrzymać. A my umiemy odbierać różne rzeczy.

- Tak wam się tylko wydaje. Ma pan jakieś pojęcie, czego oni mogą chcieć?

Celnik wzruszył ramionami.

- Cekał pan na tę przesyłkę. Wie pan, od kogo ona jest?

- Od Rydry Wong.

- Wong? - Celnik uderzył oboma kolanami o biurko, a następnie opuścił je. - Od tej poetki, Rydry Wong? Pan też zna Rydrę?

- Jestem jej doradcą psychiatrycznym od czasów, kiedy miała dwanaście lat. Kim pan jest?

- Jestem Danil D. Appleby. Gdybym wiedział, że jest pan przyjacielem Rydry, sam bym pana wprowadził! - Wrogość posłużyła jako odskocznia, dzięki której przeskoczył do żywiołowego uczucia życzliwości. - Skoro odlatuje pan na pokładzie „Sokoła”, to może pan wyskoczy najpierw gdzieś ze mną? I tak miałem dziś wcześniej wyjść z pracy. Muszę wpaść... do takiego jednego

miejsca w Mieście Transportu. Czemu pan wcześniej nie powiedział, że ją zna? To miejsce, do którego idę, jest cudownie etniczne. Można tam nieźle zjeść i się napić. Lubi pan walki? Większość ludzi myśli, że to nielegalne, ale tam można to obejrzeć. Dziś wieczorem walczą Rubin i Pyton. Zobaczy pan, że jak pan tam raz wpadnie, to się panu spodoba. I dotrze pan na pokład „Sokoła” na czas.

- Myślę, że wiem, gdzie to jest.

- Schodzi się w dół i tam na suficie jest taki wielki bąbel, w którym walczą...? -

Podekscytowany pochylił się. - To Rydra mnie tam zabrała.

T'mwarba zaczął się uśmiechać.

Celnik klepnął ręką w biurko.

- Ależ się tej nocy zabawiliśmy! Po prostu szaleństwo! - Przymknął oczy. - Nawet poderwała mnie jedna z tych... - Pstryknął palcami trzy razy. - ...w sektorze bezcielesnych. To już jest nielegalne. Ale niech się pan tam kiedyś przejdzie.

- Chodźmy - zaśmiał się doktor. - Jedzenie i picie to najlepszy pomysł, o jakim dziś słyszałem. Umieram z głodu i nie widziałem dobrej walki od miesiąca.

- Nigdy przedtem nie byłem w tym miejscu - rzekł celnik, gdy wyszli z kolejki. - Zadzwoń, żeby coś zarezerwować, ale powiedzieli, że nie trzeba, wystarczy przyjść. Otwarte jest od szóstej. Pomyślałem więc, do licha z tym wszystkim, urwę się wcześniej z pracy. - Przeszli na drugą stronę ulicy i minęli kiosk, gdzie obdarci i nieogoleni ładowacze sprawdzali rozkłady przylotów. Trzech gwiazdowców w zielonych mundurach zataczało się na chodniku, trzymając się pod rękę. - Wie pan - powiedział celnik - trochę biłem się z myślami; chciałem to zrobić od chwili, gdy po raz pierwszy tu przyleciałem; ba, od chwili, kiedy po raz pierwszy poszedłem do kina i zobaczyłem film. Tylko że nic naprawdę dziwnego nie przeszłoby w biurze. Więc pomyślałem, że to może być coś prostego, coś, co da się ukryć pod ubraniem. To tutaj.

Celnik pchnął drzwi prowadzące do firmy Plasti plazma Plus („Przedrostki, wstawki i przyrostki - piękne ciało tylko u nas”).

- Wie pan, zawsze chciałem spytać kogoś, kogo uważałbym za autorytet: czy takie chęci sugerują, że człowiek ma coś nie tak z głową?

- Ani trochę.

Przywitała ich młoda kobieta o niebieskich oczach, ustach i skrzydłach.

- Może pan wejść od razu. Chyba że chce pan jeszcze przejrzeć katalog.

- Och, wiem dokładnie, czego chcę - zapewnił ją celnik. - Tędy?

- Tak.

- Tak w istocie - mówił dalej T'mwarba - poczucie kontroli nad ciałem jest bardzo ważne z psychologicznego punktu widzenia; to, że może pan je zmieniać, nadawać mu kształt. Przejście na półroczną dietę z intensywnym treningiem na siłowni może dać nieźle efekty. Tak samo jak nowy nos, podbródek czy komplet łusek albo piór.

Znaleźli się w sali z białymi stołami operacyjnymi.

- Czym mogę służyć? - spytał uśmiechnięty polinezyjski kosmetochirurg w błękitnym fartuchu. - A może pan się tu położy?

- Ja tylko do towarzystwa - odparł T'mwarba.

- W katalogu macie pod numerem 5463 - rzekł celnik. - Chcę to mieć... tutaj. - Poklepał się lewą ręką po prawym ramieniu.

- Och, tak. Bardzo podoba mi się ten wzór. Chwileczkę. - Mężczyzna otworzył pojemnik przy

stole. Błysnęły instrumenty chirurgiczne.

Podszedł do lodówki ze szklanymi drzwiami pod oddaloną ścianą; za szkłem widać było pokryte szronem najdziwniejsze kształty z plastiplazmy. Wrócił z tacą wypełnioną różnymi elementami. Jedyńm z nich, który dało się rozpoznać, była górna połowa miniaturowego smoka z oczami jak klejnoty, błyszczącymi łuskami i opalizującymi skrzydłami: miał niecałe pięć centymetrów długości.

- Kiedy podłączy się do pańskiego układu nerwowego, będzie pan mógł go nauczyć gwizdania, ryczenia, machania skrzydłami i ciskania iskier, ale może potrwać parę dni, zanim przyzwyczai się do struktury pańskiego ciała. Proszę się nie zdziwić, jak na początku będzie tylko bekał i robił minę, jakby było mu niedobrze. Proszę zdjąć koszulę.

Celnik rozpiął kołnierzyk.

- Zablokujemy panu czucie od ramienia... Wcale nie bolało, prawda? To? Och, to nasze urządzenie do zaciskania żył i tętnic, nie chcemy tu rozlewu krwi. Teraz pana rozetniemy - jeśli czuje się pan nieswojo, to proszę nie patrzeć. Proszę porozmawiać z kolegą. To potrwa tylko parę minut. Och, pewnie odczuł pan łaskotanie aż w brzuchu! Nieważne. Jeszcze raz. To pański łokieć. Wiem, ramię wygląda trochę śmiesznie, jak tak sobie wisi bez niego. Teraz wszczepimy tu klatkę z przezroczystej plastiplazmy. Zapewni takie samo zginanie łokcia i odsunie mięśnie. Proszę spojrzeć, ma wyłobienia na naczynia krwionośne. Proszę unieść podbródek. Jeśli chce pan patrzeć, proszę spojrzeć w lustro. A teraz tylko przymarszczymy brzegi. Proszę nie zdejmować tej żywotaśmy, którą panu obwiążę brzegi, przed kilka dni, dopóki wszystko się nie zrośnie. Nie powinno się rozejść, chyba że pan nadweręży rękę, ale raczej jest bezpieczne. Teraz podłączę naszego malucha do nerwu. To może zabołec...

- Wrrr! - Celnik o mało nie poderwał się na równe nogi.

- Proszę usiąść! Usiąść! Dobrze, cały trik polega na tym, jak otwierać klatkę - proszę spojrzeć w lustro. Nauczy się pan, jak zmuszać go, żeby wychodził i wykonywał różne sztuczki, *ale proszę uzbroić się w cierpliwość. To zajmuje trochę czasu.* A teraz włączę panu czucie w ramieniu.

Chirurg usunął elektrody i celnik sapnął.

- Trochę kłuje. Powinno przejść po godzinie. Jeśli pojawi się zaczerwienienie albo stan zapalny, proszę natychmiast przyjść. Wszystko, co przechodzi przez te drzwi, jest wyjąławiane, ale co jakieś pięć albo sześć lat komuś przytrafia się infekcja. Może pan włożyć koszulę.

Gdy wyszli na ulicę, celnik zgiął ramię.

- Mówią, że nie powinienem czuć żadnej różnicy. - Skrzywił się. - Ale czuję coś dziwnego w palcach. Jak pan sądzi, może uszkodził jakiś nerw?

- Wątpię - rzekł T'mwarba - ale jeśli będzie pan dalej tak wyginał palce, to panu się to uda. Rozluźni pan żywotaśmę. Chodźmy coś zjeść.

Celnik dotknął palcami ramienia.

- To dziwne. Mam tu siedmiocentymetrową dziurę, a wszystko dalej działa.

- A więc - rzekł T'mwarba znad swojego kubka - to Rydra pana tu przyprowadziła.

- Tak. Tak naprawdę - no cóż, w gruncie rzeczy spotkałem ją tylko raz. Szukała załogi na sponsorowany przez rząd lot badawczy. Byłem tam tylko po to, żeby zatwierdzić indeksy. Ale coś się stało tego wieczora.

- Co takiego?

- Spotkałem najdziwniejszych, najbardziej zwariowanych ludzi, jakich widziałem w życiu. Ludzi, którzy myśleli inaczej, zachowywali się inaczej, a nawet kochali się inaczej. I dzięki nim się

śmiałem, złościłem, byłem szczęśliwy, smutny, podekscytowany, a nawet trochę się zakochałem. - Spojrzał na przezroczystą kulę areny nad barem. - I nie wydawali mi się już tacy niezwykli ani dziwacznicy.

- Dobrze się dogadywaliście tego wieczora?

- Tak sędzę. To może bezczelne, że mówię o niej, używając imienia, ale czuję, jakby była... moją przyjaciółką. Jestem samotny w mieście samotnych ludzi. A kiedy ktoś taki znajduje miejsce, gdzie... potrafi się dogadać, wraca, żeby zobaczyć, czy to się może przydarzyć jeszcze raz.

- No i?

Danil D. Appleby spojrział na sufit i zaczął rozpinać koszulę.

- Zjedźmy coś.

Powiesił koszulę na oparciu krzesła i spojrział na smoka uwięzionego w swoim ramieniu.

- Tak czy inaczej się wraca. - Obrócił się na krześle, zdjął koszulę z krzesła, poskładał ją starannie i odłożył na miejsce. - Doktorze T'mwarba, czy ma pan jakieś podejrzenie co do tego, dlaczego wzywają pana do Kwatery Głównej Sojuszu?

- Przypuszczam, że dotyczy to Rydry Wong i jej taśmy.

- Bo pan powiedział, że jest jej lekarzem. Mam nadzieję, że to nie żaden medyczny powód. Gdyby coś się jej przytrafiło, to byłoby straszne. To znaczy, dla mnie. Tego wieczora udało jej się tyle mi powiedzieć - i powiedziała to tak prosto. - Zaśmiał się i dotknął palcem brzegu klatki. Bestia w środku zagulgotała. - A w połowie przypadków, kiedy coś do mnie mówiła, nie patrzyła na mnie.

- Mam nadzieję, że nic jej nie jest - mruknął doktor T'mwarba. - Oby tylko tak było.

2.

Zanim „Północny Sokół” wylądował, udało mu się podstępnie skłonić kapitana, by pozwolił mu porozmawiać z kontrolą lotów.

- Chciałbym się dowiedzieć, kiedy wylądował „Rimbaud”.

- Chwileczkę, sir. Nie przypuszczam, żeby w ogóle. Na pewno nie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Sprawdzenie starszych danych może troszkę potrwać...

- Nie. Raczej chodzi o kilka ostatnich dni. Jest pani pewna, że ostatnio nie lądował u was „Rimbaud” pod dowództwem Rydry Wong?

- Wong? Chyba wylądowała wczoraj, ale nie był to „Rimbaud”. Nieoznakowany krążownik. Było trochę zamieszania, bo usunięto numery seryjne z modułów i istniało podejrzenie, że został skradziony.

- Czy kapitan Wong dobrze się czuła, schodząc ze statku?

- Najwyraźniej zrzekła się dowództwa na rzecz... - Zamilkła.

- Tak?

- Bardzo pana przepraszam, sir, ale wszystkie te informacje są tajne. Nie zauważyłam naklejki, a przypadkowo umieszczono je w zwykłym pliku. Nie mogę panu przekazać dalszych informacji. Są dostępne wyłącznie dla uprawnionych osób.

- Jestem doktor Markus T'mwarba - rzekł doktor stanowczo, nie mając pojęcia, czy to cokolwiek pomoże.

- Och, tak, jest tu informacja na pański temat, sir. Ale nie ma pana na liście osób uprawnionych.

- W takim razie co tam jest napisane, droga pani?

- Że jeśli będzie się pan domagał informacji, ma się pan zgłosić bezpośrednio do generała Foreстера.

Godzinę później T'mwarba wkroczył do gabinetu Foreстера.

- No dobrze, o co chodzi z Rydrą?

- Gdzie jest taśma?

- Jeśli Rydra chciała, żeby taśma dotarła do mnie, to widocznie miała powody. Gdyby chciała, żeby dotarła do pana, to wysłałaby ją panu. Proszę mi wierzyć, nawet jej pan nie dotknie, dopóki ja nie wyrażę zgody.

- Miałem nadzieję, że będzie pan współpracował, doktorze.

- Współpracuję przecież. Przyleciałem tu, generale. Ale pewnie chce pan, żebym coś jeszcze zrobił, a to niemożliwe, dopóki nie będę wiedział, o co chodzi.

- To bardzo niewojskowe podejście - rzekł generał Forester, wychodząc zza biurka. - A coraz częściej ostatnio się z takim spotygam. Nie wiem, czy mi się to podoba. Ale nie wiem też, czy mi się nie podoba. - Gwiazdowiec w zielonym mundurze przysiadł na skraju biurka, dotknął gwiazdek na swoim kołnierzu i zadumał się. - Panna Wong była pierwszą od dawna spotkaną osobą, której nie mogłem powiedzieć: proszę zrobić to i to, i nawet nie pytać o konsekwencje. Po raz pierwszy rozmawiałem z nią o Babel-17, choć mogłem po prostu wręczyć jej transkrypcję, a ona wręczyłaby mi angielską wersję. Nie, musiałem powiedzieć jej coś jeszcze. Po raz pierwszy od czternastu lat ktoś mi powiedział, że to ja muszę coś zrobić. Może i mi się to nie podobało, ale u licha, czułem szacunek. - Opuścił ręce na kolana obronnym gestem. (Obronnym? Czy to nie Rydra nauczyła mnie tak interpretować ten gest? - zastanowił się szybko T'mwarba). - Tak łatwo się zamknąć w swoim kawałku świata. Kiedy przebije się do niego jakiś głos, wydaje się to ważne. Rydra Wong... -

Generał zamilkł, a wyraz jego twarzy sprawił, że T'mwarba poczuł chłód, gdyż tamten spojrział na niego tak, jak go uczyła Rydra Wong.

- Czy wszystko z nią w porządku, panie generale? Czy to jakiś problem medyczny?

- Nie wiem - odparł generał. - W moim wewnętrznym gabinecie jest kobieta - i jest mężczyzna.

Nie jestem w stanie stwierdzić, czy kobieta jest Rydrą Wong. Na pewno nie jest to ta sama kobieta, z którą tamtego wieczora na Ziemi rozmawiałem o Babel-17.

T'mwarba był już w drzwiach, już otworzył je na oścież.

Kobieta i mężczyzna unieśli wzrok. Mężczyzna był potężnie zbudowany, o włosach barwy bursztynu - po znaku na jego ramieniu doktor poznał, że to skazaniec. Kobieta...

Oparł pięści na biodrach.

- Dobrze, co właśnie chciałem ci powiedzieć?

- Niezrozumienie - odparła.

Sposób oddychania, kształt dłoni zwiniętych na kolanach, układ ramion, te wszystkie szczegóły, których znaczenie demonstrowała mu tysiące razy: nauczył się odczytywać dużo już z samej długości oddechu. Przez chwilę żałował, że się tego nauczył, bo tego wszystkiego już nie było, a nieobecność owych elementów w znajomym ciele była znacznie gorsza niż blizny i zniekształcenia. Zaczął znów, głosem, którym zwykle do niej przemawiał, gdy ją chwalił albo karcił.

- Miałem zamiar powiedzieć, że jeśli to żart, moja miła... to przetrzepię ci skórę. - Zakończył głosem, którym rozmawiał z obcymi, domokrażcami i ludźmi, którzy pomylili numer; czuł się niepewnie. - Jeśli nie jesteś Rydrą, to w takim razie kim?

- Niezrozumienie pytania - odparła. - Generale Forester, czy to doktor Markus T'mwarba?

- Tak, to on.

- Proszę posłuchać - zwrócił się T'mwarba do generała. - Jestem pewien, że przerobiliście już wszystkie metody identyfikacji: odciski palców, tempo przemiany materii, wzorce siatkówki.

- To jest ciało Rydry Wong, doktorze.

- Dobrze: hipnoza, imprinting eksperymentalny, wszczepienie presynapsyzowanej kory mózgowej - czy są jeszcze jakieś inne metody wszczepienia osobowości do głowy kogoś innego?

- Tak. W sumie siedemnaście. Nie ma śladu po żadnej z nich. - Generał cofnął się w stronę drzwi. - Dała jednoznacznie do zrozumienia, że chce rozmawiać wyłącznie z panem. Będę zaraz obok. - Zamknął drzwi.

- Chyba raczej wiem, kim nie jesteś - powiedział T'mwarba po chwili.

Kobieta zamrugnęła i odezwała się:

- Wiadomość od Rydry Wong, przekazywana dosłownie, niezrozumienie znaczenia. - Nagle na jej twarzy pojawił się znajomy wyraz, jak animacja. Jedną ręką ujęła drugą i pochyliła się lekko do tyłu. - Mocky, cieszę się, że tu jesteś. Nie mogę tego utrzymać zbyt długo, więc słuchaj. Babel-17 przypomina z grubsza Onoff, Algol, Fortran. Jednak jestem telepatką, tylko że nauczyłam się, jak to kontrolować. Rozwiązałam... rozwiązaliśmy problem prób sabotażu z użyciem Babel-17. Tylko że jesteśmy więźniami, a jeśli chcesz nas wydostać, zapomnij o tym, kim jestem. Użyj tego, co jest na końcu tej taśmy, i dowiedz się, kim on jest! - Wskazała na Rzeźnika.

Animacja znikła i jej rysy zeszywniały. Cała transformacja sprawiła, że T'mwarbie brakło tchu. Potrząsnął głową i zaczął znów oddychać.

Po chwili wkroczył do gabinetu generała.

- Kim jest ten więzień? - spytał rzeczowym tonem.

- Próbuje to ustalić. Miałem nadzieję, że dostanę raport dziś rano. - Coś na biurku błysnęło. - O, właśnie jest. - Otworzył szufladę w biurku i wyjął teczkę. Rozerwał pieczęć i znieruchomiał. -

Powie mi pan, co to są Onoff, Algol i Fortran?

- Na wszelki wypadek podsłuchiwał pan przez dziurkę od klucza. - T'mwarba westchnął i usiadł w nadmuchiwanym fotelu przed biurkiem. - To starożytne, dwudziestowieczne języki - sztuczne języki, których używano do programowania komputerów, zaprojektowane specjalnie dla maszyn. Onoff był najprostszy. Sprowadzał wszystko do kombinacji dwóch słów, „on” i „off”, „włączone” i „wyłączone”, czyli do systemu dwójkowego. Inne były bardziej skomplikowane.

Generał skinął głową i dokończył otwieranie teczek.

- Ten facet przyleciał z nią statkiem pajakiem. Załoga bardzo się oburzyła, kiedy spróbowaliśmy umieścić ich w oddzielnych pomieszczeniach. - Wzruszył ramionami. - To jakieś szaleństwo. Po co ryzykować? Zostawiliśmy ich razem.

- Gdzie jest załoga? Nie próbowali panu pomóc?

- Oni? To jak próba rozmowy ze zjawą z koszmarne snu. Transportowcy. Kto by chciał z nimi gadać?

- Rydra chciała - odparł doktor T'mwarba. - Ja też mogę spróbować.

- Jeśli ma pan ochotę, proszę bardzo. Trzymamy ich w Kwaterze. - Otworzył teczkę, po czym skrzywił się. - Dziwne. Mamy jego dokładny życiorys w pięcioletnim okresie, który zaczął się od jakiejś drobnej kradzieży, czynów brutalnych, a potem następuje eskalacja do paru morderstw i obrabowania banku. - Generał ściągnął usta i pokiwał głową z aprobatą. - Dwa lata przebywał w jaskiniach karnych na Titinie, uciekł - o rany, musiał być niezły. Zniknął w Rozpadlinie Specellego, gdzie albo zginął, albo zaciągnął się na statek cień. Cóż, na pewno nie zginął. Ale wygląda na to, że przed grudniem sześćdziesiątego pierwszego - generał zmarszczył brwi - w ogóle nie istniał. Nazywano go zwykle Rzeźnikiem.

Generał rzucił się nagle w stronę szuflady i wyjął z niej kolejną teczkę.

- Kreto, Ziemia, Minos, Callisto - przeczytał, po czym klepnął teczkę wieczkiem dłoni. - Aleppo, Rhea, Olimpia, Paradise, Dis!

- Co to? Trasa Rzeźnika, zanim znalazł się na Titinie?

- Na to wygląda. Ale także miejsca, gdzie dochodziło do aktów sabotażu, które zaczęły się w grudniu sześćdziesiątego pierwszego. Jakiś czas temu ustaliliśmy ich powiązanie z Babel-17. Dopiero analizowaliśmy ostatnie przypadki, ale pojawił się ten wzorzec z ostatnich lat. Raporty o jakichś transmisjach radiowych. Sądzi pan, że panna Wong przywiozła nam tu tego sabotażystę?

- To możliwe. Tylko że Rydry tu nie ma.

- Cóż, rzeczywiście. Sądziłem, że właśnie pan to powie.

- Z podobnych powodów przypuszczałbym, że ten dżentelmen, który z nią przybył, to nie Rzeźnik.

- W takim razie kto?

- Jeszcze nie wiem. Ale uzyskanie tej informacji jest bardzo ważne. - Wstał. - Gdzie mogę znaleźć załogę Rydry?

3.

Odlotowe miejsce! - oświadczył Calli, gdy wysiedli z windy na ostatnim piętrze Wieży Sojuszu.

- Fajnie - rzekła Mollya - że można sobie pospacerować.

Maître d'hôtel w białym kitlu podszedł do nich po dywanie z cywety, spojrzał niepewnym wzrokiem na Mosiądza i zapytał:

- To pańscy goście, doktorze T'mwarba?

- Zgadza się. Rezerwowałem stolik w niszy przy oknie. Może pan od razu podać drinki, już zamówiłem.

Kelner skinął głową, obrócił się i zaprowadził ich pod wielkie łukowate okno, które wychodziło na Plac Sojuszu. Kilku gości obejrzało się za nimi.

- Kwatera Główna Sojuszu może być bardzo przyjemnym miejscem - uśmiechnął się T'mwarba.

- Jak ma się pieniądze - odparł Ron. Wygiął szyję, by spojrzeć na niebiesko-czarny sufit, na którym umieszczono światelka tak, by wyglądały jak gwiazdozbiory widziane z Rymiku, i zagwizdał cicho. - Czytałem o takich miejscach, ale nigdy w żadnym nie byłem.

- Szkoda, że nie mogłem zabrać dzieciaków - rzekł Ślimak. - Kolacja u barona zrobiła na nich wrażenie.

We wnęce kelner odsunął krzesło dla Mollyi.

- Barona Ver Dorco w Stoczni Wojennej?

- Tak - odparł Calli. - Pieczona baranina, wino śliwkowe i najpiękniejsze pawie, jakie widziałem w ciągu ostatnich dwóch lat. Szkoda, że nawet nie spróbowałem.

- Jednym z drażniących zwyczajów arystokracji - zaśmiał się T'mwarba - jest to, że jej członkowie przy najmniejszej prowokacji zmieniają się w przedstawicieli mniejszości etnicznych. Ale niewielu z nas już zostało, a większość jest na tyle dobrze wychowana, że nie używa tytułów.

- Świętej pamięci Mistrz Broni z Armsedge - poprawił Ślimak.

- Czytałem informacje o jego śmierci. Rydra tam była?

- Wszyscy byliśmy. Dość zwariowany wieczór.

- Co tam się właściwie stało?

Mosiądz potrząsnął głową.

- Cóż, 'ani ka'itan 'osza tam trochę wcześniej... - Opowiedział całą historię, a pozostali dorzucali różne szczegóły. Doktor T'mwarba rozsiadł się wygodnie na krześle.

- W gazetach opisywali to inaczej. Pewnie nie mogli napisać prawdy. Co to był ten TW-55?

Mosiądz wzruszył ramionami.

Bezielesnofon w uchu doktora pstryknął i rozległ się w nim głos:

- To ludzka istota, którą od urodzenia poddano takiej obróbce, że przestała nią być - rzekło Oko. - Byłem z panią kapitan, kiedy baron go jej pokazywał.

Doktor T'mwarba skinął głową.

- Jeszcze o czymś chcielibyście mi powiedzieć?

Ślimak, który usiłował umościć się wygodnie na twardym krześle, oparł się brzuchem o krawędź stołu.

- A po co?

Pozostali natychmiast umilkli.

Gruby mężczyzna potoczył wzrokiem po reszcie załogi.

- Po co my mu to wszystko opowiadamy? Wygada to gwiazdowncom.

- Zgadza się - odparł T'mwarba. - Interesuje mnie wszystko, co może pomóc Rydrze.

Ron odstawił szklanę coli z lodem.

- Gwiazdowcy wcale nie byli dla nas mili, doktoru.

- Oni nie zabierają nas do drogich restauracji. - Calli wetknął sobie serwetkę za naszyjnik z cyrkonii, który nosił przy szczególnych okazjach. Kelner postawił na stole miskę z frytkami, a potem odwrócił się z półmiskiem hamburgerów.

Po drugiej stronie stołu Mollya sięgnęła po smukłą czerwoną butelkę i zaczęła jej się badawczo przyglądać.

- Ketchup - wyjaśnił T'mwarba.

- Ooooch! - syknęła Mollya i odstawiła butelkę na adamaszkowy obrus.

- Szkoda, że Diavala tu nie ma. - Ślimak rozsiadł się wygodnie i przestał gapić się na doktora. - To prawdziwy artysta rzeźbiący w karbosyncie, potrafi z tego, co wychodzi z podajnika białkowego, stworzyć bażanta nadziewanego orzechami, filet z lucjana w majonezie i dobre, solidne żarcie dla głodnej załogi statku. Ale takie coś? - Ostrożnie rozsmarował musztardę na bułeczce. - Dajcie mu funt prawdziwego mięsa, a założę się, że wybiegnie z kambuza, bo będzie się bał, że go ugryzie.

- A co się stało z 'anią ka'itan? - spytał Mosiądz. - Wszyscy chcieli o to s'ytać.

- Nie wiem. Ale jeśli powiecie mi wszystko, co wiecie, to może uda mi się coś z tym zrobić.

- Kolejny 'owód, dla którego nikt nie chce nic 'owiedzieć - mówił dalej Mosiądz - jest taki, że ktoś z nas nie chce, żeby 'an coś dla niej robił. Ale nie wiemy, kto to.

Pozostali znów umilkli.

- Na statku był sz'ieg. Wszyscy o tym wiemy. Dwa razy 'róbował zniszczyć statek. Chyba on jest od'owiedzialny za to, co się stało z 'anią ka'itan i Rzeźnikiem.

- Wszyscy tak przypuszczamy - dodał Ślimak.

- I tego właśnie nie chcieliście powiedzieć gwiazdowcom?

Mosiądz skinął głową.

- Powiedz mi o płytkach i oszustwie przy starcie, zanim dotarliśmy do Tarika - rzekł Ron.

Mosiądz opowiedział wszystko.

- Gdyby nie Rzeźnik - pstryknął znów bezcielesnofon - wskoczylibyśmy do normalnej przestrzeni w supernowej Łabędź-24. Rzeźnik przekonał Tarika, żeby nas wyciągnął i wziął na pokład.

- Ach, tak. - Doktor T'mwarba rozejrzał się wokół stołu. - Zatem jeden z was jest szpiegiem.

- To może być ktoś z dzieciaków - podsunął Ślimak. - Niekoniecznie ktoś z siedzących przy tym stole.

- Jeśli tak jest - rzekł T'mwarba - to mówię teraz do całej reszty. Generał Forester nie mógł z was niczego wydobyć. Rydra potrzebuje pomocy. To naprawdę proste.

Przedłużającą się ciszę przerwał Mosiądz.

- Niedawno straciłem statek z 'owodu Najeźdźców, doktoru; cały 'luton dzieciaków i 'onad 'ołowę oficerów. Umieć nieźle walczyć i byłem dobrym 'ilotem, jak służyłem 'od innymi ka'itanami, ale 'o tej aferze z Najeźdźcami zostałem 'echowcem. Ka'itan Wong jest nie z tego świata. Ale skądkolwiek by była, ma zasady, i dzięki tym zasadom 'owiedziała mi: „odoba mi się twoja robota i chcę cię zatrudnić”. A ja jestem jej wdzięczny.

- Ona tyle wie - wtrącił Calli. - To był najbardziej szalony rejs, jaki mi się trafił. Światy. Właśnie o to chodzi, doktoru. Ona skacze od świata do świata i zabiera cię ze sobą. Kto ostatni raz zabrał mnie do barona na kolację i aferę szpiegowską? A następnego dnia jadłem z piratami. A teraz jestem tu. Pewnie, że chcę pomóc.

- Calli strasznie się przejmuję swoim żołądkiem - przerwał mu Ron. - A najważniejsze jest, że ona zmusza do myślenia, doktorku. Dzięki niej zacząłem myśleć o Mollyi i Callim. Wie pan, ona była w Trójce z Muelsem Aranlyde, facetem, który napisał *Gwiazdę Imperium*. Pewnie pan wie, skoro był pan jej lekarzem. Tak czy inaczej, człowiek zaczyna myśleć o tym, że na innych światach też są ludzie - jak mówi Calli - i ci ludzie tworzą broń, i piszą książki, i te światy są prawdziwe. Jak się w nie uwierzy, człowiek zaczyna wierzyć w siebie. A kiedy ktoś, kto potrafi coś takiego, potrzebuje pomocy, to się pomaga.

- Doktorze - odezwała się Mollya - ja byłam martwa. Ona mnie ożywiła. Co mogę zrobić?

- Powiedz mi o wszystkim, co wiesz - nachylił się i splótł palce - o Rzeźniku.

- O Rzeźniku? - spytał Mosiądz. Cała reszta wyglądała na zdziwionych. - Dlaczego o nim? Nie wiemy o nim nic 'oza tym, że on i 'ani ka'itan muszą być ze sobą blisko.

- Byliście razem na pokładzie statku przez trzy tygodnie. Opowiedzcie mi o wszystkim, co robił. Spojrzeli po sobie w milczeniu.

- Czy cokolwiek sugerowało, skąd on może być?

- Z Titina - odparł Calli. - Ma piętno na ramieniu.

- Zanim trafił na Titin, jakieś pięć lat wcześniej. Wicie, problem polega na tym, że on sam nie wie.

Wyglądali na jeszcze bardziej zmieszanych.

- Jego język - odezwał się w końcu Mosiądz. - Ka'itan mówiła, że on mówił językiem, w którym nie ma 'ojęcia „ja”.

Doktor T'mwarba skrzywił się jeszcze bardziej, a bezcielesnofon przemówił znów:

- Ona go nauczyła, jak odróżniać „ja” od „ty”. Spacerowali wieczorem po cmentarzu, a my unosiliśmy się nad nim, więc słyszeliśmy, jak uczy go rozróżniać.

- „Ja” - mruknął T'mwarba - to już jakiś punkt zaczepienia. - Rozsiadł się wygodnie. - To zabawne. Wydawało mi się, że wiem o Rydrze wszystko, czego tylko można się dowiedzieć. A tymczasem wiem tak niewiele o...

Bezielesnofon pstryknął po raz trzeci.

- Nie wie pan o gwarku.

T'mwarba był zaskoczony.

- Oczywiście, że wiem. Byłem tam.

Bezielesna załoga zaśmiała się cicho.

- Ale nigdy nie powiedziała panu, dlaczego się tak wystraszyła.

- Była to histeryczna reakcja związana z jej niedawną chorobą...

Znów widmowy rechot.

- Dżdżownica, doktorze T'mwarba. Ona wcale nie bała się ptaka. Bała się telepatycznego obrazu wielkiego robala, który pełźnie w jej stronę; robala, którego wyobrażał sobie ptak.

- Powiedziała wam o tym? - A nigdy nie powiedziała tego mnie, tak miał zakończyć to zdanie, które rozpoczęło się złością, a zakończyło zdumieniem.

- Światy - powtórzył duch. - Czasem światy istnieją tuż przed naszymi oczami, a nigdy ich nie widzimy. Ta sala może być wypełniona fantomami - nigdy pan ich nie zobaczy. Nawet reszta załogi nie wie tak naprawdę, co w tej chwili mówimy. Ale pani kapitan Wong nigdy nie używała bezcielesnofonu. Znalazła sposób na rozmawianie z nami bez niego. Wędrowała po różnych światach i przyłączała się do nich - i to jest ważne - zarówno ona, jak i one rosły.

- W takim razie ktoś musi się dowiedzieć, z jakiego świata, twojego, mojego czy jej, pochodził Rzeźnik. - Pamięć podsunęła mu rytmiczne zakończenie i zaśmiał się. Inni zrobili zdumioną minę. -

Robak. *Gdzieś w raju, teraz, robak, robak.* To był jeden z jej pierwszych wierszy. I nigdy nie przyszło mi to do głowy.

4.

- Mam być zadowolony? - spytał T'mwarba.

- Ma pan wykazać zainteresowanie - odparł generał Forester.

- Przyjrzał się pan mapie hiperstatycznej i odkrył, że próby sabotażu w ciągu ostatnich pięciu i pół roku odnotowano w normalnej przestrzeni w całej galaktyce, i znajdują się one w odległości skoku krążownikiem z Rozpadliny Specellego. Odkrył pan także, że podczas pobytu Rzeźnika na Titinie nie było żadnych „wypadków”. Innymi słowy, odkrył pan, że Rzeźnik może być odpowiedzialny za całe to zamieszanie i wynika to z miejsc jego fizycznego pobytu. Nie, wcale nie jestem zadowolony.

- Dlaczego?

- Bo on jest ważną osobą.

- Ważną?

- Wiem, że... jest ważny dla Rydry. Załoga mi o tym powiedziała.

- On? - I wtedy zrozumiał. - On?! Och, nie. Tylko nie on. To jest najniższa forma... Nie, nie on. Zdrada, sabotaż, nie wiadomo ile morderstw. To znaczy, on...

- Pan nie wie, kim on jest. A jeśli to on jest odpowiedzialny za ataki z wykorzystaniem Babel-17, jest z natury rzeczy równie niezwykły jak Rydra. - Doktor wstał z nadmuchiwanego fotela. - A teraz proszę mi pozwolić wypróbować mój pomysł. Pańskich wysłuchuję od rana. A mój prawdopodobnie zadziała.

- Ale ja nadal nie rozumiem, czego pan chce.

Doktor T'mwarba westchnął.

- Przede wszystkim chcę prosić o umieszczenie Rydry i Rzeźnika w najlepiej strzeżonym, najciemniejszym, najgłębszym lochu Kwatery Głównej, jaki macie.

- Ale my nie mamy lo...

- To jakaś kpina? - spytał spokojnie T'mwarba. - Znajdujemy się w stanie wojny, prawda?

Generał skrzywił się.

- Po co aż takie środki ostrożności?

- Z powodu całego zamieszania, jakie ten facet dotąd spowodował. I jemu nie spodoba się to, co zamierzam zrobić. Więc byłbym zadowolony, gdyby ktoś stanął po mojej stronie. Na przykład całe siły wojskowe Sojuszu. Wtedy czułbym, że mam jakieś szanse.

Rydra siedziała po jednej stronie celi, Rzeźnik po drugiej. Oboje byli owinięci wyrastającymi ze ścian pokrytymi plastikiem konstrukcjami przypominającymi krzesła. T'mwarba spojrzał na sprzęt, który właśnie przewożono z sąsiedniego pomieszczenia.

- Nie mamy lochów i narzędzi tortur, prawda, generale? - Zauważył brunatnoczerwona plamę, która zasychała na kamiennej podłodze u jego stóp, i potrząsnął głową. - Wolałbym, żeby całe to pomieszczenie splukać kwasem i wydezynfekować. Jak przypuszczam, było mało czasu.

- Ma pan tu cały sprzęt, doktorze? - spytał generał, ignorując prowokację T'mwarby. - Gdyby pan zmienił zdanie, za piętnaście minut mogę tu ściągnąć całe stado specjalistów.

- To pomieszczenie jest trochę za małe - rzekł T'mwarba. - A ja sam mam tu dziewięciu specjalistów. - Oparł dłoń na średnich rozmiarów komputerze, który ustawiono w rogu razem z całą resztą. - Wolałbym także, żeby pan sobie stąd poszedł, ale i tak pan nie wyjdzie, więc proszę siedzieć cicho.

- Powiedział pan - zauważył generał Forester - że domaga się najostrzejszych środków bezpieczeństwa. Mogę tu ściągnąć paru stukilowych mistrzów aikido.

- Ja sam mam czarny pas w aikido, generale. Myślę, że nas dwóch wystarczy.

Brwi generała powędrowały w górę.

- Znam karate. Aikido było akurat tą sztuką walki, której nigdy nie rozumiałem. Ma pan czarny pas?

T'mwarba poprawił jakiś element maszynerii i skinął głową.

- Rydra też. Nie wiem, co potrafi Rzeźnik, więc na wszelki wypadek solidnie ich przywiązałem.

- Doskonale. - Generał dotknął czegoś przy ościeżnicy. Metalowa płyta opuściła się powoli. - Będziemy tu przez pięć minut. - Płyta dotknęła podłogi i szczelina między nią a podłogą znikła. - Drzwi są jak zaspawane. Jesteśmy za dwunastoma warstwami obrony, każda nie do przejścia. Nikt nie zna lokalizacji tego miejsca, nawet ja.

- Po pokonaniu tych wszystkich labiryntów ja z pewnością bym go nie wskazał - odparł T'mwarba.

- Na wypadek gdyby ktoś jednak próbował nas namierzać, przemieszczamy się automatycznie co pięćdziesiąt sekund. Nie wydobędzie się. - Generał wskazał gestem Rzeźnika.

- Zakładam, że nikt nie dostanie się z zewnątrz. - T'mwarba pstryknął przełącznikiem.

- Proszę mi to opowiedzieć jeszcze raz.

- Lekarze na Titinie twierdzą, że Rzeźnik cierpi na amnezję. Oznacza to, że jego świadomość jest ograniczona do tej części mózgu, w której połączenia między synapsami zaczęły się wytwarzać w sześćdziesiątym pierwszym. A to urządzenie - doktor uniósł metalowy hełm i włożył go na głowę Rzeźnika, patrząc na Rydrę - generuje serię „nieprzyjemności” w tym segmencie mózgu, aż badany, że tak to ujmę, zostanie przepędzony z tej części mózgu do innej.

- A jeśli po prostu nie ma połączenia między tą częścią kory a innymi?

- Jeśli będzie mu wystarczająco nieprzyjemnie, wytworzy sobie nowe.

- Biorąc pod uwagę życie, jakie wiódł - skomentował generał - zastanawiam się, czy jest coś na tyle nieprzyjemnego, żeby wypędzić go z jego głowy.

- Onoff, Algol, Fortran - rzekł doktor T'mwarba.

Generał patrzył, jak doktor reguluje urządzenie.

- Zwykle wytwarza to dla mózgu sytuację przypominającą znalezienie się w kłębowisku żmij. Jednak w przypadku umysłu, który nie zna pojęcia „ja”, lub nie używał go od bardzo dawna, taktyka strachu może się po prostu nie sprawdzić.

- A co się sprawdzi?

- Algol, Onoff i Fortran, z pomocą golibrody i tego, że dziś jest środa.

- Doktorze T'mwarba, nie zadawałem sobie trudu sprawdzenia pańskich psychoindeksów...

- Wiem, co robię. W żadnym z tych języków komputerowych też nie ma pojęcia „ja”. Dzięki temu nie ma w nich takich zdań jak „Ja potrafię rozwiązać ten problem” albo „Ja nie jestem zainteresowany”. Ani „Ja wolę marnować czas na co innego”. Generale, w małym miasteczku po hiszpańskiej stronie Pirenejów jest tylko jeden golibroda. Golibroda goli wszystkich mężczyzn w miasteczku, którzy nie golą się sami. Czy golibroda goli sam siebie, czy nie?

Generał zmarszczył brwi.

- Nie wierzy mi pan? Ależ, panie generale, ja zawsze mówię prawdę. Z wyjątkiem środy: w każdą środę mówię same kłamstwa.

- Ale dziś jest środa! - krzyknął generał, najwyraźniej zaczynając się denerwować.

- Jakie to wygodne. Panie generale, proszę nie wstrzymywać oddechu, bo zacznie pan sinieć.

- Ale ja nie wstrzymuję oddechu!

- Nie powiedziałem, że pan wstrzymuje. Ale proszę powiedzieć „tak” albo „nie”: czy przestał pan już bić żonę?

- Do licha, nie mogę odpowiedzieć na takie pytanie...

- W takim razie, myśląc o swojej żonie, podejmując decyzję, czy chce pan wstrzymać oddech, czy nie, pamiętając o tym, że jest środa, proszę mi powiedzieć: kto goli golibrodę?

Zmieszanie generała znalazło w końcu ujście w postaci śmiechu.

- Paradoksy! Chce pan powiedzieć, że będzie pan go karmił paradoksami, którym będzie musiał stawić czoło.

- Gdyby zrobić coś takiego komputerowi, przepali się, chyba że będzie tak zaprogramowany, żeby się wyłączyć, gdy na taki natrafi.

- A jeśli się odcieleśni?

- Sądzi pan, że taki drobiazg jak odcieleśnienie zdoła mnie powstrzymać? - Wskazał kolejną maszynę. - Wtedy to nam się przyda.

- Jeszcze tylko jedno. Skąd pan wie, jakie paradoksy mu załadować? Przecież te, które mi pan pokazał, nie wystarczyłyby...

- Nie wystarczyłyby. Poza tym istnieją tylko w angielskim i paru innych analitycznie nieporadnych językach. Paradoksy wykładają się na lingwistycznych manifestacjach języka, w którym są wyrażane. W przypadku hiszpańskiego golibrody i środy przyczyną są słowa „każdy” i „wszystkie”, bo obejmują sprzeczne znaczenia. Konstrukcja „nie... bo” również jest dwuznaczna. Tak samo z czasownikiem „przestać”. Taśma, którą przesłała mi Rydra, zawierała gramatykę i słownictwo Babel-17. Fascynujące. To najbardziej precyzyjny język analityczny, jaki można sobie wyobrazić. Ale to dlatego, że wszystko jest elastyczne, a pojęcia występują w dużych zbiorach przystających elementów, którymi rządzą te same słowa. Oznacza to, że liczba paradoksów, jakie można stworzyć, jest oszałamiająca. Rydra zapełniła całą drugą połowę taśmy kilkoma najbardziej pomysłowymi. Jeśli umysł ograniczony do Babel-17 je wyłapie, przepali się albo załamie.

- Albo ucieknie na drugą stronę mózgu. Rozumiem. W takim razie do dzieła. Proszę zaczynać.

- Zacząłem dwie minuty temu.

Generał przyjrzał się Rzeźnikowi.

- Nic nie widzę.

- Proszę poczekać jeszcze minutę. - Znów coś wyregulował. - System paradoksów, który uruchomiłem, potrzebuje trochę czasu na przegryzienie się przez świadomą część mózgu. Jest tam mnóstwo synaps, które muszą się włączyć albo wyłączyć.

Wargi solidnie umięśnionej twarzy nagle odsunęły się, ukazując zęby.

- Zaczyna się - rzekł doktor T'mwarba.

- Co się dzieje z panną Wong?

Na twarzy Rydry pojawił się ten sam grymas.

- Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie - westchnął T'mwarba. - A równocześnie się tego obawiałem. Są powiązani telepatycznie.

W okolicach fotela Rzeźnika rozległ się trzask. Opaska rozluźniła się i mężczyzna uderzył tyłem głowy w oparcie.

Rydra wydała z siebie głębokie zawrodoenie, które nagle się urwało. Mrugnęła dwa razy, zdezorientowana, i krzyknęła:

- Och, Mocky, to boli!

Jeden z pasów przytrzymujących ramię Rzeźnika opadł i pięść wystrzeliła w powietrze.

Światelko obok kciuka doktora T'mwarby z białego przeszło w bursztynowe i jego palec wylądował na przełączniku. Coś się działo z twarzą Rzeźnika: najwyraźniej się odprężył.

- On się odcie... - zaczął generał Forester.

Ale Rzeźnik sapnął.

- Wypuść mnie stąd, Mocky! - jęknęła Rydra.

Doktor T'mwarba przesunął ręką po mikroprzełączniku i pasy, które przytrzymały jej czoło, łydki, nadgarstki i ramiona zaczęły się rozpinąć z charakterystycznym pyknięciem. Rydra popędziła na drugą stronę celi do Rzeźnika.

- Jego też?

Skinęła głową.

Pstryknął drugim mikroprzełącznikiem i Rzeźnik osunął się w jej ramiona. Opadła na podłogę pod tym ciężarem i od razu przesunęła kłykciami po zeszywniałych mięśniach jego pleców.

Generał Forester celował w nich z wibropistoletu.

- Do licha, kim on jest i skąd pochodzi? - dopytywał się.

Rzeźnik znów zaczął się osuwać, ale tym razem dotknął rękami podłogi i podparł się.

- Ja... zaczął. - Jestem... jestem Nyles Ver Dorco. - Jego głos stracił mineralną szorstkość. Teraz mówił głosem wyższym o jedną czwartą tonu i arystokratycznie przeciągał samogłoski. - Armsedge. Urodziłem się na Armsedge. I... zabiłem mojego ojca!

Metalowa płyta w ścianie uniosła się. Do celi przedostał się dym i smród gorącego metalu.

- Do licha, co to za zapach? - spytał generał. - Dzieje się coś dziwnego.

- Przypuszczam, że komuś udało się pokonać pierwsze pół tuzina zabezpieczeń tego pomieszczenia - rzekł T'mwarba. - Gdyby to trwało jeszcze parę minut, już by nas tu nie było.

Tupot nóg. Wysmarowany sadzą gwiazdowiec przekuśtykał przez drzwi.

- Panie generale, nic się panu nie stało? Ściana zewnętrzna eksplodowała i ktoś jakimś cudem wyłączył zamki radiowe na podwójnych bramach. Coś przebiło się do połowy ścian ceramicznych. Wygląda to na laser albo coś podobnego.

Generał zbladł.

- Kto próbuje się tu dostać?

Doktor T'mwarba spojrział na Rydrę.

Rzeźnik wstał, przytrzymując się jej ramienia.

- Parę bardziej pomysłowych modeli należących do mojego ojca, bliskich kuzynów TW-55. Pracują na sześciu niezbyt eksponowanych, ale wpływowych stanowiskach w Kwaterze Głównej Sojuszu. Ale nie musicie się nimi przejmować.

- W takim razie - oznajmił generał Forester wyważonym tonem - wszyscy natychmiast do mojego biura i wyjaśniać, co tu się dzieje, u licha.

- Nie. Mój ojciec nie był zdrajcą, panie generale. Po prostu chciał, żebym został najlepszym w Sojuszu tajnym agentem. Ale bronią nie jest narzędzie, lecz raczej wiedza, jak z niego korzystać. A Najeźdźcy ją mieli; tą wiedzą jest Babel-17.

- Dobrze. Może pan być Nylesem Ver Dorco. Ale jeśli tak jest, tym bardziej nie rozumiem kilku rzeczy, które rozumiałem jeszcze godzinę temu.

- Nie powinien za dużo mówić - wtrącił doktor T'mwarba. - Jego układ nerwowy został narażony na ogromny wysiłek.

- Nic mi nie jest, panie doktorze. Mam zapasowy. Moje odruchy kształtują się powyżej średniej i mam całkowitą kontrolę nad swoją strukturą anatomiczną, łącznie z tempem rośnięcia paznokci u

stóp. Mój ojciec był bardzo sumiennym fachowcem.

Generał Forester oparł obcas buta o przednią część biurka.

- Niech mówi dalej. Bo jeśli nie zrozumie tego wszystkiego w ciągu najbliższych pięciu minut, posadzę was wszystkich.

- Mój ojciec wpadł na ten pomysł, jak tylko rozpoczął prace nad hodowlą zindywidualizowanych szpiegów. Zrobił ze mnie najbardziej idealną istotę ludzką, jaką można sobie wyobrazić. Potem wysłał mnie na terytorium Najeźdźców z nadzieją, że dokonam tam jak największych zniszczeń. Rzeczywiście sporo namieszałem, zanim mnie schwytali. Kolejną rzeczą, którą tatuś sobie uświadomił, był fakt, że przy produkcji nowych szpiegów czyni szybkie postępy i w końcu nowe modele mnie przegonią - tak się musiało stać. Takiemu TW55, na przykład, to mógłbym buty czyścić. Wolał jednak, żeby kontrola nad operacją pozostała w rękach rodziny - na pewno powodowała nim rodzinna duma. Każdy szpieg z Armsedge może otrzymywać rozkazy przez radio zgodnie ze wcześniej ustalonym kluczem. W rdzeń przedłużony wszczepiono mi nadajnik hiperstatyczny; większość jego części skonstruowano z elektroplastiplazmy. Nieważne, jak skomplikowani byli przyszli szpiedzy: nadal ja sterowałem całą tą bandą. W ciągu ostatnich kilku lat na terytorium wroga wysłano ich kilka tysięcy. Gdy mnie złapano, były to całkiem pokaźne siły.

- Dlaczego pana nie zabili? - spytał generał. - Czyżby odkryli, co się stało, i skierowali całą tę armię ludzi przeciwko nam?

- Odkryli, że jestem bronią Sojuszu. Ale ten nadajnik hiperstatyczny rozpada się w pewnych warunkach, a pozostałości zostają usunięte razem z innymi produktami przemiany materii. Wyhodowanie nowego trwa jakieś trzy tygodnie. Nigdy więc się nie dowiedzieli, że to ja steruję resztą. Ale wpadli na pomysł zastosowania własnej tajnej broni: Babel-17. Zafundowali mi więc całkowitą amnezję, pozbawili wszelkich możliwości porozumiewania się poza Babel-17, a potem pozwolili mi uciec z Nueva-nueva Jorku na terytorium Sojuszu. Nie odebrałem żadnych rozkazów na temat sabotażu. Moje możliwości, kontakt z innymi szpiegami - to wszystko objawiało mi się bardzo wolno i bardzo boleśnie. A całe moje życie sabotażysty udającego przestępcę - po prostu tak wyszło. Jak i dlaczego - sam dalej nie wiem.

- Panie generale, chyba mogę to wyjaśnić - wtrąciła Rydra. - Można zaprogramować komputer tak, żeby popełniał błędy, ale nie robi się tego, krzyżując druty, tylko manipulując „językiem”, którego go uczymy, żeby „myślał”. Brak pojęcia „ja” wyklucza jakikolwiek samokrytycyzm. W rzeczywistości w ogóle wyłącza świadomość procesu symbolicznego - a w ten właśnie sposób odróżniamy rzeczywistość od naszego wyrażania rzeczywistości.

- Że co?

- Szympany - przerwał jej T'mwarba - mają na tyle dobrą koordynację fizyczną, że mogłyby nauczyć się prowadzić samochód, i są na tyle inteligentne, żeby umieć rozróżnić czerwone światło od zielonego. Gdyby jednak nawet nauczyć szympansa prowadzenia samochodu, nie można by go wypuścić na drogę, bo jeśli zobaczy zielone światło, to będzie jechał, dopóki nie rozwali się o mur, a jeśli będzie czerwone, zatrzyma się na środku skrzyżowania i nie ruszy nawet jeśli ciężarówka będzie próbowała go przejechać. Nie potrafią korzystać z procesu symbolicznego. Dla nich czerwone to „stój”, zielone to „jedź”.

- Tak czy inaczej - mówiła dalej Rydra - Babel-17 jako język zawiera predefiniowany program, który kazał Rzeźnikowi stać się przestępcą i sabotażystą. Gdyby wypuścić kogoś pozbawionego pamięci w obcym kraju i wszczepić mu tylko słowa oznaczające narzędzia i części maszyn, prawdopodobnie zostałby mechanikiem. Odpowiednio manipulując jego słownictwem, można by równie łatwo zrobić z niego żeglarza albo malarza. Babel-17 jest również tak idealnie analitycznym

językiem, że zapewnia techniczne mistrzostwo w każdej sytuacji, jaką można sobie wyobrazić. A brak pojęcia „ja” maskuje fakt, że choć to przydatny sposób radzenia sobie z wieloma rzeczami, nie jest jedyny.

- Chce pani powiedzieć, że z powodu tego języka można stać się wrogiem Sojuszu? - spytał generał.

- Cóż - odparła Rydra - przede wszystkim słowo oznaczające Sojusz w Babel-17 tłumaczy się dosłownie jako „ten-który-dokonał-inwazji”. A to dopiero początek. Zaprogramowano w nim mnóstwo diabolicznych rzeczy. Kiedy myślisz w Babel-17, wydaje ci się rzeczą doskonale logiczną zniszczenie własnego statku, a następnie zamaskowanie tego faktu autohipnozą, żeby nie udało ci się tego odkryć i powstrzymać samego siebie.

- Więc to jest nasz szpieg! - przerwał jej T'mwarba.

Rydra skinęła głową.

- Programuje on samowystarczalną schizoidalną osobowość w umyśle każdego, kto się go nauczy, wzmocnioną autohipnozą - co jest sprytne, gdyż wszystko w tym języku wydaje się „właściwe”, a każdy inny język sprawia wrażenie nieporadnego. Ta „osobowość” wykazuje główne pragnienie: zniszczyć Sojusz za wszelką cenę, a równocześnie ukryć się przed pozostałą częścią osobowości, dopóki pierwsza część nie będzie na tyle silna, żeby przejąć kontrolę. Coś takiego przydarzyło się nam. Nie mając doświadczeń Rzeźnika sprzed momentu przejęcia, nie byliśmy na tyle mocni, żeby zachować całkowitą kontrolę, ale przynajmniej udało się nam powstrzymać ich przed jakimiś destrukcyjnymi działaniami.

- Dlaczego nie udało im się zdominować cię całkowicie? - spytał T'mwarba.

- Nie liczyli na mój „talent”, Mocky - odparła Rydra. - Analizowałam to za pomocą Babel-17 i problem jest bardzo prosty. Ludzki układ nerwowy generuje szum radiowy. Oczywiście musiałyby mieć antenę o średnicy kilku tysięcy kilometrów, żeby wyciągnąć w tym szumie cokolwiek, co mogłoby mieć jakiś sens. W istocie jedyną rzeczą o zbliżonej powierzchni jest układ nerwowy drugiego człowieka. Nieliczni ludzie, jak ja, po prostu mają nad nim lepszą kontrolę. Osobowości schizoidalne nie są aż tak silne, a ja mam pewną kontrolę nad szumem, który wysyłam. Po prostu zakłócałam ich.

- A co ja mam zrobić z tymi schizoidalnymi agentami, którzy kryją się w waszych czaszkach? Dokonać na was lobotomii?

- Nie - rzekła Rydra. - Kiedy chcesz naprawić komputer, to nie robisz tego, przecinając połowę drutów. Poprawiasz język, wprowadzasz brakujące elementy i usuwasz dwuznaczności.

- Wprowadziliśmy już główne elementy - wyjaśnił Rzeźnik - jeszcze na cmentarzu Tarika. I jesteśmy na najlepszej drodze, żeby dokończyć ten proces.

Generał wstał wolno.

- To nie wystarczy. - Potrząsnął głową. - Doktorze T'mwarba, gdzie ta taśma?

- W mojej kieszeni. Była tam przez całe popołudnie - odparł T'mwarba, wyciągając szpulę.

- Zabieram to do wydziału kryptografii i zaczniemy wszystko od nowa. - Podeszedł do drzwi. - Aha, państwo oczywiście zostają pod kluczem! - Wyszedł, a cała trójka spojrzała po sobie porozumiewawczo.

5.

Tak, oczywiście, powinienem był wiedzieć, że ktoś, kto potrafi się przebić przez połowę zabezpieczeń do naszego najpilniej strzeżonego pomieszczenia i dokonywać aktów sabotażu w całym ramieniu galaktyki może uciec z mojego zamkniętego na klucz gabinetu!... Nie jestem przygłupem, ale pomyślałem sobie... Wiem, że pana nie obchodzi, co sobie pomyślałem, ale oni... Nie, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będą próbowali ukraść statek. Tak, oczywiście, ja... Nie. Rzecz jasna, nie zakładałem... Tak, to był jeden z naszych największych pancerników. Ale zostawili... Nie, nie będą atakować naszych... Nie, nie jestem w stanie się dowiedzieć, zostawili tylko list... Tak, zostawili mi na biurku list... Cóż, oczywiście, że mogę go panu przeczytać. Właśnie próbuję to zrobić od jakiegoś...

6.

Rydra weszła do przestronnej kajuty pancernika „Chronos”. Niosła Ratta na barana. Gdy postawiła go na podłodze, Rzeźnik odwrócił się od sterów.

- Jak im idzie?

- Ktoś ma poważne problemy z nowym układem sterów? - spytała Rydra.

Chłopiec z plutonu podrapał się za uchem.

- Nie wiem, pani kapitan. Prowadzenie tego statku wymaga mnóstwa roboty.

- Musimy wrócić do Rozpadliny i dać ten statek Tankowi i reszcie ludzi z „Jebel”. Mosiądz mówi, że nas tam dowiezie, jeśli tylko wy, dzieciaki, mu pomożecie.

- Spróbujemy. Strasznie dużo rozkazów dostajemy naraz. Powinienem już być na dole.

- Zaraz tam zejdiesz - odparła Rydra. - Chcesz zostać moim honorowym quipucamayocuną?

- Kim?

- To taki facet, który odbiera rozkazy, interpretuje je i ogłasza. Twoi dziadkowie byli Indianami, prawda?

- Tak. Seminolami.

Rydra wzruszyła ramionami.

- Quipucamayocuna to słowo w języku Majów. Bez różnicy. Rozkazy były wydawane przez wiązanie węzełków na sznurku. My używamy kart perforowanych. Pędź i bierz się do roboty.

Ratt dotknął czoła i popędził.

- Jak sądzisz, co generał wyczytał z naszego listu? - zwrócił się do niej Rzeźnik.

- To w gruncie rzeczy nie ma znaczenia. Przeczytają go wszystkie najważniejsze szczy. Będą się nad nim zastanawiać, póki ta możliwość nie zostanie wdrukowana w ich umysły, a to już spore osiągnięcie. I poprawiliśmy Babel-17 - może więc powinniśmy nazywać go Babel-18 - uzyskując najlepsze narzędzie służące do dokopywania się do prawdy.

- Nie zapominaj o tłumie moich pomocników - odparł. - Sądzę, że sześć miesięcy powinno wystarczyć. Masz szczęście, że przyczyną tych mdłości nie był jednak przyspieszony metabolizm. Wydawało mi się to dziwne. Gdyby tak było, musiałabyś zemdleć, zanim uwolniłabyś się od Babel-17.

- To była konfiguracja schizoidalna, która próbowała przejąć kontrolę. Cóż, jak tylko skończymy z Tankiem, mamy wiadomość, którą musimy dostarczyć na biurko głównodowodzącego Najeżdźców, Meihłowa, w Nueva-nueva Jorku.

- „Wojna skończy się za sześć miesięcy” - zacytowała. - Najlepsze zdanie prozą, jakie w życiu napisałam. Ale teraz musimy zabrać się do roboty.

- Mamy narzędzia, jakimi nikt dotąd nie dysponował - odparł Rzeźnik. Przesunął się, gdy usiadła obok niego. - A przy użyciu właściwych narzędzi to nie powinno być trudne. Co będziemy robili w wolnym czasie?

- Pewnie napiszę wiersz. A może powieść. Mam tyle do powiedzenia.

- Ale ja dalej jestem przestępcą. Zmazanie złych uczynków dobrymi to lingwistyczna pomyłka, która nierzadko wpędzała ludzi w niezłe tarapaty. Zwłaszcza wtedy, kiedy te uczynki dopiero miały się dokonać. Jestem odpowiedzialny za liczne morderstwa. Żeby doprowadzić do zakończenia tej wojny, będę musiał wykorzystywać szpiegów tatusia, którzy będą... popełniali dużo błędów. Ale postaram się, żeby było ich jak najmniej.

- To całe poczucie winy funkcjonujące jako mechanizm odstraszący od właściwych działań to

też błąd lingwistyczny. Jeśli nie daje ci to spokoju, wróć, pozwól się osądzić, daj się uniewinnić, a potem zajmij się swoimi sprawami. Przez jakiś czas ja chciałabym być twoją sprawą.

- Jasne. Ale kto mówi, że podczas tego procesu zostałam uniewinniona?

Rydra zaczęła się śmiać. Stała przed nim, ujęła go za ręce i przyciągnęła je do swojej twarzy, nie przestając się śmiać.

- Przecież to ja byłabym twoim obrońcą! A dobrze wiesz, że nawet bez Babel-17 potrafię przekonać każdego, do czego tylko zechcę.

Nowy Jork
grudzień 1964 - wrzesień 1965

Marek Oramus

Posłowie

Okoliczności życiowe zmusiły mnie do przyjęcia funkcji kierownika jednoosobowego przedszkola; od tego czasu zupełnie zmienił się rodzaj moich lektur. Dla przykładu zmuszony jestem ostatnio fascynować się twórczością Jana Brzechwy, a osobiwie wierszem „Jak rozmawiać trzeba z psem”: *Wy nie wiecie, a ja wiem/ Jak rozmawiać trzeba z psem*. Ponieważ klepiemy te klasyczne wersy po wielekroć, zniecierpliwiona latorośl dopowiada sama: *Bo poznałem język psi/ Gdy mieszkałem w pewnej wsi*.

Psy i ludzie jako dwie rasy rozumne żyjące ze sobą i obok siebie muszą się porozumiewać; znajomość psiego języka bardzo by to ułatwiła. Niestety, sprawy nie przedstawiają się tak prosto jak w czytance Brzechwy.

W roku 1929 naukowcy skupieni w Kole Wiedeńskim opublikowali pracę „Naukowy pogląd na świat”, co w filozofii przyjmuje się jako początek neopozytywizmu. Nurt ten głosił, że prawdziwą wiedzą jest jedynie wiedza empiryczna, a twierdzenia, które nie dają się zweryfikować, są pozbawione sensu. Ludwig Wittgenstein, choć przebywał w Wiedniu, kiedy Koło się zawiązało, formalnie do niego nie należał, a nawet spotykał się z nim niewiele. Pomimo tego to właśnie jego „Traktat logiczno-filozoficzny” uznano za biblię neopozytywizmu i od niego pochodzi słynny aforyzm, że „granice mego języka są granicami mego świata”. Innymi słowy tyle ze świata rozumiemy, ile jesteśmy w stanie powiedzieć o nim językiem, którego używamy. Nasuwa to daleko posuniętą podejrzliwość wobec języka oraz powoduje niepewność, jak to, co nim wypowiadamy o rzeczywistości, ma się do samej rzeczywistości i jak wewnętrzne błędy języka, jego struktura i forma zaciemniają i tak ciemny obraz tego, co postrzegamy.

Z tego typu wątpliwości i dociekań, mam wrażenie, urodziła się w połowie lat 60. XX wieku powieść fantastyczno-naukowa Samuela R. Delany’ego „Babel-17”. Tytuł oznacza język, stworzony do celów militarnych - każda droga prowadząca do zwycięstwa się liczy. Zwięzły, ciasny, upakowany - oto jak odbiera go Rydra Wong, która sama będąc lingwistycznym fenomenem otrzymuje zadanie rozpracowania tajemniczych komunikatów, towarzyszących każdorazowo aktom sabotażu. Z powieściowych zaszłości dowiadujemy się, że Babel-17 spowalnia czas i wyostrza inteligencję: „Kiedy wnikam w ten język, zaczynam widzieć za dużo”. Opinie o tym cudownym języku są pełne superlatyw: „Większość jego słów lub wyrażeń zawiera więcej informacji o rzeczach, które oznaczają, niż dowolne cztery czy pięć języków, jakie przychodzą mi do głowy, i zajmuje to mniej miejsca.” Jego użycie jest jak „nagle wyostrzenie obiektywu, który latami dawał nieostry obraz”. „Myślenie w Babel-17 przypominało oglądanie dna studni, o której jeszcze chwilę temu sądziło się, że ma tylko parę metrów głębokości.” Babel-17 jest zatem cudownym narzędziem do komunikacji i opisu świata, dającym przez samo swe użycie niezmiernie możliwości, tak jakby Prometeusz z innej planety wykradł bogom nie ogień, a ich mowę.

Czy taki język jest możliwy? Moim zdaniem nie; tu właśnie tkwi główny ładunek fantastyczności powieści Delany’ego. Język nie jest czymś, co wisi w przestrzeni kosmicznej i każdy może z tego korzystać z pożytkiem. Język jest ściśle przylepiony do kultury, tak ściśle, że wydaje mi się, iż jest niepodobieństwem rozdzielenie ich. Skoro tak, niepodobieństwem jest również używanie cudzego języka bez znajomości kultury tego, kto nim gada; prawdę tę, dość oczywistą, znają z autopsji wszyscy, którzy zdecydowali się na naukę angielskiego czy niemieckiego. Można jednak wyobrazić

sobie język bardziej uniwersalny, minimalizujący owo przyporządkowanie kulturze, choć Delany czyni to nieco naiwnie, biorąc za analogię języki programowania znane w czasie gdy powieść powstawała. Wymienia Onoff, Cobold i Fortran; z dwoma ostatnimi miałem okazję zetknąć się pod koniec studiów w połowie lat 70. i zaręczam, że na pierwszy rzut oka wyglądały równie odstręczająco jak zapisy programów dzisiejszych. Człowiek na pewno nie mógłby bez wielkich trudności używać tych języków do własnej wewnątrzosobniczej komunikacji, ale w połowie lat 60. XX wieku nie było to tak oczywiste. Wszystkie zresztą wymienione przez Delany'ego języki programowania rychło odeszły do lamusa; za moich czasów modny zaczynał być już Algol, ale jego ani powąchałem. Program do obliczenia układu równań różniczkowych w pracy dyplomowej napisał mi kolega za pół litra wódki i na tym zakończyła się moja zażyłość z branżą informatyczną; na pamiątkę została mi tylko podziurkowana różowa tasiemka, na której ten język wówczas zapisywano niby jakimś brajlem dla ociemniałych maszyn.

Delany'emu jednak wolno było abstrahować od tych ograniczeń i postulować taki fantastyczny język, łatwy w użyciu a zarazem pojemny jak czarna dziura. James Gunn w trzecim tomie „Drogi do science fiction” informuje, że autor ten zaczytywał się wcześniej wymienionym już tu Wittgensteinem, poszukując nowych i świeżych źródeł inspiracji właśnie w lingwistyce. Owo poszukiwanie novum w ogródku humanistyki zamiast - tradycyjnie - w technice i naukach ścisłych, lokuje Delany'ego wśród eksperymentatorów i wskazuje na jego ścisły związek z brytyjską Nową Fala, chociaż był Amerykaninem. Nie chcę powiedzieć, że „Babel-17” jest dziełem artystycznie wykwiśniętym i skończonym, ale na pewno lokuje się znacznie powyżej przeciętnych produkcji SF, zarówno pod względem treści, jak i formy, miejscami po artystowsku eksperymentalnej, a jednocześnie nie tracącej na przejrzystości i czytelności. Ktoś nazwał „Babel-17” kamieniem milowym światowej SF i nie widzę powodu, żeby się z tą opinią spierać. To, żeśmy się do tego czasu bez owego kamienia obywali, uznaję za efekt polskiego talentu do bytowania bez rzeczy niezbędnych i gustowania w prowizorce - ale może właśnie nadchodzi kres tych smętnych czasów i wreszcie będzie normalnie.

Cudowność języka Babel-17 polega nie tylko na jego poręczności, dokładności i zwięzłości, ale przede wszystkim na jego dopasowaniu do świata, który opisuje. Żeby stworzyć taki język, trzeba najpierw ten świat nieźle poznać i pojąć, aby wiedzieć, co ma być opisane i jak. Raczej twórcami takiego języka nie mogliby być np. neandertalczyki, nie dla ich mniemanej milkiwości, tylko dla słabego zrozumienia otaczających ich fenomenów. Nie moglibyśmy czegoś takiego stworzyć nawet my, ludzie z XXI wieku, i to nie tylko z powodu postępującego w przerażającym tempie oglupienia. Niby wiemy o świecie i Wszechświecie o wiele więcej niż człek neandertalski, lecz kudy tam do końca. Zresztą żadnego końca prawdopodobnie nie ma i twórcy Babel-17 nie mogli nań czekać, bo by nie dożyli, tylko musieli przystępować do dzieła, nagleni wojną i jej potrzebami. Z definicji zatem coś takiego jak Babel-17 musi być tworem niedoskonałym, przybliżonym, nadającym się do ulepszenia - na co najlepszym dowodem chwalebna Rydry Wong, że już się kształtuje nowa wersja Babela, oznaczona numerem 18.

Język taki jak Babel-17, „najbardziej precyzyjny język analityczny, jaki można sobie wyobrazić”, mógł więc powstać tylko w tyglach bardzo zaawansowanej kosmicznej cywilizacji. Ot, takiej choćby jak istoty z Çiribii, operujące ciepłem - ich „cieplny promień” (Delany'ego prototyp lasera?) jest bronią tak potężną, że aż zakazaną w wojennych zmaganiach. Zaawansowanie techniczne idzie u nich w parze z lingwistycznym - na opisanie gigantycznej instalacji do przetwarzania energii słonecznej ich język potrzebuje ledwie dziewięciu krótkich słów. Dziewięć słów stanowi odpowiednik kilku tomów projektów i schematów, jakie taka rzecz zabrałaby konstruktorom ziemskim. Wydaje się logiczne, że skoro język ma być odbiciem świata, coraz doskonalszym

sposobem wyrażania rzeczywistości, to poszerzaniu granic znanego świata powinno towarzyszyć proporcjonalne poszerzanie granic języka. Teza idealistyczna, ale SF znana jest z idealistycznego podejścia.

Dyskusyjne wydaje mi się natomiast założenie, że jeśli komuś (w powieści - Rzeźnikowi) wyczyści się pamięć i na to miejsce załaduje słownictwo z pewnej dziedziny, np. stolarstwa, to osobnik taki prędzej czy później chwyci za hebel i zostanie stolarzem. Taki zabieg nie przesądza losów życiowych delikwenta, może go najwyżej skłonić do uczestnictwa w debatach o stolarstwie, do pisania rozpraw na temat stolarstwa, gdyż liczy się jeszcze talent do operowania drewnem i narzędziami do jego obróbki. Decydują nie same słowa, ale ich desygnaty, czyli to, co słowa opisują - kto nie poczuł w ręce szorstkości deski, nie wciągnął do płuc zapachu drewna, ten nie doznał stolarstwa, że tak się wyrażę górnolotnie, wszystkimi zmysłami. Jako wybitny teoretyk może być nawet i zdolny do wyprodukowania „Słownika stolarstwa” czy „Metodyki pociągania heblem”, ale stołu, na którym udałoby się równo ustawić kufel, raczej nie robi. (*Kupił te szorstkie listwy i deski/ Stolarz warszawski Adam Wiśniewski*, że zacytuję tym razem Tuwima.) Jasne, że powieść SF nie obywa się bez uproszczeń - byle tylko nie szły one za daleko.

Powieść Delany'ego, pochodząca, jako się rzekło, sprzed półwiecza z okładem, zaskakuje czytelnika świeżością pomysłów i wykonania. To nie jest ramotka, którą czytamy z szacunku dla jej pozycji w rankingu historycznym dzieł zasłużonych. To jak najbardziej współczesna książka, która po niewielkich korektach mogłaby powstać choćby wczoraj. To fantastyka ambitna, nie pospolite przesuwanie figurek bohaterów czy modeli rakiet po planszach, tylko pełnowymiarowa literatura o niepokojącym kształcie przyszłości. O tym, jak dziwne czynniki będą grały w niej kluczową rolę, jakim skomplikowanym czy przerażającym fenomenom przyjdzie stawić czoła i jak z tej roli wywiąże się człowiek. A wywiązać się musi, jeśli zechce przetrwać, bo innej możliwości mu nie pozostawiono.

maj 2008

[1] William Shakespeare, *Juliusz Cezar*, tłum. Adam Pajert.

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA.. 6

- 1. 8
- 2. 19
- 3. 29
- 4. 43
- 5. 45
- 6. 52
- 7. 54

CZEŚĆ DRUGA.. 56

- 1. 58
- 2. 67
- 3. 73
- 4. 81
- 5. 96

CZEŚĆ TRZECIA.. 99

- 1. 101
- 2. 118
- 3. 125
- 4. 131
- 5. 145

CZEŚĆ CZWARTA.. 156

- 1. 158
- 2. 159
- 3. 165

CZEŚĆ PIĄTA.. 166

- 1. 168
- 2. 174
- 3. 179
- 4. 184
- 5. 193
- 6. 194

Posłowie. 197

[1]